cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net nakład 15 030 indeks 211060 #161 9/2019

ISSN 1693-4960

Olga Doleśniak-Harczuk

SOCREALIZM VS III RZESZA

Piotr Lisiewicz

POLSKI ZABIJAKA Z PENSYLWANII KANDYDATEM NA OŁTARZE

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

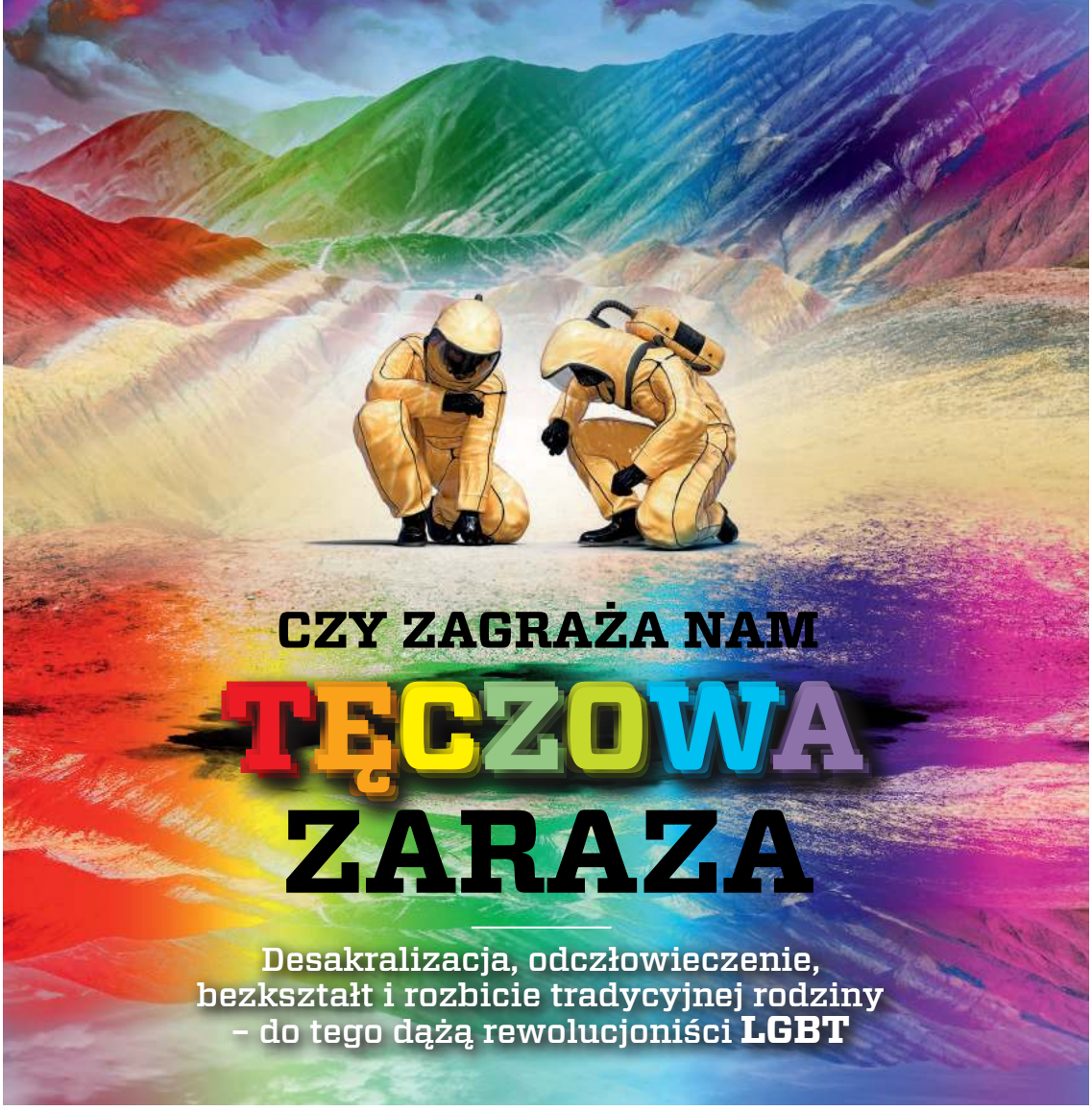

CZY ZAGRAŻA NAM TĘCZOWA ZARAZA

Desakralizacja, odczłowieczenie, bezkształt i rozbicie tradycyjnej rodziny – do tego dążą rewolucjoniści **LGBT**

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI FOT. FOTOLIA (3)

eprasa.pl dfaed9b77b

TEMAT NUMERU ▼ 4–21

Ilustracja: Mariusz Trolinski, fot. Fotolia (3)

Krótki wykład o tęczowej zarazie / 4

IDEE ▼ 22–33

fot. Krzysztof Sikowski/Gazeta Polska

Witajcie w dobrych, ciężkich czasach! / 22

HISTORIA ▼ 34–60

fot. Arch.

Polski zabijaka z Pensylwanii kandydatem na ołtarze / 34

KULTURA ▼ 62–68

fot. Jan Naj/Gazeta Polska

„Legiony" – film z ułańską fantazją / 62

ŚWIAT ▼ 70–97

Obraz A. m. Sowińskiego, fot. Artur Wornacki

Na pokaz i do schowka. Socrealizm vs III Rzesza / 70

Spis treści

TEMAT NUMERU

Robert Tekieli
Krótki wykład o tęczowej zarazie 4

Z Grzegorzem Górnym rozmawia Jacek Liziniewicz
LGBT to projekt skrajnie rewolucyjny 10

Tomasz Duklanowski
Oblicze demonicznego zła 14

Małgorzata Matuszak
Runęły mury intymności 18

Ryszard Czarnecki
LGBT, czyli nie dajmy się zwariować! 21

Ryszard Czarnecki

IDEE

Ewa Polak-Pałkiewicz
Witajcie w dobrych, ciężkich czasach! 22

Jakub Augustyn Maciejewski
Siedem katolickich osiągnięć kopiowanych przez resztę świata 30

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Polski zabijaka z Pensylwanii kandydatem na ołtarze 34

Dariusz Jarosiński
Dwie śmierci 40

Magdalena Złotnicka
Ruscy złodzieje i cieknący katamaran 46

Agnieszka Kowalczyk
Polacy na krańcach świata. Zdobywcy Andów 52

Jan Nowak-Jeziorański
Komunizm w sojuszu z Hitlerem: 1939–1941 58

KULTURA

Z Maciejem Pawlickim rozmawia Sylwia Kołodyńska
„Legiony" – film z ułańską fantazją 62

Krzysztof Karnkowski
Dwie różne historie 66

ŚWIAT

Olga Doleśniak-Harczuk
Na pokaz i do schowka. Socrealizm vs III Rzesza 70

Antoni Rybczyński
Operacja Następca. Jak Familia wybrała Jelcynowi Putina 74

Z Sashą Gong rozmawia Hanna Shen
Z waszą kulturą i tradycją komunizm nie miał szans 80

Stefan Czerniecki
Wehikuł czasu 84

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 92

oprac. Antoni Rybczyński
Kreml grzebie iluzje. Ropa i gaz z USA burzą plany Putina 94

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Prowokacja i cenzura – oto ulubione narzędzia lobby LGBT
NA POCZĄTEK 3

Marcin Wolski
Homo gejus
PAPKULTURA 13

Małgorzata Matuszak
Czym są... granice tolerancji
KATECHIZM INTELIGENTA 29

Ryszard Czarnecki
Sportowa „wojna polska-ruska" i bałkańskie klimaty...
CZARNECKO TO WIDZĘ 61

Marek Kalinowski
Sekta Janerki
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 69

Olga Doleśniak-Harczuk
Republika Zielonych Niemiec
Z GLOBALNEGO TYGLA 90

Krzysztof Budka
Przepaść, którą jak najszybciej trzeba zasypać
SŁOWEM O GOSPODARCE 98

Tomasz Sakiewicz
Honor a ekonomia
OSTATNIE SŁOWO 99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
POLITYKA CYWILIZACJA HISTORIA
NOWE PAŃSTWO

miesięcznik
wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Krzysztof Karnkowski, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Tomasz Terlikowski, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Trolinski

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
tel. +48 22 290 29 58
prenumerata@panstwo.net

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
09 1240 1024 1111 0010 4263 9001

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl dfaed9b77b

Katarzyna Gójska

PROWOKACJA I CENZURA – oto ulubione narzędzia lobby LGBT

Żądania środowisk aktywistów LGBT są nie tylko sprzeczne z zasadami, na których opiera się nasza cywilizacja, z polską tradycją, lecz także są po prostu w sposób niewyobrażalny okrutne.

Aktywność tego środowiska opiera się na prowokacjach. Jego cel jest dość oczywisty – ma szokować, niszczyć świętości i upokarzać tych, dla których są one ważne. Wszystko po to, by zobojętniać na niszczenie tradycji i dzięki temu cały czas posuwać się dalej i dalej w serwowaniu zmian społecznych. Chodzi o zepchnięcie wierzącej większości do defensywy – by w ciszy akceptowała na przykład rozszerzenie definicji małżeństwa i konsekwencje prawne tego procesu. Na mniej potulnych przygotowana jest cenzura. Właśnie to spotkało kilka tygodni temu „Gazetę Polską". Każdy, kto ośmiela się podnieść głowę i stanowczo wypowiedzieć dezaprobatę wobec planów homoseksualnego lobby, zderzy się z bardziej lub mniej brutalną próbą uniemożliwienia mu pełnoprawnego funkcjonowania w debacie publicznej. O ironio, cały ten proceder odbywa się pod hasłem walki o prawa człowieka. Tymczasem żądania środowisk aktywistów LGBT są nie tylko sprzeczne z zasadami, na których opiera się nasza cywilizacja, z polską tradycją, lecz także są po prostu w sposób niewyobrażalny okrutne. Ich celem są przede wszystkim dzieci – i te poddawane degradującej ich wrażliwość seksualizacji, i takie, które mają być „produkowane" na potrzeby par homoseksualnych.

W najnowszym numerze naszego miesięcznika skupiamy się na uświadomieniu skutków biernej zgody na wcielanie w życie postulatów środowisk LGBT. Realizacja tzw. planu Rabieja: najpierw związki partnerskie, później małżeństwa homoseksualne, a na koniec adopcja – trwale zmieni nie tylko relacje społeczne w Polsce, lecz także funkcjonowanie naszych rodzin. Nie jest tak, jak próbują nam wmówić propagatorzy tej koncepcji, że to sprawa wyłącznie sposobu życia par LGBT. Tak daleko idące – rewolucyjne – zmiany społeczne będą miały wpływ na wszystkich, także na wychowanie dzieci przez tych, którzy oceniają je jako złe. Jeśli nie chcemy dyktatu ideologii LGBT, czas najwyższy na głośny i otwarty sprzeciw. Pełen szacunku dla każdego człowieka – bo ten należy się każdej istocie ludzkiej bez względu na preferencje seksualne – ale stanowczy. Nie można dać sobie wmówić, iż jest on jakąś homofobią czy nienawiścią. Nie. Jest naszym prawem, realizacją wolności słowa i sumienia. ■

Realizacja tzw. planu Rabieja: najpierw związki partnerskie, później małżeństwa homoseksualne, a na koniec adopcja – trwale zmieni nie tylko relacje społeczne w Polsce, lecz także funkcjonowanie naszych rodzin.

eprasa.pl dfaed9b77b

Robert Tekieli

Polskie społeczeństwo będzie bezbronne wobec rewolucji antykultury, dopóki sobie nie uświadomi, że ma do czynienia z zaplanowanym działaniem, dokładnie tak samo jak rewolucja bolszewickiej odmiany antykultury zaprogramowana była przez Marksa i Engelsa. Kolejne etapy współczesnej rewolucji nihilizmu opisane są w dziełach Gramsciego, Spinellego, Alfreda Kinseya i Margaret Mead.

KRÓTKI WYKŁAD O TĘCZOWEJ ZARAZIE

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI, FOT. FOTOLIA (3)

eprasa.pl dfaed9b77b

Józef Szczepański, powstaniec warszawski, autor „Pałacyku Michla", napisał „Czerwoną zarazę", swój ostatni wiersz, 29 sierpnia 1944 roku w obliczu upadku Starego Miasta. „Czekamy ciebie, »czerwona zarazo«, byś wybawiła nas od »czarnej śmierci«, byś nam kraj przedtem rozdarłszy na ćwierci, była zbawieniem witanym z odrazą". Miasto upadło, czerwony totalitaryzm zaczął niszczyć Polskę.

Arcybiskup Marek Jędraszewski dopisał ciąg dalszy do tego wiersza: „Czerwona zaraza już po naszej ziemi całe szczęście nie chodzi, co wcale nie znaczy, że nie ma nowej, która chce opanować nasze dusze, serca i umysły. Nie marksistowska, bolszewicka, ale zrodzona z tego samego ducha, neomarksistowska. Nie czerwona, ale tęczowa".

Opanować dusze, serca i umysły może ideologia. Każdy, kto twierdzi, że arcybiskup swą wypowiedzią narusza godność osób o seksualności innej niż normalna, jest albo głupkiem, albo cynikiem, albo niesie go histeria.

Czym jest tęczowa ideologia?

Co stało się z duszami, sercami i umysłami ludzi Zachodu, którzy poddali się temu aksamitnemu totalitaryzmowi? Tęczowa zaraza zatrzymała się na razie na Odrze. Rewolucje – feministyczna, seksualna i kulturowa – już osiągnęły na Zachodzie swe cele. Propagowane przez nie wzorce, zakazane jeszcze na początku XX wieku, przenikają dziś strukturę społeczeństw zachodnich i stają się częścią kultury światowej. Tęczowa ideologia jest częścią większego zjawiska. Globalnej rewolucji kulturowej. Innymi ważnymi jej elementami są postmodernizm i nowa etyka globalna. Rewolucja kulturowa to zwieńczenie rewolucji francuskiej, bolszewickiej i nazistowskiej w postaci neomaterialistycznej rewolucji kulturowej neomarksizmu i postmodernizmu.

Dzięki używaniu narzędzi globalnego zarządzania, na naszych oczach budowany jest alternatywny w stosunku do dotychczasowego, chrześcijańskiego, porządek społeczno-moralny świata.

Aby wyzwolić ludzkość, trzeba „zabić" Boga. Totalną sekularyzację głosi jeden z kapłanów rewolucji globalnej Theodor Wiesengrund Adorno. Według niego myśl o „transcendentnym Stwórcy" nie tylko „nie służy dalszemu rozwojowi", lecz jest jego główną przeszkodą. W przestrzeni publicznej Zachodu nie ma już miejsca dla Boga, Biblii, Kościoła Chrystusowego oraz dla jakichkolwiek znaków religijnych, jak na przykład Krzyża Zbawiciela. Po kasacji Boga w świadomości wielu współczesnych, prawo do wolności istnienia zatraca również człowiek jako osoba zdegradowana przez Herberta Marcuse'a do bytu zwierzęcego. W to miejsce mamy zaś dzisiejszy kult zwierzęcia; należy też definitywnie zerwać ze „zwierzęcożernością i roślinożernością".

Ostatnią ofiarą globalnej rewolucji ma być arystotelesowa „forma" (uporządkowanie świata), która według Adorno „zniewala", będąc, jak doskonale on rozumie, istotą porządku ontycznego, intelektualnego, prawnego, moralnego czy estetycznego. Efektem jest określanie prawdy fałszem, miłości nienawiścią, prawa bezprawiem, moralności deprawacją, dobra złem, piękna brzydotą.

W powyższych czterech akapitach streściłem myśl profesor Marguerite A. Peeters, konsultantki Papieskiej Rady ds. Kultury. Zwycięstwo tęczowej ideologii, postmodernizmu i neomarksizmu to koniec naszej cywilizacji. Dlatego tak ważne są słowa arcybiskupa Marka Jędraszewskiego. Za które tutaj serdecznie mu dziękuję.

Rewolucja antykultury

Wszystkie marsze LGBT, bluźniercze sztuki, profanacje – są narzędziami transgresji, przekroczenia. Kultura to dziedzina katharsis, oczyszczenia, antykultura – transgresji. Co różni oczyszczenie od przekroczenia? Katharsis uwalnia od bólu, przekroczenie rodzi smutek.

Wiele osób uważa tratujący właśnie Polskę walec antykultury za element normalnego stanu rzeczy, ot, postępowcy walczą z konserwatystami. Jednocześnie ludzie dziwią się, czemu „lewica" nie próbuje tworzyć własnych form czy rytuałów, a koncentruje się na niszczeniu – na razie w przestrzeni symbolicznej – form i rytuałów chrześcijańskich. Parodia Mszy świętej z durszlakiem na głowie, zestawienie Najświętszego Serca Jezusa oraz postaci świętej Marii z Nazaretu z kobiecymi narządami rodnymi, figura Jezusa w urynie, seks oralny z wyobrażeniem świętego Jana Pawła II, każdy z tych zabiegów jest przekroczeniem. Ma zohydzić religijne symbole.

W poprzednim rozdziale w wielkim skrócie pokazałem intelektualne zaplecze rewolucji antykultury. Zawarty w dziełach Adorno i Marcuse'a cel wszystkich działań współczesnych rewolucjonistów, tych spod znaku tęczowej i czerwonej zarazy.

Polskie społeczeństwo będzie bezbronne wobec rewolucji antykultury, dopóki sobie nie uświadomi, że mamy do czynienia z celowym, zaplanowanym działaniem, dokładnie zaprogramowanym, tak samo jak rewolucja bolszewickiej odmiany antykultury zaprogramowana była przez Marksa i Engelsa. Kolejne etapy współczesnej rewolucji nihilizmu opisane są w dziełach Gramsciego, Spinellego, Alfreda Kinseya i Margaret Mead.

Pokazałem trzy cele antykultury. Chce ona zabrać kulturze Boga, stąd profanacje. Chce zniszczyć pojęcie

eprasa.pl dfaed9b77b

osoby, stąd zrównywanie zwierząt i ludzi, bestializacja człowieka skłanianego przez popkulturę do poddawania się władzy najniższych instynktów, głównie seksualnego. I wreszcie antykultura chce zniszczyć arystotelesową „formę" (uporządkowanie świata), która jest fundamentem cywilizacji.

Desakralizacja, odczłowieczenie i bezkształt – do tego dążą rewolucjoniści. Kolejne cele to zniszczenie pojęcia prawdy, odebranie ludziom łaski wielkiej sztuki oraz rozbicie tradycyjnej rodziny, w którym to procesie główną rolę odgrywa ideologia LGBT, wyprowadzana dziś ze swą toksyczną symboliką na ulice i obecna w popkulturze. Całujący się i współżyjący ze sobą kowboje, kobieta-Bond, androgyniczne gwiazdki muzycznej sceny, kobiety z brodą będące mężczyznami, modelki o wyglądzie chłopczyc albo dzieci, byle nie kobiet – listę tych przekroczeń można ciągnąć długo.

Transgresja rodzi smutek, podobnie jak masturbacja. Przekroczenie ekscytuje przez chwilę, lecz pozostawia po sobie pustkę. Profanacja żywi się cierpieniem wierzących, ale nie daje prawdziwej satysfakcji. Smutek, samotność i pustka. To istota antykultury.

Katharsis ukazywała ludzki heroizm. Zderzając wartości, twórcy sztuk antycznych uczestniczyli w wielotysiącletnim procesie poznawania istoty człowieczeństwa. Teatr był dla Greków narzędziem budowania wspólnoty. Pokazywanie w zbiorowym przeżyciu hierarchii wartości tworzyło więzi. Prawdziwa sztuka pozwala człowiekowi osiągnąć stan wewnętrznego porządku. Antykultura niszczy, zrywa, burzy.

Antykultura przypomina wielkiego pasożyta, który systematycznie niszczy kulturowy kapitał zachodniej cywilizacji. I tu dochodzimy do ludzi uczestniczących w tej rewolucji antywartości. Niewinna właściwie większość zwiedziona przez modę i celebrytów-kretynów oraz tych kilku, którzy przeczytali i Adorno, i Gramsciego, Spinellego i Mead. Onanizujący się pasożyt. Oto kim jesteście.

▶ Wasze dzieci będą takie jak my

Ideolodzy aksamitnego totalitaryzmu krzyczą: nie ma czegoś takiego jak ideologia LGBT, to nie ideologia, lecz ludzie. Zgodnie ze wskazaniami swojej ideologii prawdę nazywają kłamstwem, religię ideologią.

Tęczowy nurt rewolucji ma już stuletnią tradycję intelektualną. Magnus Hirschfeld (1868–1935), homoseksualista, głosił, że płeć jest czymś chwiejnym, ulegającym zmianie. Wilhelm Reich (1897–1957) chciał erotyzacją kultury i społeczeństwa zniszczyć relacje z Bogiem, Kościołem, tradycją, państwem, rodzicami, ojcem i nauczycielami oraz zburzyć dotychczasową strukturę i ład społeczny. Margaret Sanger (1879–1966) zaatakowała macierzyństwo, z którego należy kobietę wyzwolić, i twierdziła, że kobieta jest wyłączną właścicielką swojego ciała i może nimi zarządzać tak, jak jej się podoba. Margaret Mead (1901–1978) propagowała tezę, że to chrześcijaństwo krępuje ekspresję seksualną i nie pozwala osiągnąć radości z życia, oraz zachęcała do szerzenia wśród młodzieży idei wolnej miłości panującej wśród szlachetnych dzikusów na wyspach wiecznego szczęścia. Była oszustką naukową, podobnie jak Alfred Kinsey (1894–1956), który zwyczaje bywalców klubów gejowskich w San Francisco opisał jako zachowania całej populacji, dając też „naukowe" podwaliny dla pedofilii i dokonując tym samym wręcz demontażu kultury zachodniej poprzez masową zmianę postaw wobec seksualności człowieka. Alison Jaggar (ur. 1942) głosi, że zniesienie rodziny biologicznej wyeliminuje potrzebę opresji seksualnej, a ludzkość będzie mogła wreszcie powrócić do swej naturalnej, wielopostaciowej i perwersyjnej seksualności. Shulamith Firestone (1945–2012) głosiła, że celem rewolucji jest wyeliminowanie różnicy między płciami i można to osiągnąć dzięki aborcji na żądanie, antykoncepcji, całkowitej wolności seksualnej oraz żłobkom pozwalającym na masowe zatrudnienie kobiet. Doktor John Money (1921–2006) twierdził, że dzieci rodzą się z płynną płcią i można ją zmienić dzięki socjalizacji. Dla Judith Butler (ur. 1956) płeć biologiczna jest iluzją, a płeć kulturowa, jak i sposób rozumienia płci biologicznej są konstruktami społecznymi. W osławionym gejowskim manifeście Michaela Swifta pt. „Gay Revolutionary" z 1987 roku zakreślone zostały cele lobby gejow-

Czemu wyznawcy ideologii LGBT i jej sympatycy kłamią, że jej przeciwnicy nienawidzą lesbijek, gejów, biseksualistów oraz transwestytów? Kłamią, by ogłuszyć opinię publiczną zarzutem, że brak zgody na ideologię LGBT oznacza nieakceptowalną nienawiść do ludzi.

eprasa.pl dfaed9b77b

skiego, szerzej: ruchu LGBT. Czytamy w nim: „Będziemy sodomizować waszych synów, emblematy waszej kruchej męskości, waszych płytkich marzeń i wulgarnych kłamstw. Będziemy ich uwodzić w waszych szkołach, w waszych internatach, w waszych siłowniach, w waszych szatniach, w waszych halach sportowych, w waszych seminariach, w waszych grupach młodzieżowych, w łazienkach sal kinowych, w barakach waszych armii, na waszych przystankach dla ciężarówek, we wszystkich waszych męskich klubach, w waszych domach Kongresu, gdziekolwiek mężczyźni są razem z mężczyznami. Wasi synowie staną się naszymi podwładnymi i będą wykonywać nasze rozkazy. Zostaną oni przekształceni na nasz obraz". W wydanej dwa lata później książce Marshalla Kirka i Huntera Madsena, zatytułowanej „Po balu. Jak Ameryka w latach 90. pokona swój strach i nienawiść do gejów", zaprezentowano technologię stworzenia społeczeństwa wywyższającego homoseksualizm.

żenie do realizacji określonego interesu klasowego, grupowego albo narodowego".

Od paru miesięcy również w Polsce słyszymy wykrzykiwane przez uczestników homoparad w kierunku konserwatywnych kontrmanifestantów i zwykłych przechodniów hasła typu: „wasze dzieci będą takie jak my".

We wspomnianej wyżej książce Marshalla Kirka i Huntera zawarta była propozycja taktyki, dzięki której zrealizowane zostały strategiczne cele tego, co dziś nazywamy „gejowskim lobby" czy „ruchem LGBT". Dzisiejszy stan rzeczy na Zachodzie osiągnięto m.in. dzięki tej gejowskiej instrukcji. Zawiera m.in. 10 zaleceń, których przestrzeganie przyniosło sukces masowej indoktrynacji:

„1. O homoseksualistach i homoseksualizmie należy mówić możliwie jak najgłośniej, dużo, często i w życzliwej tonacji. Opinia publiczna musi zostać znieczulona na homoseksualizm. Należy przyzwyczaić

DESAKRALIZACJA, ODCZŁOWIECZENIE I BEZKSZTAŁT – DO TEGO DĄŻĄ REWOLUCJONIŚCI. KOLEJNE CELE TO ZNISZCZENIE POJĘCIA PRAWDY, ODEBRANIE LUDZIOM ŁASKI WIELKIEJ SZTUKI I ROZBICIE TRADYCYJNEJ RODZINY, W KTÓRYM TO PROCESIE GŁÓWNĄ ROLĘ ODGRYWA IDEOLOGIA LGBT, WYPROWADZANA DZIŚ ZE SWĄ TOKSYCZNĄ SYMBOLIKĄ NA ULICE I OBECNA W POPKULTURZE.

Tęczowa zaraza zwyciężyła już społeczeństwa zachodnie. My, mądrzejsi o ich doświadczenia, uratujemy nasze dzieci.

Ideologia LGBT? Istnieje. Oto dowody

Na początek zacytuję jeden ze swoich tekstów: „Nie ma czegoś takiego jak ideologia LGBT, pisze na TT Krzysztof Mieszkowski. – Nie ma czegoś takiego jak ideologia LGBT, tylko są ludzie, którzy są gejami, lesbijkami i mają prawo do zwykłego normalnego życia – mówi w TokFM Joanna Mucha. LGBT to nie ideologia, lecz ludzie, pisze w »Gazecie Wyborczej« Jarosław Makowski.

Czemu chcą ukryć jej istnienie i wmówić, że przeciwnicy ideologii LGBT nienawidzą ludzi, chcą ich dyskryminować, a nawet eksterminować? Czemu kłamią?

Ideologia to zbiór wartości, przekonań, idei i poglądów opisujących i oceniających rzeczywistość. To również wizja świata istniejącego i projekcje przyszłości. Ideologia to także zbiór zasad postępowania ruchów społecznych, partii politycznych czy grup mniejszościowych, u podstaw którego tkwi świadome dą-

ją, że jest to zjawisko powszechne. Zmusić większość do uznania homoseksualizmu za alternatywną »normę«. Trzeba przekonywać, że homoseksualizm to nic niezwykłego, to po prostu coś innego niż heteroseksualizm, jak prawo- i leworęczność.

2. Przedstawicieli organizacji homoseksualnych należy jak najczęściej pokazywać w mediach, szczególnie w TV, aby osoby te trafiły do obiegu publicznego.

3. Trzeba atakować kościoły, zwłaszcza Kościół katolicki, poprzez wytykanie im archaicznych praktyk, zacofania i niejasności w interpretacji Biblii.

4. Należy stworzyć i rozpowszechnić hasło „tolerancja", jako obowiązek wszystkich względem homoseksualistów.

5. Homoseksualistów zawsze pokazywać w korzystnym świetle. Popkultura, media, przemysł rozrywkowy, twórczość artystyczna mają kreować pozytywnych, homoseksualnych bohaterów filmów, książek, seriali. Trzeba też zadbać o wsparcie gwiazd popkultury: aktorów, artystów, celebrytów.

6. Trzeba prezentować homoseksualizm jako źródło kariery i powodzenia gejów – ludzi sukcesu, gdyż

eprasa.pl dfaed9b77b

celebryci mają szczególną moc oddziaływania na społeczeństwo.

7. Przeciwników należy prezentować bez wyjątku negatywnie. Wszystkich, którzy będą myśleć inaczej, przedstawiać jako homofobów i ogarniętych nienawiścią prymitywów.

8. Osoby LGBT należy przedstawiać zawsze jako ofiary opresyjnej większości i w ten sposób wzbudzać współczucie wobec prześladowanych i usprawiedliwić w oczach opinii publicznej ich »emancypacyjną« batalię. Należy wywołać w ten sposób zbiorowe poczucie wstydu u heteroseksualnej większości, mentalnie spacyfikować oponentów.

9. Kampania musi odbywać się pod pozorem walki z dyskryminacją, przy czym należy unikać odwoływania się do samych praktyk homoseksualnych, mogących budzić odruch wstrętu. W ten sposób daje się możliwość działania sojusznikom: osobom publicznym i ruchom walczącym o prawa obywatelskie.

10. Należy zadbać o stałe i wszechstronne finansowanie organizacji gejowskich przez organizacje pozarządowe, biznes, instytucje publiczne. Tylko dzięki temu zaplanowana na dziesięciolecia batalia będzie mogła zakończyć się sukcesem".

Brzmi to wszystko znajomo? Zawstydzanie niehomoseksualnej większości, przedstawianie agresywnych aktywistów LGBT jako ofiary, zohydzanie przeciwników ideowych, ofensywa celebrytów, zindoktrynowanie dużej części młodzieży traktującej dziś homoseksualizm jako normę, wściekły atak na Kościół i kapłanów, wmuszanie wszystkim na siłę „tolerancji" wobec lesbijek, homoseksualistów i biseksualistów, będące tak naprawdę zmuszaniem do akceptacji, ba, afirmacji seksualnych inwersji. Przecież to wszystko już znamy z polskiego podwórka. No i kłamstwo o nieistnieniu ideologii LGBT. Przypomnijmy sobie definicję zaprezentowaną na początku tego rozdziału.

Czy w publikacjach wymienionych w tym tekście publicystów mamy zbiór wartości, przekonań, idei i poglądów opisujących i oceniających rzeczywistość? Tak.

Czy mamy w nich do czynienia ze specyficzną wizją świata istniejącego i czy zawarte są tam projekcje przyszłości? Tak.

Czy stworzono zbiór zasad postępowania ruchu społecznego? Tak.

Czy u podstaw tego zbioru zasad tkwi świadome dążenie do realizacji określonego interesu grupowego? Tak.

▶ Dowodów ciąg dalszy

Nie można mieć zatem wątpliwości, że w przypadku LGBT mamy do czynienia z ideologią.

Czemu wyznawcy ideologii LGBT i sympatycy tego ruchu próbują ukryć istnienie ideologii i wmówić nam, że jej przeciwnicy nienawidzą lesbijek, gejów, biseksualistów oraz transwestytów, i chcą ich dyskryminować, a nawet eksterminować? Czemu kłamią?

Kłamią, by ogłuszyć opinię publiczną zarzutem, że brak zgody na ideologię LGBT oznacza nieakceptowalną nienawiść do ludzi. Chcą z osób broniących swoich dzieci przed deprawacją, broniących Kościoła i instytucji tradycyjnej rodziny, zrobić potwory, by w końcu wyeliminować ich z życia publicznego. Wyrzucić z pracy, jak pracownika Ikei, wsadzić do więzienia na ponad 6 lat, jak modlącą się jedynie przed klinikami aborcyjnymi Mary Wagner, a w końcu pozbawić praw publicznych i izolować.

A najbardziej szokujące w tej historii jest dla mnie, że większość tych ideologicznych „opisów rzeczywistości" opartych jest na kłamstwach lub fałszerstwach. Najlepiej widać to na przykładzie udających naukowców największych gwiazd ruchu LGBT: Alfreda Kinseya i Margaret Mead" (tysol.pl).

Od stycznia prowadzę w Polskim Radiu 24 audycję „Wojna cywilizacji". Oto trzy przypadkowo wybrane informacje, które w tym programie komentuję ze swoimi gośćmi: w Niemczech 14 proc. małżeństw to związki jednopłciowe. Jednostka Narodów Zjednoczonych ds. Równości Płci i Upodmiotowienia Kobiet (UN Entity for Gender Equality and the Empowerment of Women) wydała miesiąc temu oświadczenie w którym czytamy: „rozwody, kohabitacja, tzw. małżeństwa jednopłciowe, dzieci rodzące się poza związkami małżeńskimi czy seks wśród nastolatków to upodmiotowienie kobiet, zaś miejscem prawdziwie niebezpiecznym dla kobiet i dziewcząt okazuje się rodzina". Uważający się za kobietę Jonathan „Jessica" Yaniv wystąpił na forum rady miejskiej kanadyjskiego Langley z propozycją zorganizowania przyjęcia „topless" dla osób „LGBT w wieku 12+". Miałoby się ono odbyć na należącym do gminy basenie. Według pomysłodawcy udział rodziców w tej imprezie byłby zakazany. Modląca się przed klinikami aborcyjnymi kanadyjska działaczka pro life Mary Wagner została znów aresztowana. Za pacyfistyczne działania przesiedziała w więzieniu już sześć lat. W listopadzie kolejny proces.

A co w Polsce? Ostatnio nieznany z jakichkolwiek osiągnięć na niwie samorządu wiceprezydent Warszawy zaprezentował się publicznie w negliżu, leżąc obok drugiego uśmiechniętego od ucha do ucha mężczyzny.

Nie będę udawał, że myśl o dwóch spółkujących ze sobą samcach budzi moje obrzydzenie. Na Zachodzie za te słowa poszedłbym do więzienia. Za ile lat może się to zdarzyć w Polsce? ■

eprasa.pl dfaed9b77b

Jacek Liziniewicz

LGBT TO PROJEKT SKRAJNIE REWOLUCYJNY

Nie było do tej pory w dziejach świata cywilizacji, w której związki homoseksualne byłyby kulturową normą. W której obowiązywałaby absurdalna teoria o wielości i płynności płci. W tym sensie jest to pierwsza w dziejach próba zbudowania cywilizacji opartej na zupełnie innym fundamencie antropologicznym niż ten, który mówi o komplementarności dwóch płci: męskiej i żeńskiej. To projekt skrajnie rewolucyjny, który jest eksperymentem na żywej tkance społecznej – z **Grzegorzem Górnym**, reporterem, eseistą, publicystą, reżyserem, producentem filmowym i telewizyjnym, rozmawia **Jacek Liziniewicz**,

▶ Słowa abp. Marka Jędraszewskiego o tęczowej zarazie wywołały lawinę komentarzy. Przez kilka dni w mediach nie mówiło się praktycznie o niczym innym. Dlaczego słowa duchownego tak rezonowały?

Trzeba przypomnieć, że wspomniana homilia była wygłoszona z okazji 75. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego i wątek o LGBT był w niej zupełnie marginalny. To były raptem dwa zdania odnoszące się do słynnego wiersza Józefa Szczepańskiego ps. Ziutek „Czerwona zaraza". Nawiązując do tego utworu, arcybiskup wspomniał o tęczowej zarazie. To była *licentia poetica*, metafora nawiązująca do tego wiersza. Histeryczna reakcja, jaka po tym wybuchła, świadczy o tym, że arcybiskup Jędraszewski uderzył w bardzo czuły punkt. Te środowiska poczuły się dotknięte, dlatego że – jak sądzę – trafnie zdemaskował on to zjawisko, porównując je do komunizmu i wskazując na wspólne neomarksistowskie korzenie. Jak widzę na różnych portalach zagranicznych, na przykład włoskich, amerykańskich czy kanadyjskich, jego wypowiedź odbiła się tam gromkim echem i jest żywo komentowana. W środowiskach katolickich jest pokazywana jako przejaw pewnej odwagi cywilnej. Zwłaszcza w sytuacji, gdy część hierarchów w krajach zachodnich kapituluje przed postulatami LGBT.

▶ Natychmiast podniosło się larum, że to uderzenie w ludzi. A LGBT to przede wszystkim osoby...

Arcybiskup nie mówił nic o osobach, ale wskazywał na konkretne zjawisko, które ma korzenie marksistowskie. To było wyrażenie metaforyczne, odnoszące się do ideologii. Problem polega na tym, że środowiska LGBT każdą krytykę, która dotyczy spraw ideowych i merytorycznych, traktują jak obrazę personalną. Nie potrafią oddzielić kwestii aksjologicznych, moralnych czy ideowych od

eprasa.pl dfaed9b77b

kwestii osobistych. Wszystko traktują jak atak osobisty na samych siebie. To sprawia, że debata z nimi często kończy się odmową rzeczywistej dyskusji pod pretekstem, że to jest atak na ich osoby. Tymczasem w tym wypadku nic takiego nie miało miejsca. Przecież równie dobrze można by powiedzieć, że arcybiskup obraził komunistów, mówiąc o czerwonej zarazie, a nikt tego w ten sposób nie odebrał.

▶ Ten spór nie jest polską specyfiką. Rozgrywany był również za granicą?

To, co dzieje się w Polsce, jest pewnym odpryskiem tego, co się dzieje na świecie. Czegoś, co można nazwać wojną kulturową. Na całym świecie widzimy ofensywę środowisk LGBT, które żądają dla siebie przywilejów. Trudno mówić o prawach, ponieważ te osoby nie są pozbawione praw obywatelskich, a tym bardziej praw człowieka. One cieszą się takimi samymi prawami jak wszyscy obywatele. Warto to wyjaśnić: to, czym dysponują w świetle prawa małżeństwa, to nie są prawa, ale przywileje związane z funkcjonowaniem tego specyficznego związku kobiety i mężczyzny, w którym rodzi się potomstwo i jest ono wychowywane. Z tego szczególnego powodu państwo obdarza małżeństwa i rodziny pewnymi przywilejami. Nieprzypadkowo w wielu konstytucjach, w tym polskiej, mamy zapisy o ochronie i opiece państwa nad małżeństwem – związkiem kobiety i mężczyzny – nad rodziną i nad macierzyństwem.

▶ Nie ma co ukrywać, w zachodniej Europie te przywileje są dzisiaj faktem. Co było kluczem do sukcesu?

Ta wojna kulturowa i ofensywa środowisk LGBT, o których wspomniałem, natrafiły na sprzyjający grunt, jakim jest sekularyzacja i dechrystianizacja społeczeństw zachodnich. Widzimy więc odejście od dotychczasowej antropologii, czyli wizji człowieka, opartej nie tylko na objawieniu biblijnym, lecz także na prawie naturalnym. Ten drugi czynnik wydaje się zresztą ważniejszy, dlatego że stałe związki homoseksualne jako normę kulturową odrzucają także inne kręgi cywilizacyjne, nieoparte na chrześcijaństwie, jak islam czy buddyzm. To się po prostu nie mieści w ramach prawa naturalnego. Dlatego mamy dziś do czynienia z wyjątkowym eksperymentem. Nie było do tej pory w dziejach świata cywilizacji, w której związki homoseksualne byłyby kulturową normą. W której obowiązywałaby absurdalna teoria o wielości i płynności płci. W tym sensie jest to pierwsza w dziejach próba zbudowania cywilizacji opartej na zupełnie innym fundamencie antropologicznym niż ten, który mówi o komplementarności dwóch płci: męskiej i żeńskiej. To projekt skrajnie rewolucyjny, który jest eksperymentem na żywej tkance społecznej. Ten eksperyment uderza w najsłabszych i bezbronnych. Oczywistą konsekwencją uznania związków homoseksualnych za normę prawną i kulturową jest przyznanie im przywileju adopcji dzieci, mówiąc, że to prawo, które im się należy. To brzmi, jakby dzieci były przedmiotami, które można sobie przywłaszczać i do których można mieć roszczenia. To bardzo niebezpieczny eksperyment.

▶ Jaka jest cena tego eksperymentu?

Odpowiedzi dostarcza m.in. bardzo rzetelny i kompleksowy raport dr. Marka Regnerusa z USA, który badał wpływ wychowania dzieci przez pary homoseksualne w porównaniu z dziećmi wychowywanymi w związkach heteroseksualnych. Okazało się, że jest to wpływ szalenie destrukcyjny. Wśród osób wychowywanych przez pary jednopłciowe drastycznie większa była liczba samobójstw, wchodzenia w kolizję z prawem, depresji i różnych chorób, a także molestowania seksualnego nieletnich przez dorosłych. Mamy więc konkretne badania empiryczne wskazujące na szkodliwość tego eksperymentu.

▶ Z czego wynika parcie na zmianę obecnej struktury społecznej? Co leży u podstaw tego ruchu politycznego i decyzji, aby w ten sposób przedefiniowywać podstawowe wartości?

Mamy do czynienia z pewną ideologią emancypacji, która pojawiła się dość dawno. Zdania historyków idei są podzielone, kiedy ten proces się zaczął. Część uważa, że początków możemy doszukiwać się w reformacji; inni twierdzą, że w oświeceniu. Niemniej jednak jest to ideologia bazująca na przekonaniu, że człowiek jest z natury dobry, a tym, co jest źródłem zła w świecie, są niesprawiedliwe struktury społeczne. Komuniści te struktury identyfikowali głównie z własnością prywatną, religią chrześcijańską, tradycyjną moralnością, a także patriarchalną rodziną, które należało zniszczyć, by wyzwolić człowieka z tych krępujących więzi, uniemożliwiających szczęście człowieka i hamujących rozwój ludzkości. Teraz mamy do czynienia z kolejnym etapem tego procesu emancypacji, czyli z wyzwalaniem się z takich instytucji, jak rodzina, małżeństwo, rodzicielstwo, macierzyństwo, a nawet z wyzwalaniem się

eprasa.pl dfaed9b77b

od praw biologicznych, naturalnej antropologii i rozumienia własnej płci. Twierdzenie, że płci może być kilkadziesiąt, a nie tylko dwie, jest „wyzwoleniem" wręcz z gatunkowej istotowości człowieka. Ten „nowy, wspaniały świat", jaki obiecuje ta ideologia, nie jest jednak drogą do szczęścia i samorealizacji, lecz kolejnym etapem realizowania tego samego utopijnego marzenia, że człowiek może zastąpić Boga i być niczym nieograniczony. Eric Voegelin nazywał ten rodzaj myślenia gnozą polityczną, czyli realizowaniem celów ostatecznych metodami politycznymi.

▶ Arcybiskup Jędraszewski mógł liczyć na wyrazy wsparcia. Głównie jednak Polaka wsparły episkopaty z krajów znajdujących się niegdyś za żelazną kurtyną – Słowacja, Czechy, Węgry i Ukraina. Dlaczego nie ma wsparcia od duchownych z Zachodu?

W tej wojnie kulturowej są dwie strony. Bardzo wiele osób na Zachodzie myśli podobnie jak abp Jędraszewski, ale one nie mają ani swojej znaczącej reprezentacji politycznej, ani wsparcia medialnego. Powinny mieć oparcie w Kościele, ale niestety w wielu krajach zachodnich Kościół hierarchiczny dał się zastraszyć mainstreamowi i milczy albo wręcz przyjął optykę tamtej strony, jak chociażby biskupi w Niemczech. W naszej części Europy jest inaczej. Chrześcijańska część społeczeństwa może liczyć na dość znaczące siły polityczne, którzy szanują jej wrażliwość i wartości, a także posiada mocne wsparcie w hierarchii Kościoła. Dlatego odważny głos chrześcijan jest słyszalny mimo panującej u nas nierównowagi ideowej w mediach, bo przecież tamta strona dysponuje ewidentną przewagą medialną także w naszej części Europy.

▶ Czy jest szansa na to, żeby Kościół z naszej części Europy odegrał decydującą rolę w odbiciu tendencji, którą obserwujemy na Zachodzie?

Gdy jeżdżę po świecie i rozmawiam z chrześcijanami w różnych krajach, często słyszę, że Polska jest dla nich źródłem nadziei i ważnym punktem odniesienia. Często duchowieństwo i środowiska konserwatywne w Europie Środkowej i Wschodniej czekają na sygnał z Polski, który ośmiela ich później do publicznej aktywności. Okazuje się, że gdyby Polacy nie podnosili pewnych spraw, to tamci nie znajdowaliby w sobie odwagi do publicznego występowania. Myślę, że zajmujemy dziś strategiczne miejsce na duchowej mapie naszego kontynentu. Z tego powodu tak zażarta jest ta wojna kulturowa w naszym kraju. Polska to ostatni duży kraj w Europie, który nie poddał się lewicowo-liberalnej ideologii i w którym chrześcijaństwo wciąż odgrywa dużą rolę w życiu publicznym. Zniszczenie wiary u nas zmieniłoby zasadniczo sytuację. Tak naprawdę jest to walka duchowa, w której zawsze na końcu chodzi o to samo: o wyrwanie Boga z serca ludzi.

▶ Kościół w Polsce też nie jest jednorodny. Mieliśmy reakcję chociażby dominikanina Pawła Gurzyńskiego.

To są jednak pojedyncze głosy. Na Zachodzie w tego typu przypadkach pojawiają się dziesiątki takich głosów, i to nawet należących do hierarchii katolickiej. U nas sytuacja jest inna. Nawet najbardziej liberalny biskup w Polsce byłby w niektórych episkopatach na Zachodzie uważany za najbardziej konserwatywnego biskupa w tamtym gronie. Skala kontestacji nauczania Kościoła przez duchownych jest w porównaniu z tamtymi krajami minimalna. W dużej mierze wiąże się to z wciąż żywym dziedzictwem duchowym prymasa Stefana Wyszyńskiego i św. Jana Pawła II, które nadal – nawet po latach – wydaje swe owoce.

▶ A jak jest w USA? Wydają się być bardziej konserwatywne.

Nawiązując do słynnego stwierdzenia Roberta Kagana, że „Amerykanie są z Marsa, a Europejczycy z Wenus", pozwoliłem sobie zauważyć, że Polacy przypominają nieco Marsjan na Wenus. W wielu sprawach jesteśmy bowiem bliżsi Amerykanom niż zachodnim Europejczykom. I nie chodzi tu tylko o sojusz geopolityczny i bezpieczeństwo międzynarodowe, lecz także o pewien charakter narodowy, o kwestie kulturowe oraz ideowe, o żywotność i dynamikę religijną. Stany Zjednoczone nie uległy tak gwałtownej sekularyzacji jak Europa Zachodnia. Tam istnieje świadomość wojny kulturowej, jaka się toczy dzisiaj na świecie.

▶ Ostatnie pytanie. Jak zakończy się wojna kulturowa w Polsce?

Jestem przekonany, że ideologia gender reprezentowana przez środowiska LGBT musi upaść pod swoim własnym ciężarem, ponieważ – tak jak komunizm – jest zbudowana na „błędzie antropologicznym". System zbudowany wbrew naturze człowieka, przeciw prawu naturalnemu, nie ma szans na przetrwanie, bo jest wymierzony w naturalny porządek rzeczy. Na świecie istnieje duży opór wobec tej utopii, ale jest on niedostrzegalny z powodu mediów, które go przemilczają. Ale na dłuższą metę jest to nie do utrzymania. ■

eprasa.pl dfaed9b77b

Marcin Wolski

Homo gejus

Zjawisko pociągu do osobników tej samej płci występuje wśród rozmaitych gatunków zwierząt (pingwiny, kaczki, żyrafy itp.), nigdzie jednak nie jest odmiennością dominująca i nie zawsze jest akceptowane przez resztę. W historii człowieka stosunek do homoseksualistów podlegał zmianom – od Biblii, gdzie uznano to za odrażające wyzwanie rzucane samemu Bogu (czego efektem była zagłada Sodomy), po obowiązującą w większości świata tolerancję. Nie mylić z aprobatą! Nawet w starożytnej Grecji nie afirmowano współżycia dorosłych osobników tej samej płci. Dla intelektualistów godne pochwały było partnerstwo mistrz-uczeń, które dziś pewnie potępiono by jako pedofilię lub ściślej mówiąc – efebofilię. Dopuszczano też szczególne praktyki erotyczne w środowiskach artystycznych, jak „miłośnice Safony" na wyspie Lesbos. Szczególnym wyjątkiem były Teby, gdzie elitarny „święty hufiec" tworzyły pary pederastów złączone ze sobą na śmierć i życie. Poza tym piętnowano homoseksualizm jako występek, szczególnie gdy dopuszczali się go cesarze (jak Tyberiusz), a nawet wielcy wodzowie (Aleksander Macedoński). Na ile przyczyniło się to do upadku antyku – zapewne obok rozluźnienia obyczajów, rozwodów, aborcji, preferencji łatwego życia i niechęci obrony granic, „grecka miłość" miała swój udział w tym, że wyludniające się Imperium Rzymskie stało się łatwym celem barbarzyńców.

W średniowieczu sodomia karana była śmiercią, a póki nie wprowadzono w XI wieku celibatu, nie występowała raczej wśród księży. Z dużą mocą objawiła się za to w renesansie, a wraz z nią mit o szczególnych uzdolnieniach cechujących osoby niechętne załatwiania spraw seksu jak Bóg przykazał. Ośmielam się mieć odmienne zdanie – talenty często rozkwitają w warunkach trudnych – niedostatek, bark akceptacji, walka z własnymi skłonnościami – mogą działać podobnie jak ziarnko piasku, które dostając się pod skorupę małży, generuje powstanie perły. Druga kwestia to siła przyciągania na zasadzie „swój do swego", kooptacja do branż nie tylko na podstawie talentu. Mówią, że naprawdę trudno osobnikowi hetero wcisnąć się do baletu. Ciekawe, czy obecna powszechna tolerancja i promocja poskutkuje prawdziwą klęską urodzaju nowych Michałów Aniołów i Oskarów Wilde'ów. W powieści „Noblista" opisałem karierę osobnika, który pisał powieść o gejowskim romansie hitlerowca i Żyda w Oświęcimiu, a którego niszczy donos Polaka. Autor miał nieomal pewnego Nobla... Ale co będzie, kiedy wszyscy będą pisać tak samo? Ostatnio furorę zrobił na świecie Netflix –platforma proponująca nową formę telewizji domowej, pozwalającą o każdej porze obejrzeć dowolny serial i i sięgnąć po ulubione dzieła kina. Tyle że oddając się na służbę poprawności politycznej, twórcy przedobrzyli. Sceny gejowskie, lesbijskie wylewają się już z każdego filmu, promuje się punkt widzenia lewicy jako jedyny oczywisty, a prawicowcy to ciemne, zbrodnicze ksenofoby. Efekt? Po raz pierwszy od lat rynek odbiorców Netflixa zaczął się kurczyć.

Podobno ludzkość rozwija się po spirali. Mnie bardziej odpowiada metafora wahadła. Kiedy ruch LGBT przeforsował (mając skądinąd zdecydowaną mniejszość) zmianę klasyfikacji zboczenia na orientację i narzucił to WHO, nie poprzestał na tym, żądania idą dalej, agresja się wzmaga. I jest mi żal wszystkich biednych, często zmagających się ze swą odmiennością ludzi, kiedy wahadło nastrojów zacznie wracać i nastaną czasy, gdy zatęsknimy za praworządnym procesem Oscara Wilde'a. ■

KIEDY RUCH LGBT PRZEFORSOWAŁ ZMIANĘ KLASYFIKACJI ZBOCZENIA NA ORIENTACJĘ I NARZUCIŁ TO WHO, NIE POPRZESTAŁ NA TYM, ŻĄDANIA IDĄ DALEJ, AGRESJA SIĘ WZMAGA.

eprasa.pl dfaed9b77b

Tomasz Duklanowski

Oblicze demonicznego zła

Polska wciąż uchodzi za zaścianek Europy w kwestii postępu we wprowadzaniu w życie ideologii LGBT. Walka ideologów LGBT z cywilizacją chrześcijańską w naszym kraju jest na etapie sprzed 20–30 lat krajów Europy Zachodniej. Tam „tęczowa zaraza" odniosła już zwycięstwo i pokazuje swoje prawdziwe, demoniczne oblicze.

My tu nie jesteśmy po to, żeby niszczyć czyjeś rodziny – mówiła w ubiegłym roku w Szczecinie podczas Pierwszego Marszu Równości Monika „Pacyfka" Tichy. – My chcemy zakładać nasze własne rodziny. Chcemy realizować nasze miłości tak jak wszyscy. Chcemy całego życia i chcemy go już teraz. Nie za dziesięć czy sto lat, kiedy ktoś tam będzie gotowy. Ten dzień jest tylko dzisiaj, ten rok jest tylko dziś. Życie mamy tylko jedno i nie ma w nim nic ważniejszego niż miłość. Miłość zwycięży – grzmiała.

Monika „Pacyfka" Tichy jest liderką szczecińskiego stowarzyszenia Lambda utworzonego przez środowisko homoseksualne zajmujące się propagowaniem ideologii LGBT i gender. Podczas wystąpień publicznych aktywistka odmienia słowo „miłość" przez wszystkie przypadki. Tak jest w całej Europie. Ideolodzy LGBT mówią z taką samą intensywnością o „miłości" jak propaganda komunistyczna, która mówiła o „pokoju" i nieustannej potrzebie „walki o pokój". „Love is love" to główne hasło wszystkich marszy równości, które organizowane są w Europie, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i postępowych krajach Ameryki Południowej, takich jak Argentyna, Urugwaj czy Brazylia, choć w tym ostatnim państwie prezydent Jair Bolsonaro ogranicza rządowe wsparcie dla środowisk homoseksualnych.

▶ Prawdziwe oblicze

Na szczęście Polska nie należy do awangardy krajów wprowadzających w życie pomysły ideologów LGBT. Jest pod tym względem „opóźniona" o około 20–30 lat w stosunku do krajów zachodniej Europy. Dlatego środowiska LGBT nie mogą sobie pozwolić na to, aby pokazać do końca swoje prawdziwe oblicze. Można je natomiast zobaczyć podczas berlińskiego „Marszu dla życia" wyrażającego poparcie dla ochrony życia poczętego. Bierze w nim udział kilka tysięcy ludzi. Ale wygląda on zupełnie inaczej niż jego odpowiednik w Polsce. Aby nie drażnić środowisk LGBT, berliński marsz idzie w milczeniu. Uczestnicy nie niosą żadnych transparentów. Zgoda jest jedynie na trzymanie w dłoniach białych krzyży. A to wywołuje furię środowisk LGBT.

Miałem okazję brać udział w takim marszu trzy lata temu. Rozpoczął się przy nowym budynku Bundestagu, gdzie zebrali się prolifowcy, i ruszył w milczeniu. Tak było niemal przez całą trasę spod Bundestagu aż do placu Lustgarden przy Katedrze Berlińskiej, gdzie zakończyć się miał nabożeństwem ekumenicznym. Maszerujący tłum był szczelnie otoczony z każdej strony policjantami z grup szturmowych, wyposażonymi w kamizelki kuloodporne, pałki, kaski i broń. Jak informowała tego dnia rzeczniczka prasowa berlińskiej policji, do pilnowania prolifowców zaangażowano tysiąc funkcjonariuszy.

– Ta cisza sprawia, że mam wrażanie, jakbyśmy szli w pogrzebie, a w nie marszu dla życia – mówi ksiądz Tomasz Kancelarczyk z Bractwa Małych Stópek, który niemal co roku bierze udział w berlińskim marszu z grupą młodzieży ze Szczecina. – To przeciwieństwo polskich marszy, gdzie są śpiewy i tańce.

Po przejściu około kilometra byliśmy zmuszeni do zmiany trasy. Kilkaset metrów dalej środowiska lewackie – Antifa, LGBT, Femen, a także sataniści zablokowali ulicę. Kilkudziesięciu z nich przedarło się przez kordon policji, zaczęli wykrzykiwać wyzwiska i pokazywać środkowe palce milczącym uczestnikom marszu. Na kartonowych afiszach mieli wulgarne i obrażające hasła. Po przejściu kolejnych kilkuset metrów znów pojawili się lewacy. Zaczęły się wrzaski, gwizdy, walenie w bębny. Tak już było do końca. Wokół milczącego marszu powiewały gejowskie flagi, sterczały demonstracyjnie wznoszone przez satanistów krzyże odwrócone do góry nogami. Do jednego z takich krzyży ubrany na czarno młody mężczyzna z wytatuowanym demonem na szyi doczepił napis: „Maria, bitte bitte, treib ab" (Maryjo, proszę usuń ciążę).

Zdarza się, że w stronę uczestników marszu lecą prezerwatywy, a także zużyte tampony. Działaczki feministyczne po to, aby było je widać, wchodzą na drzewa, obok których przechodzi marsz, i rozbierają się do naga.

– Do takich sytuacji dochodzi każdego roku – mówi ksiądz Kancelarczyk. – Tu mamy do czynienia ze złem w czystej postaci. I jedynymi metodami na to są modlitwa i niestawianie oporu złu.

W berlińskim „Marszu dla życia" brał udział także ksiądz Jacek Dudek spod szczecińskiego Gryfina, który mówi, że rzadko rusza się w świat, ale do Berlina przyjechał w sutannie, przez miasto szedł ze stułą, co na działaczy LGBT działało niczym woda święcona. – Byliśmy świadkami zderzenia dwóch cywilizacji – mówił ksiądz Józef Dudek, gdy już wracaliśmy autokarem do Szczecina. – Cywilizacji piekła z cywilizacją nieba. Jeśli Niemcy się nie nawrócą, to tego kraju nie będzie.

W habitach były także dwie siostry z Gryfina pod Szczecinem. – Czy się bałam? – uśmiechała się siostra Teresa, urszulanka. – Wcale. Jestem przyzwyczajona. W szkole na lekcjach religii spotykam się niemal z tym samym. Dzieciaki są już wycho-

FOT. ARNO BURGI/PAP/EPA

eprasa.pl dfaed9b77b

wane przez TVN, w taki sam sposób jak tu – powiedziała.

Święto „kochających inaczej"

Ideolodzy LGBT poświęcają szczególną uwagę dzieciom i młodzieży. Podczas tegorocznej parady równości w Manchesterze, która co roku wypada w sierpniu, po raz pierwszy odbyło się Youth Pride – czyli „święto młodzieży LGBT w wieku 14 lat i starszych". Organizatorzy informują, że prócz imprez i koncertów dla dzieci odbywają się warsztaty „Poznaj siebie", które „obejmują wykłady autorskie, warsztaty aktorskie, warsztaty instruktażowe i inne".

Manchester Pride podobnie jak London Pride, która odbywa się w czerwcu, przyciąga setki tysięcy osób. Głównym punktem jest marsz równości. W Manchesterze i Londynie przypomina on nieco pochody pierwszomajowe w czasów PRL. W marszu bowiem biorą udział delegacje określonych zawodów, na przykład geje policjanci w mundurach, geje strażacy, geje w wojskowych mundurach itp. Co roku homoseksualnym świętom towarzyszą koncerty światowych gwiazd. Podczas parady gejów w Manchesterze zaśpiewała idolka nastolatków Ariana Grande, a dla starszego pokolenia zagrała Bananarama. W manchesterskich marszach równości bierze udział aktor i aktywista gejowski Ian Mckellen, odtwórca roli Gandalfa we „Władcy Pierścieni" i Magneto w serii filmów „X-Men".

Pierwszy marsz równości w Manchesterze odbył się w 1985 roku przy politycznym wsparciu Partii Pracy i dofinansowaniu Rady Miasta Manchester. Wzięło w nim udział kilkaset osób. Dziś wpierany jest przez największe koncerny, jak na przykład Coca Cola. W centrum miasta przy Canal Street powstała tzw. Gay Village, czyli miasteczko gejowskie z kilkudziesięcioma pubami i klubami dla homoseksualistów. Gay Pride w tym roku trwało cztery dni i dla władz miasta jest to dziś sztandarowa impreza, którą włodarze się chwalą.

W Gay Village w centralnym miejscu stoi pomnik Alana Turinga, brytyjskiego matematyka, kryptologa jednego z twórców informatyki, ale także homoseksualisty. Środowiskom LGBT z Wielkiej Brytanii Turing podpasował do mitu założycielskiego, podobnie jak bar Stonewall Inn w Nowym Jorku, w którym w 1969 roku doszło do zamieszek z policją.

Dwie mamusie, dwóch tatusiów, jedna córka

W brytyjskich mediach już od lat nikt nie wypowiada się krytycznie na temat marszy równości. Wszelkie dyskusje, zarówno w mediach głównego nurtu, jak i tych rządowych, zakończyły się kilkanaście lat temu. Media mówią jednym głosem o środowiskach LGBT. Nikt się nie odważy – tak jak jest to wciąż możliwe w Polsce – mówić o tym, że ideologia LGBT demoralizuje młodzież. I nie chodzi o to, że opinia taka spotkałaby się z ostracyzmem, lecz zakwalifikowana jako mowa nienawiści obłożona byłaby konsekwencjami karnymi. Dlatego wyłącznie promują homoseksualne parady.

Jeśli pojawiają się reportaże o parach homoseksualnych, to są to historie takie jak o Carlu Austinie-Behanie, byłym burmistrzu Manchesteru, i jego mężu Simonie. Manchester Evening News pod takim tytułem opisuje spełnienie marzeń byłego burmistrza: „Nasze dziecko będzie miało dwie mamusie i dwóch tatusiów". O co chodzi? Otóż Carl wyjaśnia, że on i jego mąż nie chcieli korzystać z ośrodka adopcyjnego. Postanowili mieć dziecko metodą naturalną. Poprosili jedną z dwóch znajomych lesbijek, które w 2017 roku się pobrały, o przysługę. „Carl i Simon dokonali darowizn nasienia w celu zapłodnienia in vitro, co oznacza, że nie wiadomo, kim jest biologiczny ojciec" – czytamy w manchesterskiej popołudniówce.

Dziewczynka urodziła się w tym roku. „Simon i ja będziemy odgrywać równie ważną rolę w życiu dziecka, jak jej mamy" – komentował Carl dla

IDEOLODZY LGBT POŚWIĘCAJĄ SZCZEGÓLNĄ UWAGĘ DZIECIOM I MŁODZIEŻY. PODCZAS TEGOROCZNEJ PARADY RÓWNOŚCI W MANCHESTERZE PO RAZ PIERWSZY ODBYŁO SIĘ YOUTH PRIDE – „ŚWIĘTO MŁODZIEŻY LGBT W WIEKU 14 LAT I STARSZYCH".

eprasa.pl dfaed9b77b

„MEN". „Nasze dziecko będzie miało dwie mamusie i dwóch tatusiów i tak właśnie chcemy". Gazeta dodaje, że zgodnie z prawem tylko dwie osoby mogą być wymienione jako rodzice w akcie urodzenia, więc tylko jeden członek każdej pary zostanie wymieniony w dokumencie. Historia Carla i Simona była opisywana przez inne media wyłącznie pozytywnie. Nikt nie zadał pytania, co z wychowaniem i rozwojem dziecka w takich warunkach.

Takie pytania można wciąż zadawać w Polsce. W Wielkiej Brytanii dyskusja także w tej kwestii zakończyła się kilkanaście lat temu. W tym roku Londyński „Sunday Express" w artykule „Jedno na dziesięć adoptowanych dzieci w UK idzie do par tej samej płci" dowodzi : „Badanie Centrum Badań nad Rodzinami Uniwersytetu Cambridge na temat doświadczeń rodzin adopcyjnych kierowanych przez pary osób tej samej płci sugeruje, że dzieci adoptowane przez osoby homoseksualne lub lesbijskie równie dobrze się rozwijają, jak dzieci adoptowane przez pary heteroseksualne".

W Wielkiej Brytanii w ubiegłym roku na blisko 4 tys. adopcji, 460 dzieci trafiło do par homoseksualnych. Dziś nawet tamtejsza Partia Konserwatywna na temat ideologii LGBT mówi jednym głosem z liberałami i socjalistami. Była premier Teresa May jeszcze kilka lat temu była przeciw adopcji dzieci przez homoseksualistów. Dziś już uważa inaczej: „W sprawie adopcji gejów zmieniłam zdanie, ponieważ przekonano mnie, że kiedy patrzysz na przyszłość dziecka, myślisz, że lepiej dla niego, jeśli zamiast znaleźć się w środowisku instytucjonalnym, ma możliwość przebywania w stabilnym, rodzinnym środowisku – może to być para heteroseksualna lub para gejów" – wyjaśniała zmianę poglądów była premier.

Wprowadzone w Wielkiej Brytanii tzw. przepisy antydyskryminacyjne doprowadziły do tego, że już kilkanaście lat temu przestały działać katolickie organizacje adopcyjne. Przepisy zmuszały je bowiem do przekazywania dzieci parom tej samej płci.

Ostatnią z organizacji, która próbowała walczyć w brytyjskich sądach o prawo do nieprzekazywania homoseksualistom dzieci, była działająca od 150 lat Catholic Care, obejmująca diecezję Leeds, Middlesbrough i Hallam. Organizacja prócz adopcji dzieci wspierała także samotne kobiety w ciąży, które znalazły się w trudnej sytuacji. Zajmowała się również opieką nad osobami upośledzonymi umysłowo i osobami starszymi.

Catholic Care walkę w sądach rozpoczęła w 2007 roku. Po pięciu latach batalii Sąd Najwyższy uznał wyższość praw antydyskryminacyjnych nad prawem do odmowy wydawania dzieci przez organizację katolicką parom homoseksualnym. W orzeczeniu sądu stwierdzono, że... interesy dziecka są najważniejsze. „Sądy uznały, że w interesie dzieci oczekujących na adopcję jest to, aby możliwości rodziców także tych jednopłciowych, którzy chcą adoptować dzieci, nie były ograniczane" – czytamy w gazecie „Catholic Herald".

▶ Strach otworzyć usta

W krajach Europy Zachodniej wojnę ideologiczną wygrały już środowiska LGBT. Ich postulaty – jak „małżeństwa homoseksualne", adopcja dzieci przez pary jednopłciowe – już dawno zostały zrealizowane. Poprzez wprowadzenie szeregu tzw. przepisów antydyskryminacyjnych skutecznie zablokowano jakąkolwiek krytykę ideologii LGBT. Organizacje homoseksualne są wspierane przez władze, a gigantyczne koncerny międzynarodowe wydają miliony na promocję środowisk LGBT.

Mimo tego ideolodzy LGBT wmawiają, że to dopiero początek drogi.

W czerwcu w wypowiedzi dla brytyjskiego dziennika „The Guardian" – jednego z największych i najbardziej opiniotwórczych dzienników w Wielkiej Brytanii – aktywistka LGBT Laura Russell, dyrektor Kampanii Przeciwko Działaniom Rasistowskim Stonewall, twierdzi, że w ostatnich latach następuje wzrost przestępstw związanych z homofobią i nienawiścią wobec osób homoseksualnych. „Wzrost liczby przestępstw z nienawiści pokazał, że do zaakceptowania społeczności LGBT w brytyjskim społeczeństwie jest długa droga".

Dziennik „The Guardian" przytacza dane, z których wynika, że w 2018 roku liczba przestępstw na tle homofobicznym wzrosła o 144 proc. w stosunku do lat ubiegłych, i będzie wzrastać. W ubiegłym roku było to 11 tys. przypadków.

Przy czym warto dodać, że liczba zgłaszanych tzw. ataków homofobicznych, o czym mówi w wypowiedzi dla „Guardiana" Jessica Wehite z Fundacji LGBT, może być związana „ze zwiększoną świadomością przestępstw z nienawiści i możliwością ich zgłoszenia".

Co jest uznawane za przestępstwo i prześladowania na tle homofobicznym? Na przykład gdy ktoś zwróci uwagę całującym się homoseksualistom w autobusie. Przestępstwo może popełnić także pracownik infolinii rozmawiający z tzw. osobą transpłciową, kiedy słysząc męski, głos nieopatrznie zapyta: „W czym mogę panu pomóc?". ■

eprasa.pl dfaed9b77b

Małgorzata Matuszak

Runęły mury intymności

Wiek inicjacji seksualnej w Polsce powoli, acz systematycznie się obniża. Przyczyn tego stanu rzeczy jest wiele, choćby: wcześniejsze dojrzewanie, wszechobecna kultura seksu, brak dobrej atmosfery w rodzinie, presja otoczenia. Jeśli dodamy, że na „nowoczesną" edukację seksualną niepomierny wpływ wywierają środowiska LGBT+, sytuacja wymaga o wiele głębszego namysłu.

epraca.pl/code/19b77b

Okres dojrzewania to trudny czas zarówno dla młodego człowieka, jak i dla jego otoczenia. Tak było zawsze, ale – trzeba to przyznać – bycie nastolatkiem w dzisiejszych czasach jest szczególnie trudne. Bo współczesny świat jest trudny, zwłaszcza dla tych, którzy pragną kierować się wartościami dzisiaj niemodnymi, odrzucanymi, świadczącymi o tym tylko, że nie przystaje się do tego, co dziś wypada i co stało się najważniejsze. Młody człowiek jest krytyczny, ale też łatwo poddaje się wpływom otoczenia. Nie inaczej jest w sferze, która w okresie adolescencji w szczególny sposób ulega przemianie – w sferze seksualności.

Wiek inicjacji w dół

Według raportu „Ryzykowne zachowania Polaków", przeprowadzonego przez Centrum Profilaktyki Społecznej w 2016 roku, wiek inicjacji seksualnej w Polsce obniża się i zbliża w widoczny sposób do tzw. granicy biologicznej. Wynosi 17 lat i 4 miesiące wśród ankietowanych w wieku 18–25 lat. W porównaniu z danymi z identycznego badania, które przeprowadzono pięć lat wcześniej, wiek ten się obniżył – wtedy wynosił 18 lat i 1 miesiąc, a odsetek osób, które rozpoczęły współżycie w wieku 15–16 lat, wynosił 18 proc. Ankieta przeprowadzana była w całej Polsce, wśród mieszkańców miast i wsi, uczniów różnych typów szkół. Tendencja obniżania się wieku inicjacji seksualnej utrwala się niezależnie od tych różnic. Najniższy wpisany wiek, w którym młody człowiek przeżył swój „pierwszy raz", to 13 lat i 6 miesięcy. Ankieta wykazała też, że 15 proc. gimnazjalistek prowadzi aktywne życie seksualne, a wśród uczniów szkół ponadgimnazjalnych i studentów 19 proc. kobiet i 22 proc. mężczyzn miało już więcej niż pięciu partnerów seksualnych. Co dziesiąty respondent przyznaje, iż uprawiał seks już na pierwszej randce.

Warto te statystyki porównać z wynikami badań z krajów, które dzisiejsi bojownicy o „rzetelną edukację seksualną w szkołach" uznają za wzorcowe w zakresie kształcenia w tym względzie. Przytoczmy więc badania na temat zachowań seksualnych brytyjskiej młodzieży, które powtarzane są średnio raz na dziesięć lat. W najnowszym sondażu, opublikowanym w BMJ Sexual & Reproductive Health, przepytano prawie 3 tys. nastolatków. Najbardziej zaskakujące okazało się, że 40 proc. dziewcząt oraz 26 proc. chłopców żałuje tego, że przedwcześnie rozpoczęło współżycie płciowe. Z sondażu wynika zaś, że połowa ankietowanych inicjację seksualną miała za sobą przed ukończeniem 17 lat, a prawie jedna trzecia – przed 16. rokiem życia. Co piąta dziewczyna przyznała też, że zrobiła to pod presją partnera, w przypadku chłopców miało to miejsce u co dziesiątego z nich.

Zbyt wczesne rozpoczęcie współżycia ma wiele poważnych konsekwencji, które ujawniają się później. Większa liczba partnerów seksualnych w przyszłości, w tym wielu jednoczesnych, angażowanie się w ryzykowne zachowania seksualne, zapadalność na choroby przenoszone drogą płciową i infekcje, mniejsza trwałość relacji seksualnych w przyszłości, zwiększone ryzyko depresji, myśli i prób samobójczych, skłonność do aktów przemocy – wszystkie te skutki udowodnione są naukowo. Nie wspominam już o niechcianych dzieciach, bo to temat tak ważny, że wart osobnego namysłu. Czy to nie powinno dawać do myślenia propagatorom nowoczesnej edukacji seksualnej?

Dlaczego tak wcześnie?

Dlaczego na swój pierwszy raz młodzi ludzie decydują się coraz wcześniej? Doktor hab. prof. nadzw. Mariusz Jędrzejko, terapeuta i współautor raportu „Ryzykowne zachowania Polaków", wymienia kilka przyczyn. Jako pierwszą, podstawową, podaje fakt, iż współcześni nastolatkowie biologicznie i fizycznie dojrzewają dziś wcześniej niż jeszcze niedawno. Przyczynia się do tego także nasza żywność, pełna ulepszaczy, spulchniaczy i konserwantów. „Przez nie organizm jest jak wulkan, który ciągle rośnie" – mówi wprost. Trzeba pamiętać jednak o tym, że tempo dojrzewania biologicznego i fizycznego nie pokrywa się z tempem dojrzewania emocjonalnego, psychicznego czy społecznego.

Drugim niezwykle istotnym czynnikiem przyspieszenia seksualnej aktywności jest wszechobecna kultura seksu. Przyznają to także młodzi ludzie – 80 proc. ankietowanych zgodziło się ze zdaniem, że życie jest coraz bardziej „zseksualizowane". Według badania 85 proc. nastolatków i 95 proc. studentów oglądało filmy pornograficzne. Wiele innych analiz jednoznacznie wskazuje na znaczenie mediów dla podejmowania wczesnej aktywności seksualnej. Według Amerykańskiej Akademii Pediatrii aż dwie trzecie programów telewizyjnych zawiera treści o charakterze seksualnym. Według badań Laurence'a Steinbera i Kathryn C. Monahan treści o charakterze erotycznym pojawiają się w 70 proc. wszystkich programów telewizyjnych i w 68 proc. emitowanych koncertów, a w czasie najwyższej oglądalności ilość treści seksualnych wynosi sześć scen na godzinę. W programach skierowanych do młodzieży – jak twierdzą badacze – trudno przeprowadzić dokładną analizę, gdyż liczba filmów i stron internetowych o charakterze erotycznym czy pornograficznym jest w zasadzie nieograniczona.

Nie ulega wątpliwości, że młodzi ludzie są cały czas bombardowani erotyką, runęły mury intymności. „Jeśli my, dorośli, będziemy coraz bardziej »seksualizować« język i obrazy, nigdy nie dojdziemy z naszymi dziećmi do ładu. To, że ich zachowania seksualne są takie, a nie inne, to wcale nie ich wina" – stwierdza prof. Jędrzejko i dodaje: „Podczas swojej pracy jako terapeuta nigdy nie spotkałem złego dziecka. Dzieci mają tylko złych rodzi-

fot. Fotolia

eprasa.pl dfaed9b77b

ców albo nie mają ich wcale. Więc jeśli my, dorośli, rozpędziliśmy do tego stopnia nasze pociechy, teraz mądrze musimy je spowolnić, wprowadzając pewne zasady".

Badania jednoznacznie wskazują też, że aktywność seksualną wcześniej podejmuje młodzież z rodzin zrekonstruowanych i niepełnych niż z tych z obojgiem biologicznych rodziców. Brak partnerskich stosunków między rodzicami, brak dobrej atmosfery w rodzinie i złe samopoczucie w domu rodzinnym to także istotne czynniki wpływające na zbyt wczesną inicjację seksualną, w szczególności wśród dziewcząt. Inne przyczyny – jak ciekawość, zabawa, chęć zaimponowania innym czy nawet czerpanie korzyści materialnych – to konsekwencje innych.

Nowa edukacja seksualna

Nastolatkowie podejmują aktywność seksualną również pod presją otoczenia. Skoro bowiem rówieśnicy „to robią", dlaczego oni nie mieliby spróbować? A jeśli dodatkowo na lekcjach edukacji seksualnej mówi im się, że seksualność to jedynie miła, niezobowiązująca zabawa? Jeśli dodamy, że na „nowoczesną" edukację seksualną niepomierny wpływ wywierają środowiska LGBT+, sytuacja wymaga o wiele głębszego namysłu.

Edukacja seksualna dzieci i młodzieży jest potrzebna, to nie ulega wątpliwości. Dzisiejsi nastolatkowie czerpią o tym wiedzę głównie od rówieśników i z Internetu, a to niestety niekoniecznie są wiarygodne źródła. Trzeba więc, by zwrócili się w stronę tych sprawdzonych. Czy są nimi lekcje edukacji seksualnej promowanej przez środowiska lewicowo-liberalne? No nie, bo zamiast koncentrować się na człowieku, miłości, rodzinie, skupiają uwagę na seksie, technikach i przyjemności. Nauczają o wolności seksualnej, o otwartości wobec innych orientacji seksualnych. A to tylko nikła próbka tego „programu", bo w wytycznych WHO można wyczytać o wiele więcej.

Czasami, by uświadomić sobie pewne zjawiska, warto odwołać się do sytuacji skrajnych. I tak w USA „nowoczesna edukacja seksualna" trwa już od 30 lat, a jej skutki pokazują badania amerykańskiej młodzieży w wieku 14–18 lat przeprowadzone przez CDC, agencję wchodzącą w skład Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej, opublikowane w trzech raportach za lata 2001–2009, 2015 i 2017 rok. Z przytoczonych przez Grzegorza Strzemeckiego w „Gazecie Polskiej" („Inżynierowie dusz i ciał", „GP" nr 33/2019) danych wynika, że w Nowym Jorku aż 25,3 proc. młodzieży nie przyznaje się do jednoznacznej heteroseksualności – 3 proc. z nich określa się jako geje lub lesbijki, 7,4 proc. jako osoby biseksualne, a 14,9 proc. jako niepewnych swej seksualnej tożsamości. Dla porównania – kilkanaście lat temu odsetek ten wynosił 8,9 proc. Wszystko wskazuje na to, że tendencja zwyżkowa w tym względzie będzie się utrzymywać.

Magdalena Korzekwa-Kaliszuk, prawnik i psycholog, podczas „Rozmów niedokończonych" w TV Trwam i Radiu Maryja stwierdziła: „Jesteśmy dzisiaj bardzo mocno atakowani, gdy chodzi o człowieka, o jego więzi, wartości, o jego życie już od pierwszych momentów rozwoju, gdy chodzi o rodzinę. Tutaj musimy się bronić. Jesteśmy atakowani bezpośrednio, a zwłaszcza atakowane są nasze dzieci. Mam na myśli fakt, że do szkół coraz częściej próbują wchodzić demoralizatorzy, którzy pod pięknymi hasłami »antydyskryminacji«, tudzież »edukacji seksualnej« przekazują bardzo groźne i destrukcyjne treści. To jest rzeczywistość naszego kraju, zwłaszcza dzieje się to w Warszawie i innych wielkich miastach. Lewica, m.in. Koalicja Europejska, mówi wprost, że chciałaby, aby tego typu rzeczy działy się w całej Polsce".

Po pierwsze: miłość

Seks jest tematem ważnym i równocześnie delikatnym. Wśród przyczyn przedwczesnej inicjacji seksualnej młodzieży pojawia się bowiem i ta istotna: potrzeba bliskości i miłości, której brakuje w rodzinach. Josh McDowell, Amerykanin, świadek tego, co wydarzyło się w USA w konsekwencji współczesnych form edukacji seksualnej, mówi: „Nasze dzieci wcale tak bardzo nie pragną seksu. Znacznie bardziej chcą być kochane. Pragną poczucia prawdziwej bliskości z rodzicami, zwłaszcza z ojcami. Gdy w rodzinie nie znajdują tej intymności, zaczynają jej szukać w życiu seksualnym. Potem piszą o swoich poszukiwaniach tak jak pewna amerykańska nastolatka: »Byłam marionetką w rękach każdego mężczyzny, który powiedział, że mnie kocha, ponieważ rozpaczliwie pragnęłam, żeby ktoś pokochał mnie bezwarunkowo«".

Nowoczesna edukacja seksualna podobna jest do akcji przeciwdziałającej narkomanii, która ma na celu dostarczenie jednorazowych strzykawek narkomanom, by nie zarazili się różnymi chorobami. Nie tędy droga. Można nakłaniać nastolatki do używania prezerwatyw, stosowania pigułek antykoncepcyjnych czy tych „dzień po", ale czy tędy droga? Jeśli nie nauczy się ich mądrego postrzegania własnej seksualności, tego, że nie warto się spieszyć, jeśli nie pokaże się im właściwego wzorca – ile taka edukacja jest warta? „Baw się swoją seksualnością", „Eksperymentuj" czy też „Nie baw się swoją seksualnością, bo to pole minowe, z którego możesz nie wyjść cało" – jakie hasła powinny przyświecać dzisiejszej edukacji seksualnej?

Edukacja seksualna potrzebna jest w szkole, ale zwłaszcza – potrzebna jest w domu. To tam przede wszystkim dziecko uczy się wzorców zachowania seksualnego, to tam pragnie się czuć bezpiecznie. Wiedza z zakresu edukacji seksualnej musi być też dostosowana do wieku dziecka, nie wolno dostarczać mu jej ponad miarę, ponad jego naturalną ciekawość, nie wolno go seksualizować. ■

eprasa.pl dfaed9b77b

Ryszard Czarnecki

LGBT, czyli nie dajmy się zwariować!

Ideolodzy LGBT największą krzywdę wyrządzają, paradoksalnie, swoim homoseksualnym braciom, którzy nie chcą się afiszować.

Wracam z dożynek w Kobierzycach, powiat Wrocław, i Chróścinie, gmina Góra Śląska (choć stąd, wbrew nazwie, tylko 10 km do wielkopolskiego Leszna...). Jeszcze przed chwilą doświadczałem ludzkiej serdeczności, pozytywnej energii, wyrazów wsparcia, jeszcze przed chwilą „ładowałem akumulatory", czerpiąc siłę i moc od ludzi, którzy daleko od aglomeracji i miast, przez które przechodzą tzw. parady równości, dbają o polską tradycję, polskie obyczaje, o to wszystko, co nazwałbym zwykłą sarmacką normalnością. I nagle zimny prysznic: SMS z Warszawy – pani sekretarz redakcji „Nowego Państwa" terroryzuje mnie (bardzo grzecznie oczywiście), przypominając o terminie oddania „tekstu o LGBT". Piękna pogoda, piękni ludzie, ciepło, gdy chodzi o pogodę, i jeszcze ludzkie ciepło, a tu „masz, babo, placek" – pisz o LGBT. Humor od razu mi się zwarzył, bo przecież choć to temat ważki, zająć nim się trzeba, ale jest tym, o którym mówię i piszę bez przyjemności.

Nie obchodzi mnie, kto z kim śpi i gdzie. Jestem wolnym Polakiem w wolnym kraju, który przez wieki mógł uczyć tolerancji nietolerancyjny Wschód i nietolerancyjny Zachód. Polska była „państwem bez stosów", a jeśli były od tego wyjątki, to potwierdzały one tylko regułę. Regułę obcą naszym sąsiadom z różnych stron.

Dziś słyszę oskarżenia o brak tolerancji w mojej ojczyźnie. Wychodzą one bardzo często od tych samych ludzi, którzy gromko oburzają się, gdy zdarza się przedstawicielom naszej strony, reprezentantom „obozu patriotycznego", krytykować islam i jego ekspansję w Europie. Ten sam islam, który w radykalnej wersji homoseksualistów traktuje jak podludzi i ich karze. I gdzie tu jest logika? Nie ma. Ale przecież nie o nią tu chodzi. Nie chodzi też o prawdę, bo według statystyk tolerancja wobec mniejszości seksualnych w Polsce nie spada, a rośnie. Jeśli ktoś, jak na przykład liberalne elity, używa tezy o wzroście przestępstw w tym obszarze, to jest to pseudoargument, gdyż po prostu wcześniej takich zachowań nie zgłaszano!

KWESTIA LGBT JEST URUCHAMIANA JAKO ELEMENT WALKI POLITYCZNEJ Z OBOZEM RZĄDZĄCYM. NIE CHODZI TU WIĘC O MERITUM, TYLKO O WYKREOWANIE TEMATU, KTÓRY EWENTUALNIE MOBILIZOWAŁBY WYBORCÓW LEWICOWYCH I LIBERALNYCH.

Kwestia LGBT jest uruchamiana jako element walki politycznej z obozem rządzącym. Nie chodzi tu więc o meritum, tylko o wykreowanie tematu, który ewentualnie mobilizowałby wyborców lewicowych i liberalnych właśnie.

Znam homoseksualistów – przeciwników PO, głosujących na PiS z powodów patriotycznych. Głosują za nami, bo uważają, że to dla Polski dobre. Ale ich nie uświadczysz na tzw. paradach równości. Oni się ze swoją innością nie afiszują, tak samo jak heteroseksualiści nie zwierzają się publicznie z tajemnic własnej alkowy. Ba, nie jest żadną tajemnicą, że niektórzy ojcowie współczesnego polskiego konserwatyzmu też byli homoseksualistami, jak choćby Henryk Krzeczkowski. Ale uważali oni, że to sfera intymna, o tym mówić nie wypada, bo nie wszystko jest na sprzedaż i nikt z nich nawet nie pomyślał o adopcji dzieci przez „pary homoseksualne"...

Ideolodzy LGBT największą krzywdę wyrządzają, paradoksalnie, swoim homoseksualnym braciom, którzy, na Boga, nie chcą się afiszować. Gdyby owych przedstawicieli mniejszości seksualnych nagrać, gdy mówią to, co mówią o ideologii LGBT, to bardzo prawdopodobne, że ich teksty uznane by były za homofobiczne. ■

eprasa.pl dfaed9b77b

Ewa Polak-Pałkiewicz

WITAJCIE W DOBRYCH CIĘŻKICH CZASACH!

eprasa.pl dfaed9[illegible]76

fot. Krzysztof Sitkowski/Gazeta Polska

Radosna drwina – tak można by określić nawoływania tych wszystkich, którzy uważają, że Polacy i Polska mogą cokolwiek osiągnąć, sytuując się poza całą naszą tradycją i kulturą. Że mogą wspiąć się na wyżyny nowoczesności, postępu, dobrobytu, zmierzać ku odegraniu jakiejś roli politycznej w świecie, odcinając się zarazem od własnej przeszłości.

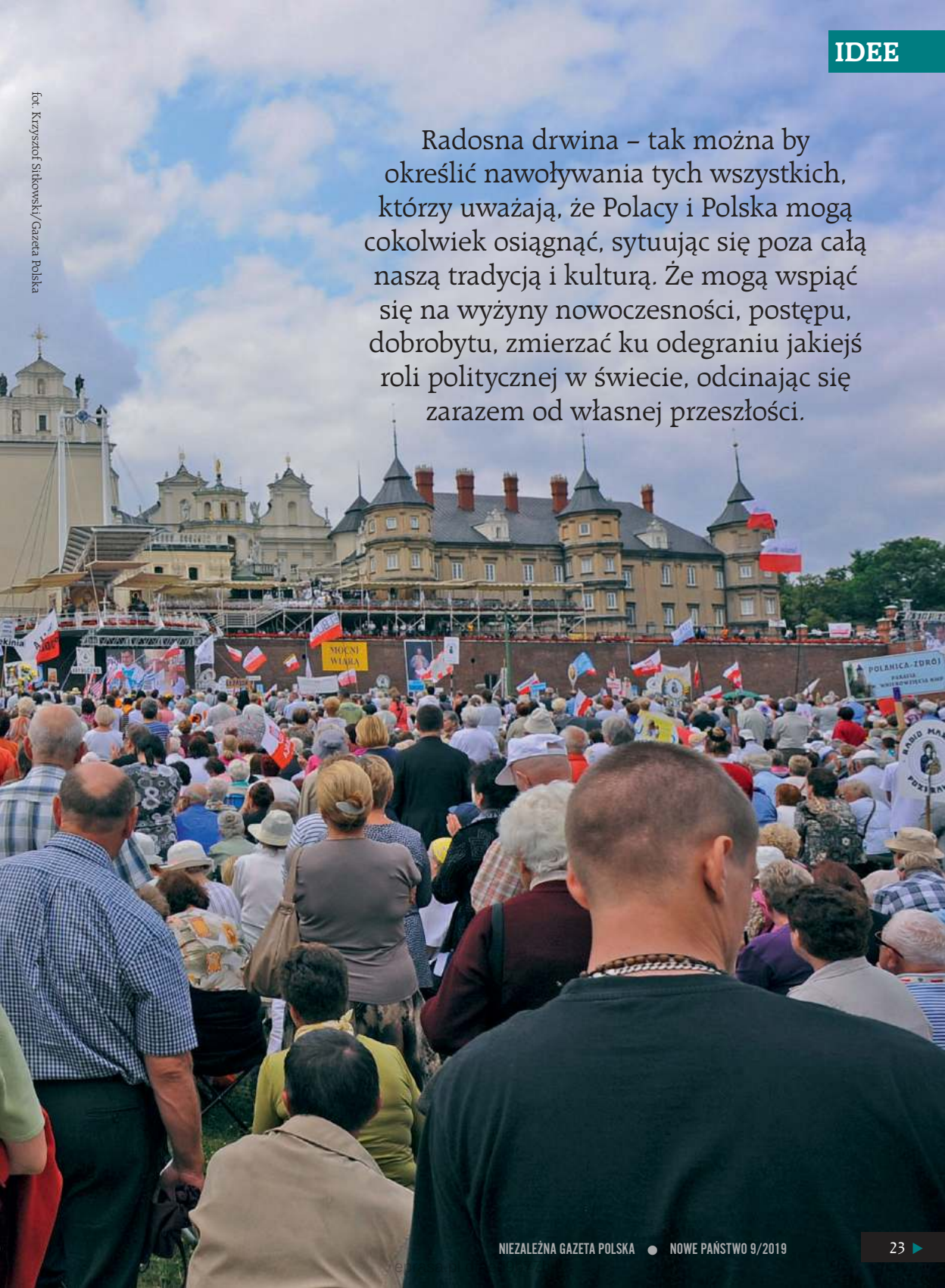

O znaczeniu i wymowie dat przypomina co roku tłum Polaków – przed kościołami, na ulicach, w tramwajach, autobusach, sklepach, kawiarniach. Ludzie o innych twarzach, ludzie świętujący Powstanie Warszawskie. Święto podniosłe, poważne, godne. Pomimo klęski Powstania – wielkie polskie święto. W sierpniu, który nazywany jest miesiącem Maryi.

„Podstawowa lekcja Benedykta XVI jest taka, że istnieje najgłębszy z możliwych związek Boga, Jego obecności bądź nieobecności ze wszystkimi sprawami naszego życia" – pisze o teologii Jozefa Ratzingera ks. Jerzy Szymik.

Jarosław Kaczyński nie zapomniał o tym, co ma znaczenie. Gdy po ogłoszeniu wyników poprzednich wyborów w sztabie PiS trwała euforia, on był na Jasnej Górze. Na Jasną Górę przyjechał także Andrzej Duda, krótko po ogłoszeniu wyników II tury. Stamtąd przybył do katedry wawelskiej. Były to wizyty prywatne, mało kto o nich wiedział.

„Jeśli nam się wydaje, że sprawę możemy odłożyć i przenieść na dalszy plan, a teraz mamy do zrobienia rzeczy ważniejsze niż Bóg – głęboko się mylimy i niszczymy właśnie to, co uznaliśmy za mniejsze od Boga. [...] To Jego obecność bądź nieobecność jest absolutnie decydująca dla wszystkiego w życiu" (ks. J. Szymik). Można mieć dziś pewność, że doczekaliśmy się w Polsce grupy polityków, którzy to rozumieją. Nie żyją i nie działają doraźnie i na ślepo, czyli „tak jakby Bóg nie istniał". Nie usprawiedliwiają podłości i kłamstwa popełnianych w imię polityki „tak jakby tam, w górze, nie było nikogo". Przeciwnie. Upominając się o godność obywateli państwa polskiego i o miejsce Polski na mapie Europy i świata, zgodne z jej wielowiekową tradycją i kulturą, robią właśnie to, co do nich należy. Ludzie pokroju Jarosława Kaczyńskiego, Mateusza Morawieckiego, Andrzeja Dudy, Antoniego Macierewicza – i wiele innych postaci polskiej sceny politycznej – prezentują dziś po prostu w polityce postawę rzymskich katolików. Niebywałe! W Europie towarzyszy jej uniesienie brwi, niedowierzanie, grymas ironii.

Ten właśnie światek, czyli terror „nowości"

Tak jak przewidywał Chesterton sto lat temu, elity europejskie zdominowane zostały przez środowisko, które można by nazwać koterią pełnych namaszczenia i powagi głupców. Bardzo wpływową, noszoną na rękach przez media. Ludzie ci, jak nietrudno zauważyć, wielbią intelekt, ale z reguły go nie używają. (Choć bywa, że zaplącze się tam człowiek, który nie jest głupcem, lecz ma słabość do pochlebstw). We Francji w początkach XX wieku zaczęto takich ceremonialnych, nadętych swoją wielkością osobników uchodzących za mędrców, określać mianem intelektualistów.

Skąd bierze się tak wszechobecne dziś zjawisko hałaśliwego podważania tradycyjnych prawd i negowania dóbr przyjętych przez kulturę europejską wraz z chrześcijaństwem? „W tym właśnie świecie intelektualnym, z jego zastępami głupców, paroma błyskotliwymi kpiarzami i nielicznymi mędrcami" – precyzuje angielski pisarz – „bezustannie wre ferment modnego buntu i modnego sceptycyzmu. To stąd płynie tak zwana miażdżąca krytyka społeczna; choć jeśli bliżej się temu przyjrzeć, nowy krytyk jest zazwyczaj miażdżony przez jeszcze nowszego, na długo nim sam zdołałby coś zmiażdżyć. Ilekroć ludzie oznajmiają uroczyście, że świat buntuje się przeciw religii, prywatnej własności, patriotyzmowi i małżeństwu, mają na myśli, że buntuje się przeciw nim ten właśnie światek. Jest on zresztą permanentnie zbuntowany przeciw wszystkiemu. Żyje w stanie ciągłego podniecenia, lecz ma po temu powód i może tłumaczyć się czymś więcej niż tylko głupotą i ważniactwem. Powód ten jest o tyle istotny, że każdy, kto rzeczywiście chce posługiwać się myślą, a zwłaszcza wolną myślą, powinien się nad nim przez chwilę głęboko zastanowić. Otóż, wszyscy ci ludzie są szalenie przejęci studiowaniem Sztuki".

Charakterystyczne dla średniowiecza i powszechnie w nim przyjęte było przekonanie o pięknie tkwiącym we wszystkich rzeczach. „Werset: »Ty wszystko pod miarą i liczbą, i wagą urządziłeś« (Mdr 11,21) stał się dla św. Augustyna punktem wyjścia dla wprowadzenia pojęć modus, forma oraz ordo, wszechobecnych w filozofii i teologii średniowiecznej, służących do definiowania zarówno piękna, jak i dobra" – pisze Peter Chojnowski. W ślad za Biblią, a także za rozważaniami syryjskiego mnicha, Pseudo-Dionizego, św. Tomasz z Akwinu utożsamia Stwórcę Wszechrzeczy z najwyższym Dobrem i Pięknem, ale także „postrzega dobro i piękno jako zasady podtrzymujące rzeczy w istnieniu oraz kierujące je ku wypełnieniu celów wytyczonych im przez Boga".

Tymczasem nasi dzisiejsi piewcy świata jako koszmaru, artyści i intelektualiści, usiłują przenieść swe pojęcia o sztuce do sfery moralności i filozofii. Jeśli bywamy dziś zaskoczeni ideowym sojuszem artystów, ludzi pióra, teatru, filmu z politykierami spod znaku pewnej gazety wydawanej w Warszawie, wyjątkowo nadętej swoją popularnością wśród tego rodzaju elit, i podobnie spoufa-

eprasa.pl dfaed9b77b

lającego się z wszelką awangardą i materialistycznym myśleniem tygodnika (uchodzącego za katolicki), wydawanego w Krakowie, to kluczem jest tu zjawisko odrzucenia światopoglądu chrześcijańskiego, opartego na dogmatach, filozofii i teologii katolickiej.

„Sztuka, w wymiarze pradawnym i elementarnym, istnieje, by demonstrować chwałę Bożą" – przypominał Chesterton. „Przełożone na język psychologii oznacza to, że sztuka ma w ludziach budzić i podtrzymywać zdolność zadziwienia". Co z tym odwiecznym postulatem ma wspólnego tzw. sztuka współczesna, czyli sztuka modna? Trąbi ona tylko o jednym: wszystko to, z czym jako ludzie obcujemy, jest zgnilizną, nicością, kosmiczną nudą, w najlepszym wypadku jakąś straszliwą chorobą; świat, który nas otacza, z jego pomnikami dawnej europejskiej kultury, to przywidzenie, sen dziecka, naiwny rysunek prymitywa. „Ach, czemuż nie ma innego świata!" – jak przytomnie rejestrował tę chorobliwą tendencję sztuki współczesnej Bolesław Leśmian. A skoro tak, można, a wręcz należy to wszystko symbolicznie zniszczyć. Można i trzeba podpalić ten „stary świat". Zdolność zadziwienia artystów poprzednich epok pięknem i dobrem świata, pięknem i dobrem rzeczy stworzonych, ustąpiła miejsca zdolności dewastowania, burzenia, drwiny, szyderstwa. Skoro duch został wyparty przez materię, materia jako to, co nigdy nie może zaspokoić człowieka, wywołuje jedynie mdłości i chęć destrukcji.

Seria szalonych światów

Chesterton przestrzegał, że wszystkie zbrodnie i polityczne niewypały współczesnego świata mają swój początek w zdeprawowanym, zmąconym umyśle człowieka. Człowiek o zmąconym umyśle nie potrafi dojrzeć rzeczy takimi, jakie są. Nie potrafi uznać ich doniosłości. Wydaje mu się, że cała rzeczywistość wokół niego jest jakąś tragiczną pomyłką. Gdy umysł człowieka jest zmącony „przez aktualne trendy i przelotne estetyczne mody, ujrzy on jedynie, że coś jest podobne do obrazka na pudełku z cukierkami, zamiast, jak należy, do obrazu w Galerii Postfuturystycznej. [...] będzie postrzegał ludzi jako imitacje portretów, podczas gdy prawdziwi ludzie nie są imitacjami. [...] Kto widzi tylko banalność tapet i walentynek, żyje w świecie fikcji".

Najistotniejszą cechą całego tego kulturowego buntu sceptyków, jak zauważa Chesterton, jest to, że ma on źródło właśnie w fikcji. „[Intelektualiści] chcieli mieć »prawdziwe życie« na scenie, a nigdy nie dostrzegli go na ulicy. Upajali się realizmem swej literatury, podczas gdy ostatnie ślady realizmu znikały z ich dyskusji, gdy je porównać z rozmowami zwykłych ludzi. [...] Kiedy intelektualiści zaczęli eksperymentować z moralnością i metafizyką, stworzyli serię szalonych światów, zamiast po prostu stworzyć serię szalonych i nikomu nie wadzących dzieł malarskich. Dzieła malarskie mają to do siebie, że usiłują uchwycić pewien ulotny aspekt rzeczywistości, spojrzeć pod pewnym kątem, w pewnym świetle, czasem tak nagłym i krótkim jak światło błyskawicy. Kiedy więc z artystów zrobili się anarchiści, usiłowali oświetlać błyskawicami całe społeczeństwo i cały kosmos. W efekcie otrzymali nie kosmos, lecz koszmar".

Czy możemy, jako ludzie o normalnych umysłach, zaakceptować, szczerze i bez przymusu, sztukę nowoczesną? Ten festiwal absurdu, plątaninę linii, kakofonię barw, epatowanie okrucieństwem i brzydotą?

Oponenci polityczni dzisiejszych polskich władz i ich zwolenników (zwłaszcza oponenci ze świata artystycznego, literackiego, medialnego oraz ci wszyscy, którym ten świat imponuje) chcieliby, byśmy wszyscy zamieszkali w ich koszmarze. W koszmarze, który biorą za rzeczywistość.

Dlaczego zwyciężamy?

„Rzymskość to wiedza i odpowiedzialność. Istnienie przez coś więcej niż samych siebie. Rozwijanie tego, co pozwala nam żyć. Bóg chce, żebyśmy żyli. W sensie biologicznym, ale także kulturowym" – mówi Rémi Brague, francuski filozof i pisarz, który kilka lat temu odwiedził Polskę. Ten laureat Nagrody Ratzingera (2012), autor książki „Prawo Boga. Filozoficzna historia przymierza", wydanej niedawno w Polsce, odpowiada sceptykom i małodusznym, którzy chcieliby w tym wszystkim, co przeżywaliśmy ostatnio w życiu politycznym, widzieć jedynie tani efekt zręczności politycznej ludzi PiS. Akurat w czasie swojej wizyty w Polsce, która miała miejsce w dniach poprzedniej kampanii wyborczej, powiedział coś, co może być podsumowaniem wypadków politycznych: „Rzymskość to także świadomość, że jesteśmy tylko nawróconymi barbarzyńcami. Takimi nie do końca domytymi, którzy potrzebują ciągle mydła. Barbarzyńcami, którzy się sami nie stworzyli, ale zostali stworzeni i kontynuują marsz ku wyznaczonej im drodze". Nastroje tryumfalistyczne i pogarda wobec inaczej myślących są z reguły obce „nawróconym barbarzyńcom". To nasi przeciwnicy czekają, jakby tu zamienić dzień powszedni w nie-

eprasa.pl dfaed9b77b

ustające święto i fajerwerki. Dla nas, po zwycięstwie w poprzednich wyborach parlamentarnych, potem w europejskich, choć świętować potrafimy, wezwania do kolejnego etapu modlitwy i ciężkiej pracy są czymś o wiele bardziej na miejscu.

Dla ludzi przeciwnego obozu politycznego natomiast największą chyba zagadką jest pytanie, skąd środowisko skupione w PiS i wokół niego czerpało siły do stoczenia zwycięskiej batalii – po tragicznym roku 2010 i uruchomieniu przemysłu pogardy wobec Jarosława Kaczyńskiego i jego otoczenia. Próbowali rozpropagować obraz „ludzi PiS" jako bezwzględnych karierowiczów i odwetowców, którzy całymi nocami śnią o zemście. Nie byli w stanie dociec, dlaczego każdego dnia coraz większa liczba ludzi – w tym tak znacząca liczba młodych Polaków – z uwagą przysłuchiwała się temu, co mówili Jarosław Kaczyński, Andrzej Duda, Beata Szydło, Mateusz Morawiecki, Antoni Macierewicz, i znajdowała głębsze, istotniejsze motywacje do włączenia się w walkę obozu zwycięskiego. Czuła, że ta walka jest ich walką, a zwycięstwo ich zwycięstwem. Spróbujmy to rozszyfrować.

Wszystkie nici prowadzą do jednego kłębka: do samego aktu rozumowania. Co jest szczególnie trudne do pojęcia dla ludzi, którym dystynkcję w rozumowaniu zastąpiły czysto naturalistyczne reakcje: stadne odruchy, emocje oraz instynkty (w tym instynkt walki przy użyciu wszystkich środków, także tych określanych w europejskiej tradycji jako brudne: kłamstwo, potwarz, obmowa, agresja, zdrada).

Jednak to nie umiejętnie nieraz budowane emocje – oczko w głowie wszystkich szefów kampanii wyborczych – zadecydowały. Bo ich wywoływanie to tylko popis sprawności w dziedzinie marketingu politycznego. Także nie żarty i grepsy, choćby najwyższej próby. Nie frustracja, jak ogłosił jeden z komentatorów po wygranej PiS w poprzednich wyborach, wywołana gwałtownym odkryciem, że żyjemy „w kraju pozorów i masek, kraju spod podpalonej rosyjskiej budki". Zaważył akt rozumu. Zadecydowała wyraźna świadomość, iż – jak przypomina m.in. Rémi Brague – zasadniczym celem naszej walki nie jest zabawa w pokonywanie przeciwników ani przyjemne przeżycia towarzyszące wygranej. Aktowi rozumu, który przywraca człowiekowi świadomość, kim jest, towarzyszą zawsze pokora i ufność, że nic, co dzieje się w naszych życiu, nie może się stać bez woli Stwórcy, „przez przypadek". Stąd płynie także nadzieja, że warto w tym trwać – właśnie wtedy, gdy potęgi świata odmawiają poparcia, demonstrują wrogość i walą wściekłymi pociskami. Gdy łączą się w zwarte koalicje, by zadać śmiertelny cios.

To nie jest przypadek, że Prawo i Sprawiedliwość poparła w ostatnich wyborach polska wieś. Rolnicy są ludźmi prosto, zdrowo, realistycznie myślącymi. Są całkowicie odporni na retorykę, która nie potrafi posługiwać się kategoriami tomistycznymi, zakrzykuje, ale nigdy nie pyta. Dlatego są równie dalecy od ulegania sentymentalizmowi, rzewnemu patriotyzmowi na sprzedaż, jak i od nabierania się na liberalną propagandę bogacenia się wszelkimi środkami – w imię bogacenia się – w wydaniu PO, PSL i SLD, dla której najlepsze motto wymyślił niezawodny Janusz Korwin-Mikke: „Pierwszy milion trzeba ukraść". Tak można myśleć, gdy ponad horyzontem ziemi dostrzegamy jedynie zimną czeluść. Gdy tkanka myśli jest na tyle wątła, że łatwo jest upchać w niej prymitywne przekonanie, że moralność to naiwność, a laicyzacja i sekularyzm są szczytowym osiągnięciem kultury umysłowej Zachodu, nie zaś wyjątkiem w dziejach, który musi upaść pod ciosami samego prawa naturalnego.

Zarówno piękno, jak i dobro, których chwałę i panowanie ogłaszało średniowiecze, są czymś obiektywnym. Dlatego tym, co jest pięknem w sztuce, jest naśladowanie natury. Piękno jest własnością rzeczy. Piękno nie jest czymś, co człowiek może sobie wziąć i dodać do siebie, jest ono cechą człowieczeństwa, tak samo jak dobro. Współczesna sztuka negująca piękno, neguje także dobro. Zaprzecza w ten sposób prawdzie. Zamiast hymnu na cześć rzeczywistości wydaje skowyt chwalący nicość.

Największą moim zdaniem lekcją polityczną, jakiej udzielił Jarosław Kaczyński Polakom, był „znak pokoju" w Katedrze Wawelskiej, podczas Mszy pogrzebowej prezydenta Lecha Kaczyńskiego, przekazany Donaldowi Tuskowi i Bronisławowi Komorowskiemu. Transmitowano to na żywo: prezes Prawa i Sprawiedliwości zdecydowanym ruchem opuszcza swoje miejsce w ławce, skręca w lewo, robi kilkanaście kroków, zbliża się do D. Tuska i wyciąga do niego rękę, po chwili ma miejsce ten sam gest wobec B. Komorowskiego... Kompletne zaskoczenie, dezorientacja obydwu panów. Mam chyba prawo powiedzieć, że dreszcz przechodził po plecach tych, którzy tę minutową sekwencję, niczym z dramatu Szekspira, zarejestrowali. Jarosław Kaczyński jest człowiekiem wolnym. Potwierdził to tym znamiennym gestem człowieka wolnego. Dlatego tak wielu Polaków mu ufa.

▶ Polacy okazali się żywi

„Istotą modlitwy jest taki oto ruch serca: tak, Ojcze, Ty masz rację, Twoja wola niech się stanie.

eprasa.pl dfaed9b77b

Niech się dzieje z moim życiem to, co Ty chcesz" (ks. Jerzy Szymik). Tylko wtedy, gdy przyjmie się, że to nie my decydujemy, ale Ktoś, do Kogo się zwracamy ze czcią, można mieć nadzieję. Inaczej wszystkie działania w naszym wykonaniu stają się bezładną szarpaniną. Walka polityczna przypomina wtedy amatorski boks albo uciążliwą wędrówkę pod górę, ze świadomością, że tam, gdzie zmierzamy, znajdziemy jedynie ciemność i pustkę.

Andrzej Duda, który w czasie kampanii wyborczej znajduje czas, by odbyć pielgrzymkę do miejsca urodzin św. Andrzeja Boboli, który zaraz po wysiłku wyczerpującej kampanii i po ogłoszeniu wygranej kieruje swoje kroki ku Jasnej Górze, jest w oczach katolickich wyborców człowiekiem, który wie, że „by móc uzasadnić kontynuację ludzkiej przygody, potrzeba zewnętrznego punktu odniesienia, punktu podparcia Archimedesa. Inaczej się nie da" (Rémi Brague). Francuski pisarz jakby bezwiednie puentując to, co wydarzyło się w Polsce w gorących miesiącach walki wyborczej, podkreśla, że ów punkt podparcia nie będzie mógł być znaleziony poza Bogiem. Posługując się metodą analizy tomistycznej, stwierdza, że jeśli społeczeństwo Europy potrzebuje rzeczywistości transcendentnej, która chce naszego dobra, to nie znajdzie „niczego innego poza Bogiem. Każda inna forma transcendencji wydaje się wobec Boga jedynie radosną drwiną".

Zabawny bywa upór, z jakim niektórzy prawicowi publicyści przypisywali zwycięstwo Andrzeja Dudy „zmianie pokoleniowej", która zarysowała się w PiS. Jednym tchem wyliczali wszystkie jego największe atuty: własny styl, opanowanie, grzeczność, umiar, takt. Te zalety nie są błahe, ale są jedynie bladym odbiciem tego, co istotne i co tkwi wewnątrz człowieka. Są zewnętrznym znakiem jakości duchowej kultury. I właśnie to, co tkwi wewnątrz: rozum, wola i charakter, wsparte wiarą i nadzieją rzymskiego katolika, jest budulcem, jakim posługuje się Ten, który poprzez człowieka realizuje swój odwieczny plan. My jesteśmy jedynie narzędziami. Lub kto woli: nieociosanymi kamieniami budowli.

Materialiści utrzymują, że w zasięgu ich ręki znajduje się absolutnie wszystko na tym świecie. Uproszczenia i fałsze w myśleniu biorą za odkrycia i „filozofie", czyli prawdziwą mądrość, podobnie jak alchemik uznawał swoje mieszaniny i zaklęcia za „najszczersze złoto". Przy tym, uparcie zwalczając dogmaty religii chrześcijańskiej, brną w fałszywe dogmaty, których trzymają się jak pijany płotu. „Doktryny religijne", pisze o chrześcijaństwie Chesterton, „w rzeczywistości nie ograniczają umysłu tak dalece jak materialistyczne zaprzeczenia. Nawet jeśli wierzę w nieśmiertelność, wolno mi czasem o niej nie myśleć, ale jeśli w nią nie wierzę, nie wolno mi myśleć o niej pod żadnym pozorem. W pierwszym przypadku droga stoi przede mną otworem i mogę nią iść tak daleko, jak zechcę, w drugim – jest zamknięta".

▶ Powody, by trwać

Radosna drwina – tak rzeczywiście można by określić nawoływania tych wszystkich, którzy uważają, że Polacy i Polska mogą cokolwiek osiągnąć, sytuując się poza całą naszą tradycją i kulturą. Że mogą wspiąć się na wyżyny nowoczesności, postępu, dobrobytu, zmierzać ku odegraniu jakiejś roli politycznej w świecie, odcinając się zarazem od własnej przeszłości – co tak modelowo przedstawiała w swej praktyce partia, której reprezentantem był ustępujący w niesławie prezydent i skompromitowana szefowa rządu. Rémi Brague idzie o krok dalej i przestrzega przed utopijnym i naiwnym pokładaniem nadziei w pozytywnej zmianie, którą przynieść mogą nadchodzące pokolenia (wiara „w przyszłość" to zaklęcie, które uczyniło największe spustoszenie w umysłach ludzi ery nowożytnej i zarazem przyczyniło się do największych zbrodni, a zagnieździło się także niestety w posoborowej retoryce wielu ludzi Kościoła): „Gdy mówimy o transcendencji horyzontalnej, czyli przyszłych generacjach, to jest to szczególnie zabawne, ponieważ one zależą od nas, a nie my od nich. [...] Społeczeństwa, które stracą kontakt z transcendentnością, znikną, bo nie będą miały powodów, by trwać".

Podstawowe pojęcia naszej cywilizacji znikają dziś z zawrotną szybkością z języka, jakim posługuje się „człowiek nowoczesny", także polityk i artysta. Naiwna, XIX-wieczna wiara w postęp, który zapanuje i przyniesie wyzwolenie, gdy tylko wyeliminujemy wszystkie dogmaty wiary i odrzucimy przekonania, które kształtowały niegdyś ład cywilizacyjny w Europie, oraz zniekształcimy zasady moralne i zdrowe obyczaje, ma się wciąż w tych wielkomiejskich ośrodkach dobrze. „Podążajmy razem ze światem drogą postępu, drogą ku lepszej przyszłości!". Tymczasem, jak pisze Chesterton (i jak przyzna każdy zdrowo myślący człowiek): „Nie istnieje żadna droga, którą by podążał świat. Nigdy nie istniała. Świat donikąd nie podąża, przynajmniej w takim sensie, jak wydawało się to dawnym optymistycznym postępowcom czy nawet dawnym pesymistycznym reakcjonistom. Świat nie stanie się Nowym Wspaniałym Światem...

eprasa.pl dfaed9b77b

Świat jest dokładnie taki, jakim widzieli go prorocy i święci. Nie robi się ani jednoznacznie lepszy, ani jednoznacznie gorszy...".

Francuzi mieli zawsze nosa, by odkrywać, że Polacy ze swoją konsekwentną walką o zachowanie praw Bożych w polityce, a wręcz uczynienia z niej szczególnie szerokiego pola dla ich stosowania – co było powodem takiego zgorszenia i zniesmaczenia już na salonach politycznych XIX-wiecznej Europy – wnoszą w dzisiejszą rzeczywistość kontynentu powiew świeżości. Wnoszą nadzieję, że Europa się nie zestarzeje na smutno i gorzko i nie zemrze, nie uschnie zapomniana przez wszystkich. Zapowiedział to z właściwą sobie fantazją i dozą całkowitej pewności największy zawadiaka intelektualny swojego czasu, Adam Mickiewicz, podczas prelekcji paryskich w latach 40. tamtego stulecia.

Krocząc szlakiem myśli Mickiewicza – znanego i popularnego we Francji także jako pisarza politycznego – Rémi Brague przestrzega: uwaga, nie jesteśmy bynajmniej niezależni. W całym tego słowa znaczeniu zależymy od Tego, kto nas stworzył. Jeśli będziemy tę prawdę ignorować, nie tylko nie znajdziemy żadnego realnego oparcia dla naszych ziemskich ambicji, lecz także pozbędziemy się wszelkich motywacji, by nadal żyć. Dla większości Polaków dziś święte są te same rzeczy co przed tysiącem lat, gdy przyjmowaliśmy chrzest. W tym sensie komentatorzy prasy niemieckiej uparcie nazywający Jarosława Kaczyńskiego czy Andrzeja Dudę mianem „konserwatystów" nie są w błędzie. Tak jest! Macie, panowie nowocześni, postępowi i liberalni aż do obrzydliwości, sto procent racji.

W Polsce jednak nikt, kto cieszy się szacunkiem zwykłych ludzi, nie wpadłby na pomysł, by solidaryzować się ze szmatą J. Urbana, w imię „wolności słowa", tak jak uczyniono we Francji i innych krajach Zachodu wobec „Charlie Hebdo" po zamachu islamistów. W Polsce dowcipy z tego rodzaju kanałów nikogo normalnego nie śmieszą, co lekceważą zarówno partie opozycyjne, jak i władze samorządowe Gdańska i Warszawy. „[...] są rzeczy, które sakralizujemy, przestrzega Brague, desakralizując jednocześnie inne. [...] Redaktorzy »Charlie Hebdo« śmiali się ze wszystkiego – oprócz nowych bogów".

Zwycięstwo Prawa i Sprawiedliwości w ostatnich wyborach parlamentarnych i europejskich, zwycięstwo Andrzeja Dudy w wyborach prezydenckich 2015 w Polsce, to jeden z ważnych etapów strącania z piedestałów fałszywych bożków. Bożków, których posągi – odrażające niczym pokraczne krasnale pod muchomorami, w żałosnych czapach, z olbrzymimi czerwonymi nosami i obleśnymi uśmiechami – ustawili gęsto, jeden obok drugiego, liczni członkowie bogatych społeczności, przekonani, że panowanie ich arbitralnych praw, wyprowadzonych z „filozofii" godzących w rozum, będzie wieczne. Społeczności te przypominają dziś wielkie purchawki, na zewnątrz okrągłe, gładkie i lśniące, w środku czarne, puste i smrodliwe.

Jak powtarza stary francuski profesor literatury, pogląd, że religia i polityka są sobie przeciwstawne, to mit. Kościół i państwo rozwijały się przez wieki historii równolegle, współdziałając ze sobą, a nie zaprzeczając sobie i nie zwalczając siebie nawzajem. Czysto świeckie społeczeństwo jest produktem nienaturalnym, ekstraktem ideologicznego fałszu, czymś na kształt preparatu chemicznego, który rozpada się przy zetknięciu z powietrzem, i nie ma szans przetrwania. Jak zgrabnie ujął to jeden z recenzentów książki R. Brague „Prawo Boga": „[...] laickość i sekularyzm to historyczny wybryk, za który Europie przyjdzie słono zapłacić, jeśli nie zdecyduje się ona zawrócić z drogi od świętości przez świeckość do śmierci".

„Nie mam zaufania do eksperymentów duchowych, oderwanych od głównej duchowej tradycji" – pisał Chesterton o modzie na płaski humanizm – „z tego prostego powodu, że są one nietrwałe, nawet jeżeli zdołają zyskać wielką popularność i rozpowszechnić się szeroko. Trwają przez jedno pokolenie, jedną modę, rządy jednej kliki. Nie znają sekretu ciągłości, a już na pewno obcy jest im sekret ciągłości zbiorowej".

Historyczne zwycięstwo, jakie odniosła formacja Prawa i Sprawiedliwości w ostatnich latach w Polsce (nie tylko w wyborach politycznych), oznacza, że odwrót już się zaczął. Wszystkie drogi znów wiodą do Rzymu. Ciągłość cywilizacji jest istotnie rodzajem sekretu, zbiorowość ludzka nie jest bowiem sumą jednostek, prawa materialne, socjotechniczne nie stosują się do niej. Dają one obraz niepełny, niewyraźny. Ten sekret trwania zbiorowej ciągłości, trwania duchowego wymiaru ludzkiego życia, ponad materialistycznymi ideologiami, znany jest najwyraźniej grupie kilkuset osób, którym ster kierowania państwem, leżącym między Niemcami a Rosją, powierzył Bóg. Niektórzy nazywają to demokracją. ■

_____

Cytaty za: Rémi Brague, „Prawo Boga. Filozoficzna historia przymierza", wyd. Teologia Polityczna, Warszawa 2015; G.K. Chesterton, „Dla sprawy", tłum. Jaga Rydzewska, Komorów; Wypowiedzi prof. Rémi Brague za: „Fronda", czerwiec/2015; ks. Jerzego Szymika za: „Gość Niedzielny" (24 maja 2015).

eprasa.pl dfaed9b77b

Małgorzata Matuszak

Czym są... granice tolerancji

Nikogo nie trzeba przekonywać, że tolerancja jest wartością niezwykle cenną i pożądaną. Że jej brak przyczynił się do ogromu zła, którego doświadczyli i wciąż doświadczają ludzie. Niestety wypaczyliśmy dziś jej sens, nowe rozumienie pojęcia tolerancji wyparło zaś jej pierwotne znaczenie. Tolerancja stała się obowiązkowa. Modna. Przeradzając się w przymus akceptacji dla danego zjawiska czy grupy ludzi, wymuszony wręcz prawem szacunek do tego, co uważamy za obce i niezrozumiałe, została doprowadzona do absurdu i odarta z treści. Przeoczamy również fakt, że nadmierna tolerancja wobec niektórych osób, postaw, zachowań jest równie niebezpieczna jak jej brak. Pamiętamy o tym, że totalna nietolerancja prowadzi do totalitaryzmu, ale zapominamy o tym, że totalna tolerancja – do anarchii.

Ktoś może powiedzieć, że pojecie tolerancji po prostu ewoluowało, jak wiele innych znaczeń terminów, które z czasem zaczęły oznaczać (również) coś innego. Proces ten trwał wiele lat i trzeba przyznać, że został przeprowadzony nad wyraz skutecznie. Do tego jednak stopnia, iż „tolerancja" stała się dziś słowem-wytrychem służącym tzw. poprawności, w imię której narzuca się nam różne poglądy i pomysły na to, jak powinna funkcjonować rzeczywistość, w której żyjemy. Idea tolerancji została wypaczona w kierunku nietolerancji dla niepoprawności. I problem nie polega tylko na tym, że zostało wypaczone pojęcie tolerancji, że przyjmować może dziś jakiekolwiek dowolne znaczenie, lecz przede wszystkim na tym, że przedstawia się nam ją jako wartość nadrzędną, wręcz absolutną, którą ona być nie może.

Etymologicznie tolerancja (od łacińskiego „tolerare") miała wydźwięk negatywny, oznaczała „pogodzenie się z (czymś, kimś), znoszenie (kogoś, czegoś) z cierpliwością, cierpienie, trwanie, łagodzenie". Początkowo odnosiła się do sfery religijnej, później zaczęto wiązać ją z niedyskryminacją ze względu na narodowość i rasę, a z czasem rozszerzono jej znaczenie na problematykę światopoglądową i polityczną. Dzisiejsze znaczenie tolerancji ukazuje nam ją już jako coś totalnego i bezgranicznego.

W znaczeniu biologicznym tolerancję rozumiemy jako „zdolność organizmu do znoszenia, bez ujemnych skutków, wpływu szkodliwych substancji, niekorzystnych warunków środowiska itd". W definicji tej podkreślić trzeba sformułowanie „bez ujemnych skutków", które wyraźnie wyznacza granicę tolerancji, przebiegającą w miejscu, w którym dany organizm zaczyna odczuwać negatywne skutki jakiegoś oddziaływania. W tym przypadku oczywiste jest, że nie możemy tu mówić o tolerancji totalnej. Organizm nie chcąc dopuścić do swego całkowitego zniszczenia, wytycza granice tolerancji dla tego, czego doświadcza. Robi to dla swojego dobra. Dlaczego nie pamiętamy o tym, mówiąc o tolerancji w aspekcie społecznym?

Pragnąc żyć z innymi i pośród innych, musimy być tolerancyjni. Jednocześnie nie możemy zapomnieć o granicach, których przekraczać nie wolno, i o niebezpieczeństwach, które z nadmierną tolerancją się wiążą. Rzecz w tym, by te granice odnaleźć i się ich trzymać. Nie jest to proste. Tym bardziej że klasyczna, Cycerońska zasada, w myśl której „dobro należy czynić, a zła – unikać", ulega dziś zapomnieniu i coraz częściej zostaje zastąpiona odwrotną: „zło należy czynić, a dobra – unikać". Granice tolerancji wytyczone są przez prawdę i dobro. Nie można tolerować kłamstwa, nie można tolerować zła. Człowiek współczesny jednak coraz słabiej rozumie, czym są prawda i dobro. Zagubił się w relatywizmie. Musi „tolerować", czyli „akceptować", nie zważając na to, że „tolerancja" nie jest synonimem „akceptacji" i że stała się ona dziś hasłem w walce ideologicznej. Katolicy zmuszani są, by w imię tolerancji rezygnowali z tego, w co wierzą, co dla nich ważne i święte, z kręgosłupa moralnego, który trzymał w pionie nasz naród przez wieki. Wtedy też okazuje się, że ci, którzy tolerancji – w swoim rozumieniu – najbardziej się domagają, sami tolerancyjni nie są. ■

CZŁOWIEK WSPÓŁCZESNY MUSI „TOLEROWAĆ", CZYLI „AKCEPTOWAĆ", NIE ZWAŻAJĄC NA TO, ŻE „TOLERANCJA" NIE JEST SYNONIMEM „AKCEPTACJI" I ŻE STAŁA SIĘ ONA DZIŚ HASŁEM W WALCE IDEOLOGICZNEJ.

eprasa.pl dfaed9b77b

Jakub Augustyn Maciejewski

Siedem katolickich osiągnięć kopiowanych przez resztę świata

Gdy wobec Kościoła katolickiego wybiła godzina szykan na niespotykaną od czasów stalinowskich skalę, warto przypomnieć o siedmiu wynalazkach ludzi Kościoła, bez których dzisiejszy świat byłby jaskinią barbarzyńców.

eprasa.pl dfaed9b77b

Dlaczego tak trudno przyjąć, że Kościół jest dźwignią napędową cywilizacji, a nie jej hamulcem? Przede wszystkim do głosu dochodzi zła wola oszalałych krytyków zachodniej wspólnoty wiernych – Kościół, odwołując się do Ewangelii i uznając ułomną naturę człowieka, potępia wiele z procesów współczesnego świata. Katolicy krytykują konsumpcjonizm uderzający w portfele cynicznych biznesmenów, kwestionują stawianie uciech cielesnych jako życiowego priorytetu, przestrzegają polityków przed niemoralnymi decyzjami, a od artystów i naukowców wymagają czegoś więcej niż spełniania własnych zachcianek. Nic dziwnego, że w obliczu tego wyśrubowanego kodeksu moralnego (który już sam w sobie jest wielkim osiągnięciem cywilizacyjnym!) wspólnota katolików znajduje takich wrogów, którzy chcą ją za wszelką cenę zniszczyć.

Osiągnięcia świata chrześcijańskiego, który przez tysiąc lat wiernie stał u bram papieskiego autorytetu, wypełniają nasze życie codzienne, nauki społeczne i wiele odkryć uczonych. Gdy domorośli ateiści wyzywają kler od „ciemnoty", aż trudno wybrać, od czego zacząć, by odeprzeć ich prymitywne zarzuty. Czasem trzeba znaleźć precyzyjne, konkretne przykłady, łatwe do wskazania, udowodnienia, takie, które robią wrażenie, i takie, bez których trudno sobie wyobrazić współczesny świat.

Poniżej siedem oczywistych propozycji i ósma mniej oczywista.

Uniwersytet

Szkoły istniały w wielu kulturach, a nauczanie młodzieży obecne było na wszystkich dworach monarszych świata. Jednak uniwersytet jako instytucja służąca do gromadzenia, dyskutowania, rozwijania i przekazywania wiedzy – to wynalazek stricte katolicki. Owszem, arabski Al-Ahzar w Egipcie powstał w X wieku, ale wszystkie nauki tam przekazywane były związane z religią. Choć w świecie arabskim szybko rozwijały się matematyka czy medycyna, to jednak powiązanie wszystkich twierdzeń z przykazaniami Allacha nie pozwoliło tym dziedzinom rozwijać się nieustająco – gdy te nauki natrafiły na sprzeczność z Koranem, ich rozwój się zatrzymał.

Paradoksalnie to właśnie oskarżany o fundamentalizm Kościół katolicki zatwierdził uniwersytety, na których uczono nauk absolutnie świeckich, tzw. sztuk wyzwolonych: gramatyki, retoryki, dialektyki, arytmetyki, geometrii, muzyki i astronomii. Pierwszy uniwersytet powstał w Bolonii w 1088 roku, ale wkrótce potem pojawiły się nowe uczelnie: Sorbona w Paryżu, Oksford, Cambridge, Padwa i wiele innych.

Prawomocność uniwersytetów zatwierdzał papież specjalną bullą – aby uniknąć sytuacji, w której niekompetentni wykładowcy ustanowią szkołę, by zatruwać społeczeństwo herezjami. Ale ta instytucja miała wiele swobody – to z uczelni wychodziły często idee zmian w Kościele, nowe propozycje teologiczne i naukowe. Nie papież kształtował i ograniczał wiedzę, jak wierzą niedouczeni ateiści, lecz to uniwersytety kształtowały wyobrażenia o świecie, wciąż je rozszerzając. Jedynie na średniowiecznych uniwersytetach z pełną zgodą papieską studiowano przyrodę – badano m.in. pisma starożytnych filozofów i uzupełniano wiedzę poprzez... eksperymenty! Do dziś jednak funkcjonuje przekonanie, że naukowa metoda „prób i błędów" została wynaleziona dopiero w XVIII wieku.

Adwokat

Choć inkwizycja kościelna jest kojarzona z najgorszymi zjawiskami, to uczciwe spojrzenie na tę instytucję rewiduje negatywny pogląd na nią. Uwzględniając realia tamtych czasów, kościelni śledczy działali niezwykle precyzyjnie i w oparciu o pisemne prawo. Ich dorobkiem jest m.in. rola adwokata w procesach sądowych. Powstała w XIII wieku inkwizycja, prowadzona głównie przez zakon dominikanów, wykreowała postać obrońcy, który niezależnie od oskarżyciela szukał prawdy o oskarżonym. Gdy więc prokurator lub sędzia mieli tendencje do niesprawiedliwego oceniania podsądnego, ratunek dla podejrzanego mógł przyjść ze strony adwokata. Rola tego rodzaju prawników ewoluowała i dziś ma nieco inny kształt, ale jej początki tkwią w XIII-wiecznych procesach o herezje.

Nuty

Kościół jest najdłużej funkcjonującą instytucją w dziejach ludzkości. Cesarstwa, dynastie czy organizacje powstają i upadają, a wspólnota katolików trwa nieprzerwanie od dwóch tysięcy lat i nieustannie się reformuje, udoskonala, weryfikuje błędy. W dłuższej perspektywie przynosi to czasem mniej spodziewane wynalazki – jednym z nich jest zapis muzyczny w formie nut. Przez setki lat istnienia katolicy mieli potrzebę śpiewania psalmów i innych pieśni kościelnych, ale oprócz słów ważne było, by przekazywać także melodię. W XI wieku Gwidon z Arezzo opracował system szczegółowego zapisu melodii, co umożliwiło przeka-

fot. Wikipedia

eprasa.pl dfaed9b77b

zywanie następnym pokoleniom, jak śpiewać chorały. Rewolucja, jaką zaprowadził ten średniowieczny mnich, polegała na zastosowaniu „czterolinii" (poprzedniczki dzisiejszej pięciolinii), umożliwiającej zapis wysokości dźwięku. Ten niepozorny wynalazek jest właściwie ojcem europejskiej muzyki i można z pełnym przekonaniem powiedzieć, że bez Kościoła nie byłoby Mozartów, Beethovenów i Chopinów.

Prawo międzynarodowe

Do czasów średniowiecznych relacje między państwami były każdorazowo określane osobnymi traktatami. Dwór w Rzymie korespondował z pałacem w Persji i omawiano zasady współistnienia, ale wobec innych krajów trzeba było ustalać inne rodzaje porozumień. Świat chrześcijański kierował się zestawem wspólnych wartości, dzięki temu istniała hierarchia władców i instytucje arbitrów – w najważniejszych sprawach rozstrzygał papież. Łamanie traktatów groziło ekskomuniką – oznaczała ona nie tylko zakaz udziału w sakramentach, lecz także upoważniała poddanych do wypowiedzenia posłuszeństwa, a więc był to odpowiednik dzisiejszych... sankcji – tylko o wiele bardziej skuteczny. Dla unormowania stosunków sąsiedzkich papiestwo wydało nawet specjalne konwencje, tzw. Pokój i Rozejm Boży (Pax et Treuga Dei), w której ograniczało dni przeznaczone na starcia pomiędzy rycerstwem chrześcijańskim: „Od Bożego Narodzenia aż do poniedziałku po święcie Trzech Króli, i dalej od wielkiego postu aż po oktawę Zielonych Świąt, dalej wszystkie wigilie i święta, i przez trzy dni w każdym tygodniu, mianowicie od czwartku wieczora aż do świtu poniedziałku, niechaj panuje wszędzie, [tak] by nikt nie uderzył [też znieważył] nieprzyjaciela swego". Inną zasadą wojenną był wprowadzony przez papieża Innocentego II zakaz używania kuszy – co do dziś stosuje się w międzynarodowych konwencjach wobec na przykład broni chemicznej czy biologicznej. Cała Organizacja Narodów Zjednoczonych stoi na założeniach średniowiecza, w których ponad państwami powinien być jeszcze jeden, bardziej uniwersalny, porządek polityczny.

Ocalenie dorobku starożytnych

Jedną z największych niesprawiedliwości w ocenie średniowiecza jest oskarżanie epoki o zaprzepaszczanie dorobku starożytnych filozofów. To kres starożytnego Rzymu i okres barbarzyńskich, pogańskich państw, na przykład germańskich, był winny zniszczeniom ksiąg i zapisów z poprzednich wieków. Kościół w średniowieczu był wielkim odnowicielem myśli starożytnej, oczyszczonej z obcych naleciałości (na przykład arabskich). Cały zakon benedyktynów, poczynając od historii klasztoru na Monte Cassino założonego w 529 roku, zajmował się karkołomną misją przepisywania ksiąg ze starych manuskryptów na nowe – aby je ocalić i skopiować do szerszego użytku. Na przestrzeni setek lat dziesiątki tysięcy mnichów poświęciło swoje życie na kaligrafowanie pustych ksiąg treściami z dzieł Arystotelesa, Platona, Seneki i wielu innych, dokonywało tłumaczeń i szukało najbardziej oryginalnych i pierwotnych wersji, a przecież ich praca była tylko jednym, choć nieocenionym, ogniwem dziejowej roli Kościoła. Na kanwie ich mrówczej pracy inne zakony i średniowieczne uniwersytety mogły później przetwarzać wiedzę i robić z niej praktyczny użytek.

Wynalazek czasu

Powszechne określenie lat „naszej ery" zostało po raz pierwszy użyte w dobie rewolucji francuskiej, która chciała wymazać ze świadomości, że ludzkość liczy czas „od narodzenia Chrystusa". Ta świadomość ciągłości historii ma ogromny wpływ na politykę, rozwój społeczny i życie ludzi. Wcześniej podobną miarę czasu stosowali jedynie starożytni Rzymianie, za rok wyjścia biorąc domniemaną datę założenia swojej stolicy (ab urbe conditio), jednak taka perspektywa nie mogła się przyjąć poza granicami imperium. Uniwersalna data „od urodzenia Chrystusa" czy nawet w obecnym ujęciu „naszej ery" pomaga umiejscowić wydarzenia i procesy na osi czasu, wnioskować o rozwoju ludzkości, zakorzeniać w świadomości ludzi ciąg przyczynowo-skutkowy. Średniowiecze? Tysiąc lat! Pokolenie? Kolejne rodzą się co 20–25 lat. Wojna zaczęła się 80 lat temu? Zatem 90-latkowie ją całkiem dobrze pamiętają.

O ileż inaczej wyglądały odpowiedzi na te pytania, gdy mierzono czas od panowania ostatniego monarchy (wojna? – trzy panowania temu) albo numerami greckich olimpiad (wojna była w trzecim roku jedenastej olimpiady). Ten wynalazek liczenia lat umożliwił świadomość upływania czasu nie tylko elitom, lecz także nawet najmniej wykształconym osobom.

Ten rewolucyjny system odliczania lat wprowadził anglosaski mnich Beda Czcigodny, żyjący na przełomie VII i VIII wieku, będący jednym z największych intelektualistów swoich czasów. Ów benedyktyn jako pierwszy precyzyjnie policzył, ile lat wcześniej urodził się Jezus Chrystus (a więc zmarł w 33 roku „naszej ery"), i przyjął ten rok za początek odliczania. Dziś cały świat posługuje się tym osiągnięciem, nie mając pojęcia, komu to zawdzięcza.

eprasa.pl dfaed9b77b

Teologia

Tak wyśmiewana przez wielu ateistów nauka teologiczna jest jedną z trudniejszych dziedzin ludzkiego myślenia. Czy jest jednak osiągnięciem uznawanym poza wspólnotą wiernych? Nauka wywodząca się z Pisma Świętego jest z pozoru jedynie pogłębioną analizą starożytnych ksiąg i ich późniejszych komentarzy, jednak jej sedno tkwi w rewolucyjnym ujęciu natury człowieka. Będąc więc nauką o Bogu (gr. teo), jest najdoskonalszym opisem ludzi. Myśliciele ateistyczni lub niekatoliccy dochodzą do pewnych wniosków setki lat po tym, jak kościelny teolog wygłosi prostą prawdę pochodzącą z Pisma Świętego.

I tak oto zaledwie w rok po odkryciu Ameryki Północnej przez Krzysztofa Kolumba, a więc w 1493 roku, Kościół nakazał chrzcić Indian. Jakie to miało znaczenie? Ano konieczność sakramentu oznaczała, że mieszkańcy nowych ziem mają dusze, są pełnoprawnymi ludźmi. Protestanci nie byli o tym przekonani, dlatego to w ich koloniach niewolnictwo przetrwało aż do II połowy XIX wieku! W tym samym czasie europejska ludność z krajów katolickich wchodziła w związki małżeńskie z miejscową ludnością Ameryk, co dla przybyszy z Anglii było istną rewolucją. Gdy zdarzała się miłość pomiędzy „białym" a „Indianką", okazywało się to taką sensacją, że powstawały o tym legendy i ponadczasowe opowieści. Do dziś twórcy filmu „Pocahontas" uczą nas, że Indianie to też ludzie – w Kościele katolickim wiedziano o tym od pierwszych wieści zza Atlantyku.

Ale ponadczasowe i przenikliwe ujęcie natury ludzkiej charakteryzuje wszystkie inne zjawiska społeczne – koncepcja wolnej woli była przez setki lat odrzucana przez naukę i przez niekatolików („traktat o niewolnej woli" Marcina Lutra, koncepcje Freuda, behawiorystów etc.), a od początku głoszona przez katolików. Na przełomie XX i XXI wieku naukowcy dogrzebali się w przedniej części mózgu komórek odpowiedzialnych za samodzielne myślenie (por. książki Michaela Gazzanigi) i wpletli to zagadnienie w badania nad neuronauką – o ileż dalej byliby w swoich odkryciach, gdyby założenie o „wolnej woli" było naturalnie przyjęte od wieków!

Podobnie ewolucjoniści, rasiści, komuniści (głosząc brak potrzeby własności prywatnej), antysemici, aborcjoniści, eugenicy, genderowcy i wiele innych ideologii przebieranych w płaszcz nauki, nie znalazłoby akceptacji w społeczeństwach, gdyby tylko uznać najprostsze prawdy głoszone przez Kościół katolicki. Stanowczo teologia pozostaje jednym z największych osiągnięć katolików, a najmniej rozumianym i docenianym przez ludzkość.

Osiągnięcie mniej oczywiste

W społeczeństwie przeoranym już oświeceniowymi filozofiami, dehumanizacyjnymi koncepcjami XIX wieku i totalitaryzmami XX wieku, po których liberalna poprawność polityczna położyła się na wyobrażeniach ludzkich, trudno jest pokazać, jak wiele osiągnięć Kościoła katolickiego było motorem rozwoju ludzkości. Spójrzmy bowiem na cenzurę – dziś kojarzy się z PRL-em czy państwami autorytarnymi, ale dawniej była inaczej sformułowana i czemu innemu służyła. Przecież dzieło Mikołaja Kopernika, choć trafiło na listę ksiąg zakazanych, to nadal było dyskutowane i rozwijane przez astrologów i uczonych, a jego autorowi nie stała się najmniejsza krzywda. Istota ówczesnej cenzury polegała raczej na nieprzekazywaniu wiedzy ludziom, którzy jeszcze nie są na nią gotowi. Galileusz, rzekomo szykanowany przez Kościół, został skazany na... czytanie psalmów. I nie za to dostał karę, że badał naukę, lecz za to, że do swoich wniosków dochodził nienaukowo, korzystając ze sformułowań opisujących czarną magię (sic!). I tych wyobrażeń nie da się już dzisiejszym społeczeństwom naświetlić – że to, co totalitaryzmy obróciły przeciwko ludzkości, kiedyś tej ludzkości mogło służyć.

Przecież w tej „okropnej" cenzurze wymagało się tworzenia dzieł zgodnych z naturą, pięknem i matematycznymi wzorami. Przecież to owe katolickie standardy stworzyły freski w Kaplicy Sykstyńskiej, Monę Lisę, katedrę Notre Dame, „Boską komedię", utwory muzyczne, zagadki logiczne i tysiące innych, powszechnych, otaczających nas dóbr kultury. To współczesność wypacza je, prymitywizuje na skalę nieznaną nawet starożytnym barbarzyńcom.

Ludzkość by sobie poradziła bez pornografii, wulgarnej pseudosztuki, odczłowieczających koncepcji filozoficznych (głoszących na przykład potrzebę aborcji czy niejedzenia mięsa), kwitłaby, gdyby nie dotknął jej nazizm i komunizm, poradziłaby sobie w świecie łagodnej i zasadniczej cenzury obyczajowej i walczącej z okultyzmem czy magią – a jednak nie poradziłaby sobie bez Kościoła katolickiego.

Straszny więc nadszedł czas, że o tak oczywistych rzeczach trzeba sobie przypominać, a wielki fundament naszej cywilizacji, jakim jest Kościół katolicki, zagrożony jest przez zideologizowanych fanatyków, wyrosłych właśnie dzięki dorobkowi zachodniej cywilizacji. ■

eprasa.pl dfaed9b77b

Piotr Lisiewicz

Polski zabijaka z Pensylwanii kandydatem na ołtarze

Syn małżeństwa polskich górników-emigrantów został przywódcą młodzieżowego gangu w miasteczku Shenandoah w Pensylwanii w Ameryce. Gdy młody chuligan postanowił, że będzie jezuitą, wielu nie mogło uwierzyć w jego przemianę. Nie stracił jednego – odwagi. Niebawem odpowiedział na apel papieża Piusa XI i podjął się misji niesłychanie ryzykownej – przedostania się pod zmienionym nazwiskiem do Związku Sowieckiego i głoszenia Boga w konspiracji. Do łagru trafił jako szpieg. W 1947 roku oficjalnie uznany został za zmarłego. A w 1963 roku, po 23 latach w niewoli, Związek Sowiecki wydał go Ameryce w zamian za schwytanego w USA sowieckiego szpiega. Dziś Sługa Boży ojciec Walter Ciszek jest kandydatem na ołtarze.

O 15.45 u redaktora naczelnego czasopisma „America", ojca Thurstona N. Davisa SJ, zadzwonił telefon. Był 11 października 1963 roku. W słuchawce odezwał się dawny prowincjał jezuitów, ojciec McMahon. „Życzył sobie, by »America« opublikowała sensacyjną wiadomość o »historii stulecia«. I naprawdę była to historia stulecia" – wspominał ksiądz Davis.

▶ „Zmarły" powraca po 23 latach

Oto dowiedział się, że za 15 minut amerykański Departament Stanu poda prasie niezwykłą wiadomość. Dojdzie do wymiany „agentów" między Waszyngtonem a Moskwą. W zamian za dwóch tajniaków sowieckich, których ujęto w Stanach Zjednoczonych, Związek Sowiecki uwolni dwóch obywateli amerykańskich. Jednym z nich jest oficjalnie uznany za zmarłego w 1947 roku jezuita ojciec Walter Ciszek. Jezuici przez 16 lat odprawiali msze za duszę zmarłego, a jego nazwisko zostało wydrukowane w oficjalnym spisie zmarłych synów Towarzystwa.

Uwolnieni przez Związek Sowiecki mieli wylądować w Nowym Jorku jeszcze tego samego dnia. Ojciec Davis próbował zebrać myśli. Wspominał później we wstępie do książki „Z Bogiem w Rosji": „Zastanawialiśmy się, czy to naprawdę będzie on? Czy może ktoś inny, kto przywłaszczył sobie jego nazwisko lub ukradł jego papiery? Jak będzie wyglądał? Co zrobiły z niego lata spędzone na Syberii, gdzie tak długo pracował w kopalniach? Czy nas rozpozna? Czy będzie jeszcze mówił po angielsku? Czy będzie zdrów na ciele i na umyśle?".

Próbował sobie uświadomić, co wydarzyło się w czasie, gdy jego przyjaciel, jezuita rodem z Polski, nie miał kontaktu z wolny światem: „Podczas gdy ta historia rozgrywała się po drugiej stronie ziemi, miliony zmarły, stoczono wielką wojnę, wynaleziono bombę wodorową, rozpoczęto loty orbitalne dokoła Ziemi, dzieci rodziły się i wzrastały, zakładały rodziny, a czterech papieży zasiadało na Stolicy Piotrowej". Davis pomyślał, że oto ma do czynienia z niecodziennym wydarzeniem. Będzie świadkiem, jak człowiek wraca ze śmierci do życia: „Nasz stary przyjaciel, jakby nowy Kolumb, przyleciał samolotem BOAC nr 501, by ponownie odkryć Amerykę i podjąć na nowo życie wolnego człowieka".

Wszystkie pytania dawnego przyjaciela były uzasadnione. Ojciec Ciszek przeżył w Sowietach czas załamania, gdy na Łubiance przyznał się do „winy" i pod groźbą rozstrzelania zgodził się na bliżej nieokreśloną współpracę ze śledczym. Ale potem wykazał się bohaterstwem, odmawiając twardo podjęcia działań szpiegowskich na rzecz Moskwy, choć w zamian grożono

fot. Arch.

eprasa.pl d1aed9b77b

mu znowu natychmiastowym rozstrzelaniem. Skończyło się 15 latami ciężkiej pracy w łagrze, gdzie współwięźniowie przekonani byli o jego świętości.

Dziś w Ameryce powstają filmy dokumentalne, książki i strony internetowe o jezuicie rodem z Polski, który ma zostać błogosławionym. W Polsce jest o nim ciszej, choć w listopadzie ubiegłego roku o postaci ojca Ciszka wspomniał premier Mateusz Morawiecki i nazwał go bohaterem: „Odnalazł ponownie w sobie polskość, wyjeżdżając z USA do Polski, by na kresach ewangelizować, a później również na zsyłce w łagrach repolonizować tych, z którymi dane było mu się spotkać".

„Byłem ulicznym zabijaką"

Walter Ciszek urodził się 4 listopada 1904 roku w górniczym miasteczku Shenandoah w Pensylwanii. Był dzieckiem rodziny polskich imigrantów, Anny i Marcina Ciszków. Przypłynęli oni do USA za chlebem czternaście lat wcześniej. Walter był siódmym dzieckiem w ich rodzinie. „Byłem małym tyranem, przywódcą bandy, ulicznym zabijaką – a przeważnie podejmowałem bójkę umyślnie, tylko dla rozrywki" – przyznawał po kilkudziesięciu latach ksiądz Ciszek. Wagarował, powtarzał klasę w szkole parafialnej, a zdesperowany ojciec myślał nawet, by oddać go do poprawczaka. Jednak pod wpływem m.in. fascynacji postacią św. Stanisława Kostki 24-letni chłopak, ku zaskoczeniu rodziny, postanowił wstąpić do nowicjatu jezuitów. Tak się składało, że w nowicjacie w Nowym Jorku jego przełożony, czyli „mistrz nowicjuszy", czytał apel papieża, który szukał kandydatów do misjonarskiej pracy w Związku Sowieckim.

„Ojcze, gdy ojciec czytał list papieża, to było dla mnie prawie bezpośrednim wezwaniem przez Boga" – zgłosił sceptycznemu przełożonemu Walter Ciszek. Wspominał po latach w książce „On mnie prowadzi": „W 1929 r. papież Pius XI napisał list do wszystkich seminarzystów, »szczególnie naszych synów jezuitów«, prosząc o kandydatów do nowego ośrodka rosyjskiego świeżo założonego w Rzymie, by przygotowywać młodych kleryków do przewidywanej przyszłej pracy w Rosji. Tam studiowałem teologię i uczyłem się odprawiać mszę św. w obrządku bizantyjskim".

Walter Ciszek przyjął święcenia kapłańskie, jednak Kościół uznał, że nie ma na razie możliwości prowadzenia misji w Sowietach. Dlatego młody kapłan został przydzielony do misji w obrządku wschodnim prowadzonej przez jezuitów w Albertynie. W Polsce. „Amerykanin" musiał zaaklimatyzować się wśród polskich wiernych. Udało się. „Pozyskałem wśród nich wielu przyjaciół i ufali mi, choć byłem młody – młody Amerykanin wśród nich" – wspominał.

Komsomoł szkoli donosicieli

W Albertynie młodego księdza z dwuletnim stażem zastał 17 września 1939 roku, gdy stało się to, czego tamtejsi jezuici bali się najbardziej, czyli wkroczenie wojsk sowieckich. „Właśnie skończyłem śniadanie po mszy w ów pamiętny ranek, gdy przerażeni parafianie przyszli do misji, by mi zwiastować tę nowinę" – napisał w książce „On mnie prowadzi". Jezuicka świątynia obrządku wschodniego została zamknięta natychmiast, natomiast parafii obrządku łacińskiego pozwolono funkcjonować przez pewien czas dla tych niewielu rodzin, które ośmielały się przychodzić. Misja jezuicka, która kwitła w Albertynie przez 10 lat, została zniszczona w ciągu kilku tygodni.

Ksiądz Ciszek przekonał się na własnej skórze, czym jest komunizm: „A cóż mówić o młodych ludziach, których dosłownie wydzierano rodzicom i zmuszano do wstąpienia do Młodych Pionierów bądź do Komsomołu i uczono donosić o wszelkich »odchyleniach« starszych w rodzinie? Jak ciężko było słuchać potwarzy rzucanych otwarcie przez propagandę komunistyczną na Kościół i kapłanów, i wiedzieć, że dzieci muszą uczyć się i powtarzać doktryny ateistyczne na co dzień w szkole i wypracowaniach klasowych. Jak mógł Bóg pozwalać na to wszystko? I dlaczego?".

Książka „On mnie prowadzi" to relacja z lat spędzonych w Sowietach, która przeplatana jest refleksjami nadającymi jej charakter filozoficzno-religijnego traktatu, zapewne wnikliwie studiowanego przez uczestników procesu beatyfikacyjnego. „Będzie nowe jutro i będziemy musieli je przeżyć – i Bóg będzie tam także" – pisał o swoich ówczesnych myślach ojciec Walter.

Radośnie do Rosji

W Albertynie, w sowieckiej beznadziei, pojawił się nagle pomysł cokolwiek szokujący. „Wpośród wojennego zamętu, w jakim znajdował się Albertyn, ukazał się nagle pewnego wieczoru jak grom z jasnego nieba o. Makar. Makar, psotny Gruzin, o długich falujących włosach, orlim nosie i błyszczących czarnych oczach, był razem ze mną studentem w Collegium Russicum w Rzymie" – pisał ksiądz Ciszek. Ojciec Makar pojawił się z informacją, że biskup dla ich bezpieczeństwa zamknął misję w Albertynie. Ale też z pomysłem mocno szalonym. Polegał on na tym, by Makar, Walter oraz ich wspólny przyjaciel Wiktor Nestrow, również absolwent Collegium Russicum, wykorzystali sytuację do tego, by zrealizować swoja misję – wyruszyć w głąb Rosji, by nieść Boga jej miesz-

eprasa.pl dfaed9b77b

kańcom. Nie było to trudne, bo sowieckie władze szukały na okupowanych terenach robotników do pracy w fabrykach na Uralu.

„Moje serce skoczyło z radości... Nie miałem obaw ani wahań... Oczywiście, oczywiście! Pojedziemy razem. Będziemy w Rosji na wiosnę" – wspominał swoją reakcję ksiądz Ciszek, który nie miał cienia wątpliwości, że to tam posyła go Pan Bóg. Po latach przyznał: „Z ludzkiego punktu widzenia mój pobyt w Związku Radzieckim mógł być uważany za najgłupszy i najbardziej bezsensowny akt mego życia".

Raj z literatury komunistycznej

Do Rosji pojechali bydlęcymi wagonami, a Ciszek był według dokumentów Włodzimierzem Lipińskim, Polakiem, którego rodzina zginęła w czasie nalotu niemieckiego. Zatrudnić miał ich Lespromchoz, wielki sowiecki kombinat drzewny.

W wagonie jechali głównie Żydzi uciekający przed Niemcami. Poznali tam Francka, warszawskiego Żyda komunistę z rodziną. Jechał do Rosji, bo marzył, „by żyć w tym raju, o którym tyle się naczytał w literaturze komunistycznej". Rozczarowanie przyszło szybko, bo zaraz po przybyciu do Czusowoj i Tiepłoj Gorie – miast uralskich produkujących drewno. Czekały ich bardzo ciężka praca i głód. „Nasz przyjaciel Franck był oszołomiony takim załamaniem się swego marzenia o raju robotniczym" – wspominał ksiądz Ciszek.

Ale trójka polskich księży była w nie lepszych nastrojach, bo okazało się, że nie ma tu „żadnego pola do apostolstwa". Robotnicy nie chcieli mówić o Bogu ani nawet myśleć o nim, bo się bali. U księży pojawiły się myśli o powrocie do Polski, gdzie ludzie potrzebowali przecież kapłanów... Póki co msze święte odprawiali samotnie w lesie po kryjomu, bez szat liturgicznych, a za ołtarz służył przewrócony pień. Ale dawały one siłę, że w jakiś przedziwny sposób ich przebywanie tutaj jest realizacją woli Bożej.

Pasożyty oddane rozpuście

Byli cały czas obserwowani przez KGB. Aż nadszedł dzień aresztowania. „Armia niemiecka rozpoczęła swój »Blitzkrieg« z Rosją 22 października 1941; Związek Radziecki natychmiast ogłosił stan wojenny. Tej samej nocy o 3.00 nad ranem tajna policja wkroczyła do naszych baraków w Tiepłoj Gorie" – pisał ksiądz Ciszek. Aresztowani zostali początkowo jako szpiedzy... niemieccy. Wraz z wybuchem wojny z Niemcami zamykano wszystkich, co do których istniały najlżejsze podejrzenia nieprawomyślności.

Warunki w celi były koszmarem – brak światła, świeżego powietrza, brudna podłoga, cuchnące wiadra służące za toaletę. Ojciec Walter przekonał się, że sowiecka agitacja w sprawie księży jest skuteczna. Odnotowywał, że wielu więźniów uważa kapłanów za pasożytów w społeczeństwie, mających łatwe życie opłacane groszami biednych starych kobiet, albo za ludzi niemoralnych, oddanych pijaństwu, rozpuście lub perwersji. Czy nie znamy skądś tej argumentacji w roku 2019?

Zarzuty wobec księdza Ciszka okazały się bardzo poważne. „Ponieważ uważano mnie za szpiega Watykanu, którego to oskarżenia nigdy nie przyzwyczaiłem się brać na serio, ale które NKWD zdawało się traktować bardzo poważnie, przewieziono mnie pod strażą z więzienia w Permie do więzienia Łubianka w Moskwie. »Łubianka« była wówczas strasznym słowem w Rosji. O więzieniu przy ulicy Łubianka mówiono szeptem" – pisał. Jak przyznawał, sam nie do końca zdawał sobie sprawę z grozy Łubianki.

Hotel Łubianka z widokiem na piekło

Łubianka była niegdyś hotelem i cele wyglądały tam nadal jak hotelowe pokoje. Małe, schludne i – w porównaniu z opisanym przed chwilą więzieniem w Permie – bardzo czyste. Jak pisał, elementem budowania jej grozy było milczenie. Nie tylko nie wolno było rozmawiać, lecz także „strażnicy nosili specjalne wojłokowe obuwie, tak że nie słyszało się ich chodzących po korytarzach, aż dopiero byli przy samych drzwiach".

To milczenie powodowało, że więźniowie żyli w stałym napięciu i byli niezwykle wrażliwi na każdy, najlżejszy nawet dźwięk. W tym milczeniu miało upłynąć mu pięć lat, w czasie gdy gdzieś daleko rozgrywała się II wojna światowa. „Samotne więzienie musi być bardzo podobne do tego, co niektórzy teologowie przedstawiają jako główną męczarnię piekła: dusza nareszcie świadoma swych grzechów, za które skazana została na zawsze na utratę nieba, nieustannie dręczy się wyrzutami sumienia" – pisał w książce „On mnie prowadzi".

Milczenie starał się wypełnić modlitwą. „Godzina wstawania o 5.30 i śniadanie o 7.00 na Łubiance odpowiadały prawie w zupełności porządkowi dnia w większości domów jezuickich" – zauważał nie bez ironii. Stwierdzał, że „posty, wstrzemięźliwość i dobrowolnie podejmowane umartwienia, praktykowane w przeszłości, trochę ułatwiały sprawę wytrzymania głodu". Anioł Pański odmawiał, gdy słyszał bijące zegary na Kremlu. Odmawiał też codziennie trzy różańce – po polsku, po łacinie i po rosyjsku.

Milczenie przerywały przesłuchania, które mogły trwać nawet 24 godziny albo 48 godzin, przy czym śledczy woleli te całonocne od dziennych. Ksiądz Ciszek

eprasa.pl dfaed9b77b

podchodził do nich spokojnie, bo zarzuty wobec siebie uznawał za w oczywisty sposób absurdalne, co musieli zrozumieć jeśli nie sami śledczy, to ich przełożeni.

Jak się okazało, logiczne argumenty nie miały nic wspólnego z motywacjami działania śledczych. „Jakiekolwiek były tego powody, bili mnie ze śmiertelną powagą, abym przyznał się do tego, o co mnie oskarżano, choć mnie wydawało się to fantastyczne. Byli nie zmęczeni, byli dokładni i znali dobrze swoje rzemiosło" – wspominał. Racjonalność nie miała też nic wspólnego z zadaniami, jakie stały przed śledczym. „Jego zadanie polegało nie na odkryciu tego, czy byłem zamieszany w jakiś spisek przeciwko rządowi – moja obecność w kraju jako obcego kapłana była dostatecznym dowodem, by ten punkt znalazł się poza dyskusją – lecz na wykryciu wszystkich szczegółów spisku" – pisał.

Niedoszły kapelan u Wandy Wasilewskiej

Kuszony wyjściem na wolność na przemian z groźeniem egzekucją, pytany był, kiedy wreszcie powie prawdę. „Oczywiście że powiem prawdę i będę współpracował z wami" – odpowiedział wyczerpany. Zgodził się przyznać do winy, ale gdy pokazano mu protokoły jego zeznań, stwierdził, że nie mają one z nimi wiele wspólnego. Zmienił więc decyzję i odmówił. Usłyszał, że zostanie rozstrzelany przed wschodem Słońca. W końcu złożył podpisy. „Akt podpisania został wymuszony przez prawie zwierzęce pragnienie przeżycia" – pisał później.

Bardzo szybko się przekonał, jak wielki był to błąd. Wyrok w jego sprawie został wydany w trybie administracyjnym, bez rozprawy, skoro sam się przyznał. Brzmiał: 15 lat ciężkich robót. Ale jego nadzieje, że skoro zostanie skazany, wyjedzie zaraz na Syberię, okazały się złudne. Na Łubiance miał zostać jeszcze cztery lata, czyli „okres wyjaśniania" tego, pod czym się podpisał. Szybko przekonał się, jak wielki był to błąd. „Błąd popełniony przez podpisanie był teraz używany jako środek zmuszania mnie dalej [...] Teraz współpraca miała oznaczać, że mam czynnie współpracować z nimi w każdej intrydze, jakie proponowano jedna po drugiej" – opisywał.

Dostarczano mu do celi książki o historii i filozofii komunizmu, by dodać mu argumentów za współpracą z władzą. Śledczy egzaminował go, by sprawdzić, czy je przeczytał. Wszelkimi sposobami usiłowano zniszczyć jego kapłaństwo. Proponowano mu małżeństwo z młodą dziewczyną. Odpowiadał, że przez lata przygotowany był do kapłaństwa i to by było nieuczciwe wobec dziewczyny. Tłumaczono mu, że jako chrześcijanin może przejść na prawosławie, bo Kościół prawosławny w przeciwieństwie do katolickiego potępiał faszyzm. Odpowiadał śledczemu, że Kościół katolicki znaczy dla niego co najmniej tyle, ile dla śledczego partia komunistyczna.

Potem proponowano mu, by został kapelanem w armii komunistycznej tworzonej pod dowództwem Wandy Wasilewskiej (!) albo kapelanem w armii Andersa. Gdy się zgodził, dowiedział się, że „ci na górze" zmienili zdanie: chcą raczej, żeby pojechał do Rzymu, by służyć jako pośrednik między Kremlem i Watykanem. Tłumaczono, że Związek Sowiecki był jednym z państw sprzymierzonych i może nadejść czas na konkordat z komunizmem.

To już była jawna propozycja inwigilacji Kościoła. Pisał: „Oczywiście, wyjaśnił śledczy, nie będę w Rzymie sam. Będę członkiem zespołu i będę musiał przekazywać pewne informacje, pewne szczegóły do Moskwy. Gdybym tego nie robił, gdybym zawiódł ich zaufanie, to ci, co będą ze mną pracować, zadbają o moją szybką egzekucję. Zanim wyjadę, przejdę specjalnie przeszkolenie w ciągu miesiąca, bo muszę poznać pewne techniki szpiegostwa, których będę prawdopodobnie potrzebował w Rzymie".

Zupełnie niestraszna egzekucja

Po błędzie, jakim było przyznanie się do winy, w księdzu Ciszce dokonała się przemiana duchowa, która zmieniła wszystko. Uznał, że skoro nie może całkiem ufać sobie, powinien całkowicie zaufać Bogu. Czyli świadomie i dobrowolnie zdać się na wolę Bożą.

Zadowolony śledczy, który widział w nim szpiega wysyłanego niebawem do Watykanu, miał się srodze zawieść. Nadszedł moment, gdy ksiądz miał zgodzić się podpisem na udział w tej operacji. Ksiądz, który wszystko oddał w ręce Bogu, czekał na tę chwilę spokojnie: „Byłem pewny, zupełnie pewny, że gdy przyjdzie chwila decyzji, On poprowadzi mnie właściwą drogą. I tak się stało. Kiedy nareszcie śledczy zażądał, abym podpisał umowę dotyczącą wyjazdu do Rzymu, po prostu odmówiłem [...] Śledczy rozgniewał się bardzo i zagroził natychmiastową egzekucją. Nie odczułem wcale strachu. Zdaje się, że się uśmiechnąłem. I wtedy wiedziałem już, że zwyciężyłem".

Nie wiedział, co będzie z nim dalej, ale to miało dla niego drugorzędne znaczenie: „Kiedy zawołał strażników, by mnie odprowadzili – a nie miałem pewności, czy nie prowadzą mnie przed pluton egzekucyjny – poszedłem z nimi tak, jakby byli zwiastunami łaski. Czułem obecność Boga w tej chwili i wiedziałem, że On prowadzi mnie ku przyszłości przez siebie zaplanowanej. Niczego więcej nie pragnąłem".

Nie było egzekucji, a sowieckie państwo uznało, że ksiądz nie nadaje się do misji szpiegowskich, a tylko na zsyłkę. „Jak się okazało, opuściłem Łubian-

eprasa.pl dfaed9b77b

kę nie po to, by stanąć przed plutonem egzekucyjnym, lecz by zacząć długą podróż z Moskwy na Syberię, i byłem uradowany" – pisał. Jak stwierdzał, w zatłoczonym bydlęcym wagonie „był uszczęśliwiony po prostu dlatego, że byłem z ludźmi". „Byłem nadal więźniem, ale czułem się wolny i swobodny. Było to niemal tak, jakbym powstał z grobu na Łubiance" – pisał.

Pięć lat II wojny na Łubiance

Jego wiedza o tym, jak zmienił się świat dookoła, była niewielka. Od strażniczki słyszał, że wojna w Europie skończyła się w czasie ostatniego roku jego pobytu w Moskwie. Teraz po pięciu latach na Łubiance, a więc bez pracy fizycznej, musiał zająć się ładowaniem węgla na statek w arktycznym porcie Dudinka.

Ale na nowo mógł też zacząć wykonywać swoją posługę: „Mogłem znowu odprawiać Mszę św., choć potajemnie, słuchać spowiedzi, chrzcić i pocieszać chorych, posługiwać umierającym. Mogłem mówić innym o Bogu i pouczać ich o wierze, umacniać tych, których wiara była słaba". Teraz więźniowie garnęli się do kapłana, więc okazało się, że jego misja ma sens. Pisał: „Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że każde spotkanie z każdym więźniem było wolą Bożą". Jak stwierdzał, nietypowe było to nauczanie, bo „Nie było potrzeby mówienia o grzechu, potępieniu czy piekle ludziom, którzy co dzień doświadczali piekła samotności, rozłąki i niepokoju".

On i inni księża mieli w łagrze mocnych sojuszników: „Katolicy z Polski, Ukrainy, Litwy i Łotwy byli pierwszym podmiotem naszego apostolatu i zawiązkiem każdej obozowej »parafii«. Trzymali się silnie wiary i radowali mając kapłana, który udzielał im sakramentów. Tradycyjnie okazywali kapłanowi wielki szacunek [...] Stali na warcie, gdy odprawialiśmy msze, by ostrzec o zbliżaniu się strażnika lub donosiciela. I przyprowadzali do nas innych więźniów".

Nielegalne misze miały ogromne znaczenie: „Uświadomienie sobie tego, co działo się na desce, skrzyni czy kamieniu zastępującym ołtarz, głęboko przenikało dusze [...] Wiele razy, gdy składałem chustkę do nosa, na której spoczywało Ciało naszego Pana, i osuszałem szklankę czy blaszany kubek używany jako kielich, ogarniało mnie przemożne uczucie dokonania czegoś nieskończenie ważnego dla ludzi w tym kraju bez Boga". Był pewien, że to ma znaczenie: „Dla takich ludzi właśnie zostałem wybrany i byłem uprzywilejowany przynosząc im chleb życia".

Po odsiedzeniu wyroku wyszedł na sowiecką „wolność" i przekonywał się, jak ona wygląda w praktyce. „Włodzimierzu Marcinowiczu, wasza praca misjonarska nie jest potrzebna tu w Norylsku. Rozumiecie?" – słyszał w lokalnym KGBT, gdzie kazano mu kupić bilet na samolot do Krasnojarska. A potem odnotowywał: „Mój pobyt w Krasnojarsku nie trwał długo. Tajna policja wkroczyła pewnej nocy o godz. 1.00 i dała mi 48 godzin na opuszczenie miasta".

Ciszek Hall

Ku jego zaskoczeniu w 1963 roku tajniacy zawieźli go do Moskwy i spakowali do samolotu. Leciał do Londynu, a ze stolicy Wielkiej Brytanii do Nowego Jorku. Swoje życie w Związku Radzieckim opisał w książkach „Z Bogiem w Rosji", „Ty jesteś ze mną. Duchowe świadectwo z Syberii" oraz „On mnie prowadzi".

W Ameryce pracował w Ośrodku Studiów Wschodnich Uniwersytetu Fordham w Nowym Jorku oraz jako rekolekcjonista i kierownik duchowy. Zmarł w 1984 roku – jak mówi formułka, w jego przypadku aż nazbyt uzasadniona – w opinii świętości. Od 1996 roku trwa jego proces beatyfikacyjny.

Na Uniwersytecie Fordham znajduje się dziś Ciszek Hall, natomiast w jego rodzinnej miejscowości działa Father Walter J. Ciszek Education Center. ■

KONDOLENCJE

Z ogromnym smutkiem
przyjąłem wiadomość o śmierci

śp.

Romualda Lazarowicza

działacza opozycji przedsierpniowej, wielkiego człowieka Solidarności, pisarza i publicysty, redaktora naczelnego podziemnego pisma „Z Dnia na Dzień", drukarza i wydawcy drugiego obiegu, współtwórcy Radia Solidarność Walcząca, odznaczonego Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Wolności i Solidarności, Krzyżem Solidarności Walczącej, Medalem za Działalność Opozycyjną „Niezłomni", Krzyżem WiN, wyróżnionego tytułem Kustosza Pamięci Narodowej.

Rodzinie i Bliskim składam najszczersze wyrazy współczucia.

Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów

eprasa.pl dfaed9b77b

Dariusz Jarosiński

DWIE ŚMIERCI

Witkacemu przez całe dorosłe życie towarzyszyło przeczucie zagrożenia cywilizacji europejskiej ze strony bolszewickiej dziczy gotowej do najbardziej okrutnych zbrodni. Jak wielki lęk odczuwał, zaświadczył we wrześniu 1939 roku, gdy na wieść o sowieckiej agresji na Polskę popełnił samobójstwo. Strach przed dostaniem się w łapy czerwonej zarazy nie dał wyboru także Tadeuszowi Dołędze-Mostowiczowi. Raniony bolszewicką kulą, i on odebrał sobie życie.

eprasa.pl dfaed9b

Tadeusz Dołęga-Mostowicz i Witkacy

fot. Wikipedia (2)

Wiosną 1937 roku prof. Marian Zdziechowski, rektor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, zanotował: „Wolałbym umrzeć teraz w zgodzie z Bogiem, w otoczeniu najbliższych, zapatrzony w rozciągające się przede mną wzgórza i lasy, podniesiony na duchu odczuciem czegoś wielkiego, nieskończonego, tajemniczego a bliskiego, niż za rok, za dwa albo trzy, może wcześniej jeszcze, może nieco później, zgnić w sowieckiej czerezwyczajce". Wileński mędrzec zmarł półtora roku po napisaniu tych słów. Szczęśliwie zdążył umrzeć przed nadejściem antychrysta w granice Polski.

Zdziechowski trafnie przewidział starcie dwóch totalitaryzmów – komunistycznego i narodowo-socjalistycznego, zwycięstwo komunizmu oraz zniewolenie, sowietyzację Polski. Jego opinie, czy jak niektórzy wolą mówić – proroctwa, były lekceważone przez ówczesną elitę polityczną, intelektualną zarówno na zachodzie Europy, jak i w Polsce. Uważane były za naiwne, zrodzone w głowie stetryczałego staruszka, ale jak się wkrótce miało okazać, to politycy byli naiwni, iż nie doceniali diabelskiej mocy komunistycznej ideologii. Zdziechowski nie miał złudzeń, że w wyniku bolszewickiej nawałnicy stary świat ulegnie dewastacji, że zostaną zrujnowane porządek polityczny i cała cywilizacja, a tradycyjna moralność poddana będzie destrukcji.

Zdziechowski postrzegał komunizm nie tylko jako osobliwość polityczną, społeczną, lecz także metafizyczną. Jakże wytłumaczyć akceptację ideologii komunistycznej, wręcz zafascynowanie nią dzisiaj, na początku XXI stulecia, mimo doświadczeń potwornych zbrodni, łagrów, wymordowania kilkuset milionów ludzi, jeśli nie metafizyką? Zaistnienie komunizmu Zdziechowski określał jako „wkroczenie [...] ciemnych, apokaliptycznych potęg na widownię dziejów", widział w nim „działania sił demonicznych przygotowujących miejsce dla antychrysta, który ma się pojawić w czasach ostatecznych".

Czesław Miłosz miał okazję słuchać wykładów profesora w murach uniwersytetu wileńskiego, w tekście „Religijność Zdziechowskiego" wspominał: „Jego wizja eschatologiczna zbliżania się czegoś nieuniknionego a strasznego trafiała w mgliste odczucia jego czytelników i słuchaczy, zgadzała się z atmosferą czasu. Ale tylko wizja. Całe rozumowanie, wnioski, wskazania – rozmijały się z dążeniami młodych, którzy właśnie w prądach uznanych przez profesora za dzieło szatana dopatrywali się zbawienia i to, co było dla niego nocą, brali za »promienne oblicze wschodzącego dnia«. Dopiero potem, po latach, wielu z nich miało drogą gorzkich doświadczeń powrócić do niektórych prawd głoszonych przez Zdziechowskiego i uznać, że te same podstawy mogą się na coś przydać, chociaż zmieniło się »niebo historyczne«".

ed9b77b

Kroki nadchodzącego Chama

26 sierpnia 1939 roku 54-letni Stanisław Ignacy Witkiewicz przyjechał z Zakopanego do Warszawy. 30 sierpnia zgłosił się jako ochotnik do komisji poborowej. Chciał walczyć, nawet jako szeregowy żołnierz. Bardzo źle przyjął odmowę komisji, która uznała, że ze względu na wiek i stan zdrowia nie nadaje się do pójścia na front walki z Niemcami. Był artystą, pisarzem, filozofem, ale też oficerem elitarnej lejbgwardii armii carskiej w czasie wielkiej wojny, porucznikiem rezerwy.

Do Pawłowskiej Szkoły Wojskowej wstąpił w listopadzie 1914 roku po powrocie z wyprawy z przyjacielem, etnografem Bronisławem Malinowskim – podróży początkowo planowanej do Cejlonu i Nowej Gwinei, ostatecznie przerwanej przez Witkacego w Australii. Witkacy nie usłuchał ojca, Stanisława Witkiewicza, piłsudczyka, by wstąpił do Legionów. Notabene rodzina Witkiewiczów była skoligacona z rodziną Piłsudskich. Witkiewiczowie brali udział we wszystkich polskich zrywach wolnościowych – w powstaniach listopadowym i styczniowym.

O swoich losach w Rosji Witkacy niewiele mówił. Milczał o przeżyciach w czasie rewolucji bolszewickiej, które były traumatyczne, a które jak się później okazało, miały duży wpływ na jego twórczość. Musiał ukrywać się przed bolszewicką Czeką. Do wolnej Polski wrócił w 1918 roku w ramach wymiany jeńców wojennych.

Joanna Siedlecka, autorka książki „Mahatma Witkac", przytacza wspomnienie ciotki Witkacego, Anieli Ehrenfeucht, która zasłyszała, jak to Witkacy uchronił się jako biały oficer przed niechybną śmiercią zadaną przez bolszewików: „Udał [...] chorego umysłowo – uraczył porcją najstraszliwszych min oraz głosów, w czym był rzeczywiście mistrzem. I to go najprawdopodobniej uratowało, w Rosji bowiem, chorych umysłowo – sumaszedszich, jurodiwych uważano i za świętych. Budzili i strach, i podziw. Lepiej było zostawić ich w spokoju".

Wiele osób uważało Witkacego za wariata, dziwaka, morfinistę, skandalistę, ekscentryka, pomylonego syna wielkiego Witkiewicza. Dopiero wrzesień 1939 roku pokazał, że był człowiekiem głęboko myślącym, wizjonerem. Trafnie przewidział najazd bolszewików, komunizm, kryzys podstawowych wartości. Przez całe dorosłe życie towarzyszyło mu przeczucie zagrożenia cywilizacji europejskiej ze strony bolszewickiej dziczy gotowej do najbardziej okrutnych zbrodni. Odczuwał lęk przed rewolucyjną zrewoltowaną masą. Słyszał wyraźnie, jak to ujął, „kroki nadchodzącego Chama". Kiedyś inżynier Stefan Ossowiecki, uważany za jasnowidza, powiedział, że widzi wokół Witkacego „jakiś dramat". Jak bardzo Witkacy wierzył w to, co pisał, jak wielki lęk odczuwał przed bolszewią, zaświadczył we wrześniu 1939 roku.

Witkacy bardzo przeżywał brak zrozumienia dla swojej twórczości pisarskiej, brak poważnego odbioru tekstów z zakresu filozofii, teatru, literatury. W drugiej połowie lat 30. coraz bardziej dawały się mu we znaki kłopoty finansowe. Utrzymywał się z malowania portretów, wykładów. Do tego doszły też kłopoty ze zdrowiem i te małżeńskie. Żona Jadwiga Witkiewiczowa mieszkała w Warszawie, a on w Zakopanem. Romansował z młodszą od siebie o 17 lat Czesławą Oknińską-Korzeniowską, urzędniczką z Pocztowej Kasy Oszczędności. W Zakopanem przy Chramcówkach 21 w willi „Tatry" prowadził „Firmę Portretową S.I. Witkiewicz".

Diagnozy Witkacego co do przyszłości naszej cywilizacji, kultury wydawały się współczesnym mocno przesadzone, wytworem jedynie chorej wyobraźni. „Faktem jest, że ludzkość degrengoluje się coraz bardziej. Sztuka upadła i niech koniec jej będzie lekki – można się bez niej obejść zupełnie dobrze. Religia skończyła się, filozofia wyżera sobie bebechy i też skończy śmiercią samobójczą. Koniec indywiduum zarżniętego przez społeczeństwo – rzecz już dziś banalna" – pisał w dramacie „Matka" w 1924 roku.

W powieściach „Pożegnanie jesieni" (1928) i „Nienasycenie" (1930) Witkacy przedstawił swoją wizję świata zmierzającego ku upadkowi za sprawą zrewolucjonizowanych mas żywiących się iluzją życia, stworzenia „nowego człowieka". Wielkie zagrożenie widział w kulturze masowej, która według niego prowadzi do rozkładu osobowości. Epilogiem obu powieści jest śmierć na tle polskiej przyrody. W „Pożegnaniu jesieni" pisał: „Zaczynała się wczesna jesień: ścierniska, jesienna, o szmaragdowym odcieniu zieloność, żółciejące gdzieniegdzie drzewa i dźwięk rodzinnej mowy dawały złudzenie, że wszystko jest jak dawniej. A tymczasem cały kraj stał na głowie, na szpicu, jak wywrócona piramida, kręcąc się zawrotnie i chwiejnie nad przepaścią niezbadanych przeznaczeń". W tej samej scenerii, złotej polskiej jesieni, 11 lat później, Witkacy zażył pastylki efedryny i podciął sobie żyły, kiedy bolszewicka dzicz weszła do Polski.

Dzisiaj ze smutkiem obserwujemy w Europie upadek cywilizacji chrześcijańskiej, religii, kultury. Kiedyś bolszewia gwałtem i terrorem musiała wprowadzać swoją ideologię – dzisiaj nie ma już takiej potrzeby – bolszewicka zaraza rozprzestrzenia się bez udziału czołgów i bagnetów.

Podobnie jak Marian Zdziechowski, Witkacy w komunizmie widział nie tylko zjawisko polityczne czy społeczne, lecz także metafizyczne.

To koniec

5 września 1939 roku Witkacy wraz ze swoją ostatnią miłością, Czesławą Oknińską-Korzeniowską, postanowili opuścić Warszawę i udać się wraz z uciekinierami na wschód. Pociągiem dojechali do Brześcia nad Bugiem, dalej ruszyli pieszo. 14 września po trudach podróży

eprasa.pl dfaed9b77b

przyjął ich w swoim majątku w Jeziorach na Polesiu Walenty Ziemlański, kolega Witkacego z czasów służby w carskim pułku lejbgwardii w latach 1916–1917.

Ostatnie godziny życia Witkacego znamy dzięki relacji Czesławy Oknińskiej-Korzeniowskiej, którą przekazała między innymi Mieczysławowi Choynowskiemu. Około południa 17 września Polskie Radio podało komunikat o wejściu Armii Czerwonej do Polski. Witkacy miał krótko skomentować tę wiadomość: „To koniec". Po czym zaczął palić dokumenty, które posiadał przy sobie. Jednocześnie cały czas mówił o „okropnościach rewolucji bolszewickiej". Na nic się zdały tłumaczenia Oknińskiej, że „teraz to nie rewolucja". Witkacy mówił roztrzęsionym głosem, że „to są ci sami", „będą bić i katować", że ona tego „nie przeżyła, więc nic nie wie, jak było".

W czasie bezsennej nocy Witkacy zaplanował wspólne samobójstwo. Kiedy wyszli z domu, na dworze było jeszcze ciemno. Przed wyjściem z domu Witkacy jak zwykle ogolił się. Był spokojny. „To dziś" – powiedział w czasie drogi. „Ja nie mogę, nie mogę czekać ostatniej chwili – muszę jeszcze teraz, póki jest Polska. I trzeba spokojnie, z honorem". Czesława Oknińska-Korzeniowska wspominała: „Szliśmy w stronę lasu, gęsta mgła zasłaniała drogę i las wydawał się to bliski – to znów oddalony. Szukaliśmy miejsca. [...] Długo jeszcze szliśmy, wypatrując miejsca, niestety drzewa rosły w dość dużej odległości od siebie, a my szukaliśmy jakiejś intymności i dyskrecji lasu. Znaleźliśmy drzewo jakby z małym wzgórkiem pod głowę. Kiedy usiedliśmy, po raz ostatni próbowałam perswazji, przerwał: »Jeśli aż tak tego nie chcesz – odejdę sam, ale pamiętaj, że beze mnie zginiesz. Powinniśmy odejść razem«. Łatwo przekonałam go, że jest w błędzie, w który zresztą nie wierzył, szykował kubeczek z »napojem« dla mnie".

Oknińska-Korzeniowska dostała do wypicia rozpuszczone w garnuszku przez Witkacego tabletki luminalu. Przeżyła – uratowały ją torsje. Miała też jeszcze silny, młody organizm. Autor „Niemytych dusz" zażył pastylki efedryny na pobudzenie krążenia krwi. Oknińska zasypiając, widziała jeszcze, że Witkacy podcina sobie żyletką żyły, najpierw na przegubach rąk, potem na nogach, ale ponieważ krew nie płynęła, przeciął sobie też tętnicę na szyi.

Miejscowi chłopcy odnaleźli Witkacego i Oknińską leżących pod rosłym dębem jeszcze przed południem tego samego dnia, 18 września. Następnego dnia odbył się pogrzeb Witkacego. Spoczął na prawosławnym cmentarzyku nad jeziorem. Okolicę obiegła wiadomość o śmierci samobójczej „kogoś z Warszawy", więc na pogrzebie zebrało się dużo ludzi. 24 września, po dojściu do siebie, Czesława Oknińska-Korzeniowska wybrała się w powrotną podróż do Warszawy.

Zdała relację z tego, co się wydarzyło w Jeziorach na Polesiu, przyjacielowi Witkacego – Mieczysławowi Choynowskiemu, który w 1985 roku opublikował ją w paryskiej „Kulturze". Okupację przeżyła w Warszawie, po Powstaniu Warszawskim przeszła przez obozy Ravensbrück i Mauthausen. Po wojnie pracowała w Instytucie Wydawniczym PAX. Zmarła w grudniu 1975 roku. Pod koniec życia spisała swoje wspomnienia. Obwiniała się o to, że była zbyt uległa i pozwoliła „Stasiowi", jak mówiła o Witkacym, odebrać sobie życie.

W 1988 roku odbyła się w Zakopanem wielka państwowa celebra – pogrzeb na cmentarzu na Pęksowym Brzysku Stanisława Ignacego Witkiewicza. Kilka tygodni wcześniej przeprowadzona został ekshumacja jego zwłok z cmentarza w Jeziorach na Ukrainie. Mszę odprawił ks. Józef Tischner. Już wkrótce po uroczystościach pogrzebowych ukazały się w prasie informacje o skandalicznej pomyłce: w grobie – obok matki artysty Marii Witkiewiczowej – spoczęły prochy nieznanej kobiety. Historia pogrzebu Stanisława Ignacego Witkiewicza jest groteskowa, jakby wyjęta wprost z którejś z jego sztuk teatralnych.

▶ Kariera Tadeusza Dołęgi-Mostowicza

Tadeusz Dołęga-Mostowicz należał do najpoczytniejszych, najbardziej popularnych polskich pisarzy okresu międzywojennego. Można zaryzykować, że jego książki „Znachor", „Profesor Wilczur", „Doktor Murek" czytali przed wojną wszyscy Polacy potrafiący czytać – bez względu na wiek, wykształcenie, status społeczny. Nie brakowało oczywiście takich czytelników, którzy pogardzali powieściami Mostowicza jako drugorzędną, gorszą literaturą. Sale kinowe małych miasteczek i dużych miast były wypełnione po brzegi, kiedy na ekranach pojawiały się filmy zrealizowane na podstawie powieści Dołęgi-Mostowicza. W ciągu zaledwie sześciu lat powstało aż siedem filmów. Grały w nich największe gwiazdy międzywojennego kina, m.in. Jadwiga Smosarska, Kazimierz Junosza-Stępowski.

Tadeusz Mostowicz przyszedł na świat w folwarku szlacheckim Okuniewo nieopodal miasta Głębokie w województwie nowogródzkim. Zamierzał zostać prawnikiem, jednak po wybuchu rewolucji bolszewickiej, w 1917 roku, przerwał studia prawnicze na uniwersytecie kijowskim i wyjechał do Warszawy. Przystąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej (POW), zgłosił się na ochotnika do Wojska Polskiego i jako kawalerzysta wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej. W 1922 roku zakończył służbę wojskową, podjął pracę w Warszawie w redakcji dziennika „Rzeczpospolita", pisma, które było wówczas związane z Chrześcijańską Demokracją Wojciecha Korfantego.

Pracę w redakcji zaczynał od stanowiska zecera, a kiedy okazało się, że sprawnie posługuje się piórem, powierzono mu funkcję dziennikarza i redaktora. Nie ukrywał swego negatywnego stosunku do rządzącego obozu sanacji – nie szczędził krytyki wszelkim nadużyciom wła-

eprasa.pl dfaed9b77b

dzy. Opisywał w artykułach niewygodne dla niej sprawy, choćby zaginięcia gen. Włodzimierza Zagórskiego, aresztowania gen. Juliusza Malczewskiego. Nigdy jednak nie dotknął osobiście Józefa Piłsudskiego. W krytyce nie przekroczył też granicy dobrego smaku, wychowania, kultury osobistej i politycznej. Omal nie zapłacił życiem za swoje ostre pióro – 8 września 1927 roku został porwany wieczorem z ulicy Grójeckiej, siłą wepchnięty do samochodu i wywieziony do podwarszawskich Janek, gdzie został pobity do nieprzytomności i wrzucony do dołu. Uratował go przechodzący akurat tamtędy rolnik. Po pobiciu Dołęga-Mostowicz stwierdził, że była to zapewne oddolna inicjatywa nadgorliwych zwolenników marszałka Piłsudskiego.

Długo odczuwał skutki pobicia. Do pracy w redakcji już nie powrócił – zajął się pisaniem powieści, w których przedstawiał realia życia w II Rzeczypospolitej. Poruszał najczęściej tematy społeczne, poddawał krytyce elity polityczno-społeczne. W „Ostatniej brygadzie" atakował karierowiczów, którzy dorabiali się na legendzie Legionów Piłsudskiego.

Największy rozgłos przyniosła pisarzowi powieść „Kariera Nikodema Dyzmy", która ukazała się w 1932 roku. Książka bez wątpienia wybitna, ponadczasowa, aktualna do dziś. Każda epoka ma swojego Dyzmę. Choć Dołęga-Mostowicz zaprzeczał, że jego książka jest pamfletem na ówcześnie rządzącą sanację, to i tak nikt w to nie wierzył. W maju 1931 roku zamieścił list na łamach „Wiadomości Literackich", w którym wyjaśniał: „Otóż oświadczam, że nigdy nie tylko endekiem, lecz żadnym partyjnikiem partyjnym czy partyjnikiem bezpartyjnym nie byłem, nie jestem i nie będę. Publicystykę zarzuciłem od dwóch lat, a nawet i dziennikarstwo, aby tylko jak najdalej odsunąć się od polityki. Nic nie pomaga! Czy naprawdę w Polsce nie wolno dziś być człowiekiem na własną odpowiedzialność, czy naprawdę nie wolno własnemi oczami patrzeć na współczesne życie i mieć o niem własne zdanie?".

Tadeusz Dołęga-Mostowicz był najlepiej zarabiającym w Polsce pisarzem. Jego powieści rozchodziły się w niebotycznych nakładach. Na jego konto bankowe wpływały co miesiąc kwoty po kilkanaście tysięcy złotych za honoraria. Przeciętna pensja urzędnicza wynosiła 200–300 złotych. Mieszkał w apartamencie zajmującym całe piętro pałacu Rembielińskiego przy dzisiejszych Alejach Ujazdowskich. Nigdy jednak pisarz nie doznał zawrotu głowy od sukcesów czy pieniędzy. Wiedział, że wymagając od innych przyzwoitości, krytykując innych, sam musi być w porządku. Mawiał, że kiedy będzie bardzo bogaty, to zabierze się za bardziej ambitną literaturę.

10 sierpnia 1939 roku Tadeusz Dołęga-Mostowicz skończył 41 lat, w tym wieku wielu pisarzy dopiero zaczynało swoją karierę pisarską, a on był u jej szczytu – w tymże 1939 roku hollywoodzka wytwórnia filmowa Warner Bros zamówiła i kupiła u autora „Doktora Murka" dwa scenariusze filmowe. Zdobył ogromne doświadczenie jako pisarz, autor kilkunastu książek, zbierał materiały do napisania powieści – trylogii historycznej, chciał się oderwać od bieżących tematów. Ostatnią jego książką wydaną przed wojną, a więc zarazem i za życia, była powieść „Pamiętnik pani Hanki". Jest to bardzo gorzka refleksja na temat kondycji moralnej, intelektualnej przedwojennej polskiej elity. Można wyczytać w „Pamiętniku..." zapowiedź nadciągającej katastrofy.

Koniec II RP na moście w Kutach

Pod koniec sierpnia 1939 roku kapral podchorąży Dołęga-Mostowicz został zmobilizowany do wojska. Walczył w kampanii wrześniowej. W połowie września podjął próbę przedostania się ze swoim oddziałem do sojuszniczej Rumunii i stamtąd do Francji. Żołnierze przebili się przez okrążenie sowieckiego wojska i dotarli do Kut, miasteczka położonego tuż przy granicy z Rumunią nad rzeką Czeremosz. Trafili na moment, kiedy przez Kuty, przez 400-metrowy most na rzece Czeremosz, przeszła już potężna fala uciekinierów.

To tutaj trwał wcześniej istny exodus. Mieszkańcy Kut nigdy nie widzieli dotychczas takich tłumów. Jechały limuzyny dyplomatów obcych ambasad, korpusy dyplomatyczne. Szły kolumny zmęczonych, głodnych żołnierzy, piechurów, lotników bez samolotów, czołgistów bez czołgów. Ciągnął się sznur ciężarówek, furmanek, motocykli, rowerów, podążały niezliczone masy pieszych pchających wózki wyładowane dobytkiem.

Świadek tych wydarzeń, Stanisław Wołoszczuk, autor książki „Pokucie. Legenda i rzeczywistość", tak zapamiętał te dramatyczne dni: „Wśród już obecnych w Kutach i ciągle napływających do miasta uciekinierów panował niesamowity bezład, harmider i nieustający zgiełk. Tu i ówdzie rozlegały się głośniejsze wołania, krzyki i uciążliwy dla ucha lament, który był w tych dniach w Kutach wszechobecny. Płakali ci, którzy opuszczali polską ziemię, oraz ci, którzy ich żegnali i pozostawali na tej opuszczonej ziemi. Ten zgiełk i lament wzbudzał przygnębienie, żal, rozpacz. Widok był przygnębiający, żałosny i wręcz żałobny. Najbardziej wzruszające było to, że tak cywile, jak i żołnierze wkładali do swych toreb i portfeli kwiaty i liście z drzew, zabierali źdźbła trawy oraz grudki polskiej ziemi. Każdy brał co mógł i skrzętnie zawijał w papierek. Z tego faktu można było wnioskować, że wszyscy zdawali sobie z tego sprawę, iż opuszczają ojczystą ziemię i wybierają się w nieznaną tułaczkę. Wielu z opuszczających tuż przed mostem całowało ziemię".

Most na rzece Czeremosz w Kutach stał się niemal symbolem końca II Rzeczypospolitej. Po sowieckiej agresji na Polskę w nocy z 17 na 18 września 1939 roku przez most graniczny na Czeremoszu w tłumie uchodźców prze-

eprasa.pl dfaed9b77b

jechali do Rumunii wódz naczelny – marszałek Edward Rydz-Śmigły, prezydent RP Ignacy Mościcki, minister spraw zagranicznych Józef Beck i premier Felicjan Sławoj Składkowski. Wcześniej na plebanii kościoła grekokatolickiego odbyło się z udziałem prezydenta ostatnie posiedzenie rządu II Rzeczypospolitej, a w kościele pw. Najświętszego Serca Jezusa w Kutach odprawiona została ostatnia na terenie Rzeczypospolitej Msza święta, w której uczestniczyli przedstawiciele władz państwowych.

Jeden z oficerów, odpowiadających wówczas za ewakuację polskiego rządu, kapitan Zygmunt Wasilewski, tak opisywał historię przekraczania granicy: „Okropny moment. Nie wiem, czy uda mi się kiedyś wymazać go z pamięci. Wszyscy mieliśmy łzy w oczach. Niektórzy całowali biało-czerwoną barierę, inni ziemię lub budkę strażnika. Kilku żołnierzy szlochało głośno, kilku modliło się, klęcząc. Każdy prawie zabierał coś na pamiątkę. Jeden zeskrobał scyzorykiem trochę biało-czerwonej farby ze słupa granicznego, drugi – zawiązał w chusteczkę garść ziemi, trzeci zerwał jakiś kwiatek... Wreszcie, oglądając się wciąż za siebie, przeszliśmy granicę. Bezpośrednio po tych strasznych chwilach nastąpiło nie mnie okropne i przygnębiające rozbrojenie. Byliśmy upokorzeni. Wstydziliśmy się. Rumuńscy żandarmi kazali nam złożyć broń w przydrożnym rowie. Podchodziliśmy do wskazanego miejsca, rzucając na stos pistolety, karabiny i bagnety. Już chyba zawsze będę słyszał trzask rzucanej broni, będzie mnie prześladował jej widok. Będę pamiętał twarze żołnierzy. Szczególnie tych kilkunastu, którzy karabinów nie rzucili, ale złożyli je bardzo, bardzo delikatnie" (Stanisław Nicieja, „Moje Kresy. Kuty – czas apokalipsy, czas rozpaczy", Nowa Trybuna Opolska, 31.12.2010 r.).

▶ Ciche i skromne pożegnanie

W Kutach liczną społeczność oprócz Polaków stanowili Ormianie, świetnie zorganizowani, przybyli tu przed wiekami z Mołdawii, mieszkało też sporo inteligencji ukraińskiej i Żydów. Po przejściu uciekinierów miasteczko stało się bezpańskie, nie bronione przez Polaków, więc Ukraińcy zaczęli atakować okoliczne wsie. Mieszkańcy wsi szukali schronienia w Kutach, w miasteczku, do którego akurat przybył oddział kaprala podchorążego Tadeusza Dołęgi-Mostowicza.

Podawanych jest wiele wersji okoliczności śmierci Tadeusza Dołęgi-Mostowicza – pewne jest to, że zginął w Kutach od kuli bolszewika. Oprę się na według mnie najbardziej prawdopodobnej relacji naocznego świadka, Ryszarda Cholewczuka, Ormianina, który przedstawił ją redaktor Barbarze Furdzik z Polskiego Radia w 1998 roku. Ryszard Cholewczuk miał w 1939 roku 12 lat. Otóż kiedy oddział Dołęgi-Mostowicza dotarł do Kut z zamiarem przejścia do Rumunii, burmistrz miasteczka, Dunikowski, poprosił go o ochronę przed napadami Ukraińców. Mostowicz nie odmówił pomocy, choć liczył się z tym, że w każdej chwili do Kut mogą wejść nie tylko Ukraińcy, lecz także bolszewicy.

Oddział otrzymał kwaterunek w budynku straży celnej, w mieście została zorganizowana straż obywatelska wyposażona w ostrzegawcze rakietnice, która miała sygnalizować w nocy o zbliżających się bandytach. Mieszkańcy miasta podjęli się utrzymania żołnierzy. W południe 20 września 1939 roku Mostowicz przyjechał wraz z dwoma żołnierzami po prowiant dla oddziału. Gdy podkomendni pakowali prowiant na ciężarówkę, a dowódca akurat był zajęty rozmową z burmistrzem, od strony Śniatynia nadjechały trzy sowieckie tankietki. Mostowicz dogonił ciężarówkę ruszającą w dół w kierunku Czeremoszu i wskoczył na jej tył. Bolszewicy otworzyli ogień z broni maszynowej. Jedna z kul trafiła Mostowicza. Ciężarówka podskoczyła na wyboju i zjechała do rowu. Pisarz wyciągnął pistolet Browning i zastrzelił się. Może nie chciał cierpieć, a może nie chciał dostać się do niewoli. Bolszewicy nie interesowali się więcej samochodem, a dwaj żołnierze zbiegli. Lekarz Zbigniew Tustanowski, notabene wuj Ryszarda Cholewczuka, stwierdził zgon Tadeusza Dołęgi-Mostowicza 20 września 1939 roku.

Burmistrz zaopiekował się ciałem zmarłego i zorganizował pochówek. Ksiądz rzymskokatolicki odmówił pogrzebania zwłok Mostowicza, bał się reakcji bolszewików, nacjonalistów ukraińskich, więc uczynił to kapłan katolicki obrządku ormiańskiego, ksiądz Samuel Manugiewicz. Notabene niezwykle ciekawa postać, senator z ramienia BBWR II Rzeczypospolitej, niezłomny duszpasterz, ostatni kapłan Ormian w Związku Sowieckim, zmarł ociemniały w 1956 roku.

Pogrzeb Tadeusza Dołęgi-Mostowicza był cichy i skromny, odbył się o zmierzchu 22 września. Ryszard Cholewczuk brał udział w nabożeństwie żałobnym jako ministrant. W 1942 roku ks. Manugiewicz skontaktował się z rodziną Tadeusza Mostowicza w Warszawie i przekazał jej wiadomość o śmierci pisarza. Z wiadomych względów nie można było sprowadzić wówczas szczątków pisarza do Warszawy; stało się to 24 listopada 1978 roku. Tadeusz Dołęga-Mostowicz został pochowany w katakumbach Cmentarza Powązkowskiego.

Jeżeli uznać most na rzece Czeremosz w Kutach za symbol końca II Rzeczypospolitej, to nieodłącznym elementem tego symbolu jest też śmierć Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, pisarza, krytyka sanacji, ale jednocześnie też obrońcy Rzeczypospolitej w obliczu zagrożenia.

Kiedy w 1944 roku Ukraińcy przeprowadzili kilka pogromów w Kutach, nie było już komu bronić Polaków i Ormian przed banderowcami. W zbrodniach tych zginęło około dwustu Polaków i Ormian. Większość Polaków uciekła z Kut – z tysiąca polskich mieszkańców pozostało około sto osób. ■

eprasa.pl dfaed9b77b

Magdalena Złotnicka

Ruscy złodzieje i cieknący katamaran

eprasa.pl

Pisarzowi Jerzemu Jochimkowi Polska Ludowa się nie podobała. Marzył o tym, by się z niej wydostać. W tym celu we własnym domu postanowił własnoręcznie zbudować katamaran, którym następnie chciał dopłynąć gdzieś, gdzie nie docierają sowieckie wpływy. Niestety po zwodowaniu okazało się, że łajba przecieka. Jochimek musiał więc szukać innych metod ucieczki.

fot. Wikipedia

O tym budowaniu katamaranu wspominają m.in. Krystyna Stołecka („Jerzy Jochimek – postać fikcyjna", „Tygiel Kultury" nr 10/12 2009), która zresztą była uczennicą Jochimka, czy Joanna Leszczyńska w tekście „Łódź – ostatni port" („Polska. Dziennik Łódzki", 2 października 2009). Rozproszone notatki w prasie, zwłaszcza łódzkiej, bo przecież stamtąd właśnie Jochimek pochodził, więc lokalne gazety chętnie przypominały jego postać, książki, wydane po kilkudziesięciu latach od ich napisania przez bibliotekę „Tygla Kultury" – wiele po tym Jochimku nie zostało. Tymczasem ci, którzy zetknęli się z jego twórczością, są zdania, że jego nazwisko powinno być wymieniane w jednym rzędzie z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim i Józefem Czapskim. Jochimek bowiem przeszedł przez łagry, m.in. przez Sorok-łag, i o łagrach pisał. Inaczej niż Grudziński, ale nie mniej wstrząsająco. Co więc się stało, że na jego książki trzeba było czekać tak długo? Po części zapewne opóźnienie to „zawdzięczamy" Jerzemu Giedroyciowi, który wyjątkowo w tym wypadku nie miał nosa i nie wyczuł dobrej literatury. „Zdaniem Giedroycia to, co napisałem, było zbyt śmiałe i buntownicze" – mówił cytowany we wspomnianym już tekście Leszczyńskiej sam Jochimek. Faktycznie, powieści Jochimka są śmiałe. Są także odarte z patosu, a momentami nawet – zabawne. Warto zresztą zaznaczyć, że pisarz konstruuje fikcyjną historię, choć jej bohaterowie w wielu miejscach przeżywają to, co on sam lub ci, których znał, przeszli w rzeczywistości. Zarazem te historie – opowieści o ucieczce z łagrów – czyta się z zapartym tchem, trochę jak powieść przygodową. Czy przez to tragizm tego, co działo się w łagrach, jest mniejszy? Wręcz przeciwnie.

Zawsze uważałam – choć zapewne część czytelników odsądzi mnie od czci i wiary – że najbardziej wstrząsającą książką o niemieckich obozach koncentracyjnych jest „Pięć lat kacetu" Stanisława Grzesiuka. Najsławniejszy warszawski cwaniak pisze o swoich obozowych przeżyciach bez patosu, bez upiększeń, a także – bezwstydnie: wspomina na przykład, jak udało mu się znaleźć miejsce, w którym spał, podczas gdy inni więźniowie harowali ponad siły. Coś nieco innego, ale zarazem podobnego, podobną szczerość i brak upiększeń – oraz etos cwaniaka – znajdzie się też w powieściach Jochimka. I właśnie ta prawda, czasem brzydka, a czasem niepasująca do heroicznych legend, czyni obie te opowieści – tę z obozu koncentracyjnego Grzesiuka i tę łagrową Jochimka – tak przejmującymi. Jak w sztukach Szekspira (i jak w życiu), pojawiają się tu elementy wesołe lub niosące nadzieję, jednak podkreślają one tylko głębię tragedii, jaką były zarówno obozy koncentracyjne, jak i sowieckie łagry.

▶ Polski Żyd na Sorbonie

Na świat przyszedł w Łodzi, zimą, 3 grudnia 1920 roku. Może to zahartowało jego organizm na trudy,

eprasa.pl/daed9b77b

jakie miała przynieść mu przyszłość. W cytowanym już tekście Krystyna Stołecka określa jego rodzinę jako „patriotyczną polską rodzinę inteligencką pochodzenia żydowskiego", a Józef Henryk Wiśniewski, autor posłowia do „Psów kołymskich", podaje, że ojciec nosił imię Jakub, zaś matka nazywała się Anna de domo Sadowska. Już od dziecka był żywy i nieznośny. Stołecka pisze, że jako czteroletni smarkacz Jerzy... celebrował, zresztą rozbawiając tym swoich rodziców, Mszę świętą.

Jako starszy już chłopiec uczęszczał do Społecznego Gimnazjum Męskiego, gdzie języka polskiego uczył go – bardziej znany jako poeta i tłumacz – Mieczysław Jastrun. Z osobą polonisty łączy się pewna zabawna anegdota, którą sam pisarz opowiadał w wywiadzie udzielonym Stołeckiej. („Daleko albo... – rozmowa z Jerzym Jochimkiem", „Tygiel Kultury" nr 10/12 2006). Otóż Jastrun jako nauczyciel dawał kilka zadań do wyboru, jeśli chodzi o tematy wypracowań. Jerzy Jochimek zdecydował się pisać o „Iliadzie". Kierowała nim jednak nie miłość do tradycji antycznej, lecz zwykłe lenistwo – o epopei Homera miał bowiem książkę, a jeden z jej rozdziałów był wprost odpowiedzią na wybrany temat. Przyszły autor „Chrystusa i białych niedźwiedzi" postanowił zerżnąć zadanie z książki, w oryginale napisanej przez Laurę Orvieto. Jastrun zrecenzował pracę jako „szarą i nieciekawą". Następnym razem przy wypracowaniu Jochimek wybrał więc temat dowolny i napisał opowiadanie o żmii, wężu i kocie. To spodobało się Jastrunowi, który uznał, że twórczość Jochimka jest „żywa" i „dobrze się czyta". Efekty były takie, że dwunastoletni wówczas uczeń doszedł do wniosku, iż pisze lepiej od tych, co z pisania i wydawania książek żyją.

Wychowanie Jochimka nie różniło się specjalnie od wychowania innych chłopców z przedwojennych tzw. dobrych domów. Uprawiał sporty, wspinał się po górach, jeździł na nartach i umiał świetnie żeglować. To ostatnie bardzo zresztą przydało mu się w dorosłym życiu.

Studiować zdecydował się za granicą. W 1938 roku rozpoczął naukę na wydziale fizyki, na paryskiej Sorbonie. Pierwszy rok ukończył szczęśliwie. Na wakacje wrócił do domu. Studiów na kolejnym roku nie miał już jak podjąć – w Polsce zastała go II wojna światowa. Wiśniewski podaje, że wówczas pisarz przez Węgry chciał przedrzeć się na Zachód, by tam „walczyć o Polskę". Leszczyńska precyzuje, że chciał dostać się do Francji. Oboje zaznaczają, że uciekał w towarzystwie innych osób, którym pomagał przedostać się przez „zieloną granicę". Nic z tego nie wyszło, a pisarza aresztowało NKWD. Autor posłowia do „Psów..." podaje, że więziono go kolejno w Nadwórnej, w Stanisławowie, we Lwowie oraz w Berdyczowie. Wreszcie usłyszał wyrok. Specjalny Sąd Wojenny zdecydował, że Jochimek na pięć lat ma trafić do poprawczego obozu pracy. Wiśniewski zaznacza, że pisarz mógł mówić o szczęściu. Jeśli bowiem sędziowie zorientowaliby się, że to właśnie on przewodził przekraczającym granicę, zostałby skazany na śmierć, którą to karę zapewne wykonano by na miejscu i od razu.

▶ Rosjanie śpiewają

Jednak trafił do łagru. Jak wspominał w rozmowie z Krzysztofem Różyckim („Największym zabójcą był kawałek chleba", „Tygodnik Angora", 21 lutego 2010), pięć tysięcy więźniów, w tym trzy tysiące Polaków, zostało załadowane do pociągu, który zatrzymał się nad Morzem Białym. Tam więźniów zapędzono na barki. Potem kilkadziesiąt kilometrów piechotą i wreszcie cel – łagier numer 40, w samym środku tajgi, gdzieś między Archangielskiem i Białomorskiem. Zadaniem więźniów była budowa linii kolejowej, „która połączyłaby linie Moskwa–Archangielsk i Leningrad–Murmańsk".

Tę samą trasę przebył i w podobnych okolicznościach został zatrzymany Ludwik Żbikowski, bohater „Pamiętnika z brzozowej kory". I tak jak Ludwik spotkał Siemiona „Maga" (obozowa ksywa od miasta Magadan na Kołymie), księcia moskiewskich złodziei i zarazem zbuntowanego syna jakiejś sowieckiej szychy, któremu jako jedynemu udało się uciec z Kołymy, tak Jochimek faktycznie zaprzyjaźnił się – i wspólnie uciekał – z człowiekiem o takiej właśnie biografii, którego prawdziwe imię ukryło się niestety w pomroce dziejów.

„Psy kołymskie", książka składająca się z dwóch opowiadań, wspomnianego już „Pamiętnika..." i tytułowych „Psów...", to opowieść o dwóch ucieczkach. Pierwszej, chronologicznie późniejszej, ucieczki Ludwika z łagru, jego spotkania z poznanym wcześniej Siemionem, który niejako równolegle również ucieka; i drugiej, będącej opowieścią Siemiona o tym, jak to uciekł z Kołymy. Nie ma sensu streszczać obu opowiadań, kto ma chęć, niech przeczyta. Warto jednak przytoczyć kilka scen oddających przejścia tych, którzy trafili do łagrów. Jedna z takich, które najmocniej wbiły mi się w pamięć podczas lektury, ma miejsce jeszcze w trakcie drogi do łagru. Więźniów, zmuszonych spore odległości przemierzać pieszo, karmiono podle. Na jednym z postojów dostali czarny, wilgotny chleb i spore, nadpsute śledzie. Głodni skazańcy rzucili się na ryby. Potem zaczęli domagać się wody. Od konwojentów usłyszeli, że będzie „skoro", czyli niedługo. Tyle że u Sowietów „niedługo" mogło oznaczać i dwa dni. Zdesperowani więźniowie, nękani pragnieniem spotęgowanym przez pożarcie słonych śledzi, pognali więc do przydrożnego rowu,

eprasa.pl dfaed9b77b

w którym płynęła błotnista woda. Byli w takim stanie, że nie przeszkadzał im fakt, iż może godzinę wcześniej w tym samym rowie załatwiali potrzeby fizjologiczne. Nie dali się także odgonić sowieckim konwojentom, wyzywającym ich od „bydła", a w psy, którymi usiłowano ich odpędzić od wodopoju, ciskali grudami błota. Motyw psów pojawia się także w innych miejscach: owczarek przyczepiony do szyny okrążającej zonę zwany jest przez więźniów „szczekającą kolejką linową" i utrudnia ucieczkę, a Siemion z Kołymy ucieka psim zaprzęgiem, po kolei zjadając najsłabszych towarzyszy. Ostatecznie przeżyć udaje się jemu i dwóm psom.

Inna wstrząsająca scena ma miejsce, kiedy do osadzonych przyjeżdża Brygada Agitacyjno-Artystyczna, złożona zresztą również ze skazańców. Jeden z nich, tenor moskiewskiego Wielkiego Teatru, skazany na „szpulę", czyli dziesięć lat łagru, za to, że powiedział, iż w Rosji „sztuka upada i jak tak dalej pójdzie, to zejdą z teatrem na psy", śpiewa starą rosyjską pieśń o Wołdze. I wówczas dochodzi do zdarzenia niezwykłego. Wszyscy, nawet sowieccy kryminaliści, mordy najbardziej zakazane z zakazanych, „siedzą, jak zaczarowani. Jak najlepsza, najwybredniejsza publiczność. [Ludwik] nie rozumie jeszcze, nie nadąża za słowami pieśni. Wie tylko, że ktoś czai się nad rzeką, w sitowiu, słowiczym głosem podaje komuś umówiony znak... i tragedia skończona. Na falach rzeki płynie kozacka czapka. Pieśń skończona. Słychać jeszcze tylko plusk fal. I cicho. Barak zamiera na kilka sekund. Na minutę... i wybucha. Na czarnych rzęsach Marioli błyszczą łzy". Takich scenek, w których Rosjanie radują, a czasem też ratują się śpiewem, jest kilka. W każdej z nich Jochimek niezwykle trafnie zarysowuje romantyczne rosyjskie dusze. A to, że właśnie te cechy naszego sąsiada posiadają kryminaliści, nie zaś sowieccy strażnicy, robi wyjątkowo mocne wrażenie. Choć Jochimek nigdzie nie napisał tego wprost, myśl, że lepszy już sowiecki złodziej od sowieckiego politykiera czy żołnierza, jest wystarczająco czytelna.

Zarazem Jochimek pojął też zbiorową mentalność Rosjan i to, jak łatwo ulegają oni wszelkiego rodzaju zamordyzmom. „Zrozumiałem Rosję. Rosjanie przejęli mentalność Mongołów, którzy kiedyś ją opanowali. To kraj, w którym większość akceptuje to, co im się narzuca. Rosjanie godzą się na dyktaturę, byle zwalić z siebie ciężar myślenia i buntu. To jest złe. Polacy są odwrotnością Rosjan. Buntujemy się, i to czasem przesadnie" – powiedział w 2009 roku Joannie Leszczyńskiej.

W obu opowiadaniach pojawiają się także obrazki dotyczące samego życia w łagrach. Sowieci nie wierzą w to, że ktoś nie jest w stanie iść do pracy, i tych, którzy zostają w zonie, piętnują na wymyślne sposoby. Pewnego razu Ludwik i jego towarzysze wracający z pracy do obozu widzą chorych stojących lub leżących bez sił na wilgotnej ziemi – pod transparentem z napisem: „Nie chcemy pracować, bo jesteśmy łotry, lenie i obiboki. Niech za nas pracują uczciwi ludzie".

Z kolei Siemion opowiada o konwojentach, którzy niepokornym kazali stawać na pniu bez kurtek i stać bez ruchu, grożąc, że w razie poruszenia – zastrzelą. Przy kilkudziesięciostopniowych mrozach prowadziło to do odmrożeń lub po prostu do śmierci.

Najbardziej szokująca – i w czasach Polski Ludowej trudna do uwierzenia – jest jednak opowieść oficera Wojska Polskiego, którego Ludwik i Siemion spotkali w tajdze. Ów, ciężko ranny, zmarł wkrótce, ale został po nim tytułowy, spisywany na brzozowej korze, pamiętnik. Z niego główny bohater dowiaduje się, że jego spotkany przypadkiem rodak był jedynym, który ocalał z barki z polskimi oficerami, którą Rosjanie zatopili na Morzu Białym. Jak podaje Krystyna Stołecka w tekście „Jerzy Jochimek – postać fikcyjna", w rzeczywistości nie było pamiętnika, ale Jochimek naprawdę spotkał dogorywającego polskiego żołnierza, który cudem przetrwał bestialski mord w wykonaniu Rosjan. Swoje dzieje opowiedział pisarzowi w noc przed śmiercią. Jochimek usiłował odnaleźć rodzinę zmarłego, jednak bezskutecznie.

Warto przytoczyć słowa powieściowego Siemiona, którymi podsumował zapiski polskiego oficera. „Teraz mogę uwierzyć bez zdziwienia, jak to się stało, że Polacy sprawili naszym bolszewikom takie lanie w 1920 roku. Jeśli było wśród tych pięciu tysięcy, utopionych w Białym Morzu, jeszcze pięćdziesięciu takich, jak ci dwaj [autor pamiętnika i jego kolega, który zginął nieco wcześniej – przyp. M.Z.], to wy, Polacy, przy odrobinie szczęścia, dacie kiedyś dobrą nauczkę i Niemcom, i nam" – mówi. Dodaje z żalem, że nie zna polskiej kultury i języka.

▶ Torreador w gułagu

O człowieku, który w powieściach nosi imię Siemion, Jochimek opowiadał m.in. Krzysztofowi Różyckiemu. Początkowo rozmawiał z Rosjaninem po francusku. Dopytywał go głównie o możliwości ucieczki, Rosjanina zaś interesowało, jak wygląda Paryż.

W tym samym wywiadzie Jochimek wspominał również, jakie warunki panowały w Sorok-łagu. Barak, zamieszkiwany przez kilkaset osób, ogrzewały jedynie dwie przerobione na piece beczki. W efekcie podczas mrozów, sięgających minus 55 stopni Celsjusza, na dolnych narach, czyli pryczach, głowy śpiących przymarzały do belek. Pracujących karmiono fatalnie. Za wyrobienie 100 proc. normy dostawało się 900 gramów chleba i dwa razy dziennie

eprasa.pl dfaed9b77b

nieosolone kluski z czarnej mąki, zwane klajstrem, a im mniej procent normy ktoś wyrabiał, tym gorzej go karmiono. Przy czym warto zaznaczyć, że normy były praktycznie nie do wyrobienia. „Nasza robota polegała na tym, że ręcznymi świdrami wierciliśmy w pniach dziury o głębokości 50 cm, a w dziurę wbijaliśmy kołek. Dzienna norma na jednego więźnia wynosiła 130 dziur lub wyciosanie 250 kołków albo wbicie drewnianym młotem 400 kołków" – opowiadał Jochimek Różyckiemu. Dodawał, że więźniowie znaleźli na to sposób: wiercili maksymalnie płytkie dziury, w nie wbijali zdecydowanie krótsze niż potrzeba kołki. Norma była wyrobiona, siły zaoszczędzone.

Takie kombinowanie w łagrowym świecie stanowiło cnotę. Podobnie jak umiejętność obronienia swojego majątku przed kradzieżą, o czym Jochimek pisze w swych powieściach. Świat Ludwika i Siemiona w łagrach nie dzielił się na dobrych i złych, tylko na „gadów" lub „legawych", czyli strażników, obozowych wychowawców i naganiaczy, frajerów, czyli tych, co nie umieją sobie radzić, i swoich, czyli najczęściej złodziei właśnie. Pozornie wygląda to na świat całkowicie pozbawiony moralności, jednak zarówno Ludwik, jak i Siemion wielokrotnie ujmują się za pokrzywdzonymi. Jeszcze w czasie podróży na Kołymę, w jednym z przejściowych więzień, Mag skłania do zawalczenia o swój los człowieka, który z braku miejsca śpi przy samym wiadrze, do którego wylewane są nieczystości. Okazuje się, że Juan, bo tak nazywa się ów przygarnięty przez złodziei człowiek, nie zna rosyjskiego ani polskiego, a w Hiszpanii był torreadorem. Siemion i jego kompania nie opuszczają go – nawet wtedy, gdy doznaje pomieszania zmysłów. A kiedy torreador zostaje zastrzelony przez strażnika, postanawiają go pomścić. Bo ta „ekipa" cały czas walczy. Potrafią uszkodzić czy nawet zabić nadgorliwego wychowawcę. Ich postawa nie ma wiele wspólnego z bezwolnością ofiar łagrów, znaną nam z innych lektur łagrowych. Może to również nie podobało się Giedroyciowi. Poza tym „Nie przypadł mu do gustu rodzaj aktywnego antyterroru niektórych więźniów »politycznych«. Trudno mu było się zgodzić, że ci »polityczni« w większości byli komunistami i ich poglądy niczym się nie różniły, w zasadzie, od poglądów tych, którzy ich skazali i więzili. Byłem przekonany, że gdyby ci więźniowie doszli do władzy, bardzo niewiele by się zmieniło. [Józef] Czapski rozumiał to doskonale" – stwierdzał pisarz w wywiadzie udzielonym Stołeckiej.

Pewną formą kombinowania jest także symulowanie choroby psychicznej; zwolnienie ze względu na domniemany brak piątej klepki udaje się uzyskać choćby Fimce w „Psach kołymskich". Najbardziej dramatyczny – i zarazem symboliczny – jest opis takiego udawania w „Chrystusie i białych niedźwiedziach". Tam jeden z więźniów, tytułowy „Chrystus", udaje pomieszanie zmysłów, cytując fragmenty Biblii, nosząc na plecach zbity z badyli krzyż i mówiąc obozowej lekarce, że ją rozgrzesza, bo nie wie, co czyni.

Wróćmy jednak do samego Jochimka. Jak wspominał w rozmowie z Różyckim, po kilku miesiącach z trzech tysięcy Polaków żyła połowa. Wtedy zdecydował się na ucieczkę. „Razem z »Magiem« poszedłem do Wołogdy. Tam pomogli nam miejscowi złodzieje. Dali lipne dokumenty. Wsiedliśmy do pociągu, pojechaliśmy do Azji Środkowej. Po kilku miesiącach, zupełnie przypadkowo, zostałem aresztowany i to był dopiero początek mojej łagrowej odysei" – wspominał.

Już nie dom

Wiśniewski w posłowiu do „Psów..." wspomina, że Jochimek nigdy nie zaprzestał prób ucieczki, a kiedy go łapano, podwyższano mu tylko wyroki. Do roku 1948, kiedy to został zwolniony i mógł wrócić do Łodzi, zdążył trafić do batalionu karnego, być ranny, po raz kolejny zbiec z łagru, strzelić w pysk śledczego, który go uderzył, trafić do szpitala ze złamanym nosem i połamanymi żebrami... Widać wyraźnie, że pisarz był z tych, którzy nie umieją powiedzieć pas. „Ten rys charakteru, wyznaczający bieg jego biografii, powtarza się w kreacjach bohaterów prozy Jochimka i zarazem stanowi najważniejszą antropologiczną jej tezę: marzenie o wolności ma dla niego potężną moc subwersywną i stanowi nieocenione narzędzie w walce o indywidualną godność" – pisała o Jochimku Małgorzata Rembowska-Płuciennik („Mag (na) wolności", „Twórczość", lipiec 2007).

Kiedy wrócił do domu, okazało się, że nie za bardzo ma do czego wracać. Jak wspominała Stołecka w tekście „Jochimek – postać fikcyjna", ojciec pisarza nie przeżył uwięzienia w Litzmannstadt Getto, rodzeństwo zginęło w Powstaniu Warszawskim, szwagier – w Oświęcimiu. Z rodziny pozostały matka i siostrzenica. Z kolei w „Daleko albo...", cytowanym już wywiadzie udzielonym byłej uczennicy, Jochimek wspominał, że kiedy trafił do domu, „był jak dziki" i matka go nie rozpoznała. Jako były więzień gułagu nie miał szans na karierę naukową. Postanowił więc studiować... filologię rosyjską. Jak podaje Rembowska-Płuciennik, już na studiach zaczął pisać cykl „Daleko albo jeszcze dalej", książki o łagrach. Wydać ich oczywiście nie mógł.

Z całą pewnością jego sytuacji nie poprawiał też fakt, że mówił, co myślał. Leszczyńska przytacza wspomnienia Józefa Henryka Wiśniewskiego, który Jochimka poznał właśnie na Uniwersytecie Łódzkim. Jak opowiadał jej późniejszy autor posłowia do

eprasa.pl dfaed9b77b

„Psów...", kiedy trwały obowiązkowe zebrania studenckie, przyszły pisarz prowokował kolegów, sprowadzał dyskusje na absurdalne tory. Opowiadał też dowcip, który sam wymyślił: Jak brzmiały ostatnie słowa poety Włodzimierza Majakowskiego przed popełnieniem samobójstwa? „Towariszczi, nie strielajtie, ja toże komunist!" (Towarzysze, nie strzelajcie, ja także jestem komunistą).

Nie bał się także angażować politycznie: wiecował w Październiku '56 roku, włączył się w organizację pomocy dla powstańców węgierskich, a gdy po studiach zatrudnił się jako nauczyciel rosyjskiego, swoim podopiecznym opowiadał na lekcjach o łagrach.

Zarazem jednak rok 1956 paradoksalnie skłonił Jochimka do tego, by na fali odwilży spróbować wydać swoją twórczość. Zaniósł więc swoje powieści do Państwowego Instytutu Wydawniczego. Leżały tam bardzo długo. W końcu zaś autor usłyszał, że chociaż są dobre, to na wydanie nie ma szans, bo cenzura to zablokuje. W 1957 roku utwory zostały przewiezione do Francji. Jak opowiadał sam autor Krystynie Stołeckiej, pomogli w tym jego przyjaciele, państwo Ołomuccy, architekt i malarka. Ci mieli to szczęście, że do Francji mogli przenieść się legalnie. Wpakowali więc maszynopisy poświęcone łagrom do jakiejś skrzyni, w której wywozili z Polski różne swoje graty, i wysłali za granicę. Gdy dziesięć lat później także Jochimek znalazł się we Francji, jego książki na niego czekały.

Kolejna ucieczka

Mimo że Jochimek jakoś w Polsce poukładał sobie życie – miał pracę, ożenił się (z Krzysztofą Kołodziejską, krytykiem literackim i teatrologiem), to jednocześnie w Polsce czuł się uwięziony i pragnął uciec. Zarówno Wiśniewski w posłowiu do „Psów...", jak i Stołecka w cytowanym już tekście wspominają, że Jochimek usiłował wykorzystać żydowskie pochodzenie. Złożył podanie o wizę do Izraela, jednak spotkał się z odmową. Kolejna próba ucieczki to wspomniany już katamaran. Nawiasem mówiąc, fakt, że Jochimek budował łódź, był znany Służbie Bezpieczeństwa, gdyż – jak podaje Stołecka – pisarz był inwigilowany. Brak reakcji wynikał prawdopodobnie z tego, że służby uważały go za niegroźnego wariata. Sytuacja zmieniła się w roku 1967. Wówczas pisarz – będący zupełnie legalnie członkiem klubu żeglarskiego – popłynął wraz z kolegami w rejs. We Francji samowolnie jednak wysiadł i poprosił o azyl polityczny. Rok później przeniósł się do USA. Jak podaje m.in. Rembowska-Płuciennik, tam nauczał rosyjskiego i powrócił do pracy naukowej. Nie zajął się jednak fizyką. Na Uniwersytecie w Vanderbilt zrobił doktorat poświęcony polskim przykładom prozy Izaaka Babla, wykładał także w Rochester.

Wiśniewski podaje, że we Francji nawiązał krótkotrwałą współpracę z Radiem Wolna Europa, a Służba Bezpieczeństwa dostała szału. Jej wściekłość skupiła się przede wszystkim na żonie pisarza. „Była regularnie przesłuchiwana przez SB i straszona, że dopadną Jurka i zabiją. Wymuszono na niej napisanie listu wzywającego go do powrotu. Przetrzymywano ją od rana na korytarzu w oczekiwaniu na przesłuchania, przekładane wieczorem na następny dzień" – czytamy w posłowiu do „Psów..." . W końcu doszło do tragedii. Ciało pierwszej żony Jerzego Jochimka znaleziono w pokoju hotelowym w Warszawie. Zgon nastąpił w związku z zażyciem zbyt dużej dawki środków nasennych. To Wiśniewski był tym, który poinformował pisarza, że jego Krzysia nie żyje.

Tęsknota

W Ameryce Jochimek ponownie wstąpił w związek małżeński, jego druga żona – jak podaje Leszczyńska – była Amerykanką pochodzenia irlandzkiego i zmarła w 2009 roku. Jednak mimo zakotwiczenia w zagranicznej rzeczywistości w pisarzu cały czas buzowała tęsknota za krajem. W Polsce jego powieść pod tytułem „Za kręgiem" podziemne wydawnictwo Przedświt wydało bez jego zgody i wiedzy, jednak – jak to bywa w przypadku wydawnictw podziemnych – nie dotarło ono do szerokiego grona czytelników.

Po 1989 roku pamięć o Jochimku właściwie zupełnie zaginęła, wiele osób nie wiedziało nawet, czy pisarz żyje. Przypomniał o sobie w dość dziwny sposób na początku XXI wieku. Jak pisze Paweł Spodenkiewicz, („Wieczne ucieczki Jochimka", „Dziennik Łódzki", 7 grudnia 2003), zdziwieni pracownicy Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Łódzkiego odebrali od zapomnianego pisarza zaskakujący list ze stemplem amerykańskiej służby pocztowej z Tampy na Florydzie. „Zwracam się do Pań i Panów profesorów literatury z dziwną prośbą: w wypadku mojej śmierci proszę o przyjęcie moich maszynopisów. Sporządzę zaadresowaną paczkę". Jochimek zabezpieczał swoją twórczość, ponieważ był chory na raka. Nowotworowi nie udało się go pokonać, zmarł prawie 10 lat później, 4 czerwca 2010 roku, w Stanach Zjednoczonych. Na rok przed śmiercią odwiedził Polskę. Niektórzy dziennikarze podawali wówczas, że Jochimek chciał wrócić do ojczyzny na stałe. Jeśli tak, niestety nie zdążył.

Warto więc przywrócić Polakom chociaż pamięć o niepokornym Polaku, wiecznym buntowniku i jego książkach, które naprawdę powinny znaleźć należne sobie miejsce w historii polskiej literatury łagrowej. ■

Autorka jest pracownikiem Polskiego Radia SA.

eprasa.pl dfaed9b77b

Pionierzy wysokogórskich wypraw Jan Alfred Szczepański, Konstanty Narkiewicz-Jodko, Witold Wyszyński, Jerzy Gołcz, Jan Dorawski.

Agnieszka Kowalczyk

POLACY NA KRAŃCACH ŚWIATA. ZDOBYWCY ANDÓW

eprasa.pl dfaed9b77b

„Mercedario było zdobyte. Zagubiony wśród morza dalekich, odległych od cywilizacji łańcuchów górskich, kolos andyjski przestał być tajemniczym, nietkniętym stopą ludzką, szczytem. Polacy po raz pierwszy w dziejach alpinizmu stanęli pierwsi na jednym z najwyższych wzniesień nowego kontynentu" – obwieszczał światu kierownik pierwszej polskiej wyprawy wysokogórskiej w Andy, Konstanty Narkiewicz-Jodko.

fot. NAC

W 1934 roku szóstka śmiałków z Warszawskiego Klubu Wysokogórskiego podjęła się pionierskiej próby zdobycia najwyższych szczytów Ameryki Południowej – w tym Aconcaguy (6961 m) od strony wschodniej, Mercedario (6720 m), Cerro Ramada (6384 m), La Mesa (6200 m), Alma Negra (6110 m), Pico Polaco (6050 m) i Cerro Negro (5550 m). W skład ekipy oprócz fizyka i utalentowanego alpinisty Narkiewicza-Jodki weszli meteorolog Adam Karpiński, lekarz Jan Dorawski, operator filmowy Stefan Osiecki, geolog Stefan Darzyński oraz fotograf i topograf Wiktor Ostrowski. Tę pierwszą polską ekspedycję w Andy poprzedziły wielomiesięczne przygotowania – kilkanaście przestudiowanych książek specjalistycznych w językach: angielskim, francuskim, niemieckim, hiszpańskim, stosy przeanalizowanych map, planów, wykresów i wykazów, setki zebrań i konferencji w przeróżnych instytucjach i organizacjach. W drogę zabierali wielki namiot brezentowy i trzy szturmowe z jedwabiu spadochronowego, wory, śpiwory i materace, prymusy i kuchenki do gotowania, czekany, liny i haki, rakobuty i hakobuty, aparaty pomiarowe i fotograficzne, broń i amunicję – razem „dwadzieścia dwie skrzynie, dwa toboły i siedemnaście walizek. Ekwipunek naukowy, osobisty, ogólny, tropikalny, umiarkowany, górski, wysokogórski i reprezentacyjny". W końcu wyprawa rusza! Kolejne etapy podróży wyznaczają: Warszawa, Gdynia, Londyn, Rio de Janeiro i Buenos Aires, łącznie 13 000 km drogi morskiej „przez wszystkie klimaty, pory roku, burze i pogody, słońca i mgły. Zwrotnik Raka, równik, Zwrotnik Koziorożca – jednym słowem przez całą geografię na drugą stronę globusu".

Przed przyszłymi zdobywcami Andów wyrosnąć miał dziewiczy przestwór gór ciągnących się wzdłuż Oceanu Spokojnego na przestrzeni ponad 9000 km od zatoki Morza Karaibskiego na północy po Ziemię Ognistą na południu, najdłuższy łańcuch gór na Ziemi. Kamienne oblicze Andów tworzyły różnorodne skały magmowe, osadowe i metamorficzne, a grozę tych kolosów potęgowały drzemiące wśród nich wulkany, najwyżej położone na świecie i ciągle gotowe objawić swą niezwyciężoną siłę – Llullaillaco (6739 m), Tolima (5215 m), Antisana (5704 m) oraz jeden z najbardziej aktywnych na Ziemi – Cotopaxi (5896 m). Nic więc dziwnego, że Andy od zawsze fascynowały zdobywców gór, tym bardziej że w latach 30. XX wieku były jeszcze terenem w znacznej mierze nieodkrytym i niezbadanym.

▶ Podbój Ramady rozpoczęty!

Pierwszymi szczytami, jakie zdobyli Polacy, były Trabante I (4860 m), Trabante II (5300 m) i Pilar Grande (6000 m), po których przyszedł czas na Mercedario (6770 m), czwartą

eprasa.pl dfaed9b77b

co do wysokości górę kontynentu. Wcześniej jeszcze wstąpili na nią najprawdopodobniej Inkowie, pozostawiając tam symboliczną figurkę ofiarną dla boga-słońca. By stanąć w obliczu czerwonej, utkanej śniegami góry i zmierzyć się z jej potęgą, alpiniści nasi musieli przebyć setki kilometrów, idąc dniami i nocami, głównie obszarem bezludnym i pustynnym. Wreszcie w odległości około 30 km oczom ich ukazał się wyglądany olbrzym przesłaniający potwornym swym cielskiem pół horyzontu, dźwigający się w błękitne niebo „kolosalną masą czerwonego kamienia, białych lodów i śniegów". Napływające nad jego wierzchołek białe obłoki sprawiały wrażenie, że dymił jak wulkan. Przed oczyma przyszłych zdobywców rysowała się już droga prowadząca wprost na szczyt – w jednej z tych pustych dolin rozbiją obóz, potem wydostaną się na olbrzymi lodowiec, a z niego, granią lub zboczem, wprost na wierzchołek.

w sam środek potężnego masywu Ramady. Po drodze mijali skalne wąwozy i rumowiska głazów, przyglądali się z ciekawością potokom i płaskim pojezierzom połyskującym majoliką różnobarwnych kamyków, fantastycznie ukształtowanym skałkom i czerwieniejącym się usypiskom. Na kamiennej przełęczy, którą nazwą Paso Ancho (Przełęcz Szeroka), rozdzielili się na dwie grupy – pierwsza z Dorawskim, Karpińskim i Ostrowskim poszła na wielki szczyt przypominający piramidę, a nazwany później Pico Negro (Czarnym), a przed drugą zarysowywał się jakiś inny, nieznany wierzchołek Ramady, „jałowy, samotny, nasuwający wyobrażenie gór pustych, monotonnych i nieciekawych". Lecz za tym mało zachęcającym szczytem krył się widok niesamowity: „Kamienisty grunt urywa się nagle pod nogami wspaniałą przepaścią. Setkami metrów stromych skał wali się w dół, w przymglone, barwne głę-

Dwudziestolecie międzywojenne okazało się szczytową epoką polskiego alpinizmu, czasem sprzyjającym najbardziej spektakularnym wyczynom wysokogórskim i najbardziej niebezpiecznym wyprawom w najodleglejsze zakątki świata.

Gdy Mercedario został zdobyty i gdy usypano na nim kamienny kopczyk, w środku którego umieszczono puszkę z informacją, że to Polacy jako pierwsi w historii stanęli na tym szczycie, Narkiewicz-Jodko zdał sobie sprawę z tego, jak wielką potęgą są niepokonane dotąd Andy i co może czekać wyruszających na podbój Ramady (Cordillera de la Ramada – pasmo górskie w prowincji San Juan w Argentynie). Nad głowami podróżników kłębiły się posępne fioletowe chmury, a lodowate wiatry przewalały się i uderzały o skały. Chwilami wydawało się, że pod naporem ogromnej ilości śniegu zapadnie się dach namiotu, którego bambusowa konstrukcja niebezpiecznie uginała się i trzeszczała. Z opresji uratowało wszystkich dopiero andyjskie słońce – „wspaniałe, niszczycielskie słońce na wysokości 4300 m". Pod jego wpływem śnieg znikał z głazów, bloków, z dachu namiotu, a „brezenty, skrzynie, kamienie mokną, dymią i parują w żarze zwycięskich promieni". Dzięki temu tryumfowi lata mogli ruszyć dalej, uciec przed nowym śniegiem w Dolinę Arroyo Blanco, zamkniętą od zachodu wspaniałą lodowo-skalną ścianą Mercedario. Tu, na wysokości 3600 m, rozbili swój obóz, niżej zaś, na pełnych rozlewisk łąkach ich muły mogły napaść się do syta. Stąd mogli przedostać się w górne piętro Doliny Rio Colorado (Kolorowej Rzeki) wrzynającej się

bie, rozpłaszcza się szeroko, rozbiega i wybucha pod niebo kolosalnym, milczącym wypryskiem lodów i skał, zakrzepłych w nagłym bezruchu [...]. W widmowej, przepastnej głębi, martwa, zastygła rzeka subtelną siatką rozgałęzień, dopływów, potoków i rozlewisk czerwonych, rudych, białych, purpurowych... pokrywa żółte, zupełnie żółte dno doliny – płaskie i puste. Pojezierze Rio Colorado!".

Odurzonych widokiem surowego piękna Ramady wyrwało z zamyślenia dopiero „mrożące tchnienie monstrualnych, lodowych mas". Zejście stąd było trudne i niebezpieczne zarówno dla człowieka, jak i dla jucznych zwierząt. Spod nóg sypały się kamienie, przerażał huk głazów spadających w paszcze ponurych żlebów, ciągnione siłą muły ogarniał paniczny strach, ludzie krzyczeli, przeklinali, nawoływali się wzajemnie, błądzili wśród przepaścistych urwisk pełnych wiecznego śniegu bądź rwącej wody. Narkiewicz-Jodko opisuje, jak po chwili wytchnienia na skałkach ukazała się część karawany wiozącej bagaże – ludzie i zwierzęta w oddali wyglądali jak ciemne, kołyszące się plamki. Nagle jedna z nich oddzieliła się od reszty, zsunęła się w dół i... przyspieszyła. „Dziki krzyk wydobywa się z naszych krtani – odtwarza tę scenę – Plama, oderwana od węża, samotnie toczy się w dół, po zboczu, przewala, koziołkuje, rozdziela się na dwie mniejsze plamy i spada ku szczelinie. Lepiej nie

eprasa.pl dfaed9b77b

patrzeć!". Okazało się, że to muł, który przy spadaniu lekko się tylko pokaleczył, natomiast skórzany worek z jedzeniem udało się wydobyć z potoku. Wszystkim zrobiło się lżej na duszy i dotarli szczęśliwie do płaskiego pojezierza Kolorowej Rzeki, gdzie zaraz rozbili obóz wśród olbrzymich brązowych głazów porosłych dzikimi trawami. Punktualnie o dziewiątej wieczorem Narkiewicz-Jodko oddał strzał z rewolweru w stronę pozostałej części ekipy i wypuścił w ciemność trzy rakiety. Za chwilę, daleko, na olbrzymim zboczu zaczęły migać jakieś światełka. System komunikacji działał bez zarzutu. Po kilku godzinach ludzie z pierwszej grupy boso, z butami w ręku biegli przez zimne potoki, do obozu z radosnym okrzykiem: „Czarny Szczyt" (5490 m) zrobiony. Szkice i fotografie wykonane. Azymuty zmierzone". Dumny kierownik wyprawy wołał ku nim: „Brawo! Gratuluję! – Podbój Ramady rozpoczęty".

▶ Pierwsi ludzie na szczycie Alma Negra

O tym, jak zdobyto góry Alma Negra i La Mesa, opowiada z kolei Jan Dorawski. Obydwie dzieliło 9 km odległości w linii powietrznej i obydwie miały ponad 6000 m wysokości. Alma Negra była skalista i piarżysta (kamienista), o ostrym, czerniejącym z daleka szczycie, któremu to właśnie zawdzięcza swą nazwę, natomiast La Mesa przypominała stół, była biała, a jej grań (stromy zazwyczaj grzbiet) – długa i pozioma. Na te dwa olbrzymy Ramady wyruszał Dorawski wraz z Karpińskim i Ostrowskim. Początkowy odcinek trasy, 10 km długości i kilometr wysokości, pokonali na mułach do momentu aż na ich drodze nie wyrosły lodowce. Pierwsze trzy udało się szczęśliwie wyminąć, natomiast przy czwartym muły trzeba było odesłać na dół, a ciężary wziąć na własne barki. Nazajutrz, mimo psującej się pogody, postanowili znaleźć przejście na górny taras lodowca Alma Negry. Okazało się, że dolne części skał były straszliwie potrzaskane i najeżone śnieżnymi słupami, tzw. pokutnikami, które przypominały zastygłych w modlitwie mnichów. Musieli je więc obejść granią wschodnią, docierając do niej po skalnych rumowiskach. Spoglądając na drugą stronę, widzieli przerażająco strome ściany Alma Negry ciągnące się setki metrów w dół i tworzące coś w rodzaju ogromnego skalnego amfiteatru. Na jego dnie drzemał odwieczny lodowiec, w którym wytworzyły się dziesiątki małych jeziorek. Niespodziewanie szybko udało się im osiągnąć górny taras, zupełnie gładki, bez żadnych szczelin, dzięki czemu droga ku szczytowi stała przed nimi otworem. Wystarczyło piąć się z wolna wystrzelającym w górę lodowcem. Z każdą minutą byli coraz bliżej celu, ale na wysokości 5600 m pogoda gwałtownie się popsuła. „W ciągu kilku minut ogarnęła nas mgła – opowiada Dorawski. – Gdzieś w górze zahuczał wiatr szumem potężnego wodospadu i runął nagle na nas, podnosząc tumany śniegu z powierzchni lodowca i kręcąc nimi zajadle. A potem – znienacka i jeden raz tylko potoczył się grzmot po niewidocznym niebie. I sypnął śnieg gęsty, drobny, cięty. Świat zacieśnił się do kręgu paru metrów widocznej białej przestrzeni. Widocznej? Gdzie góra, gdzie dół – gdzie powietrze, gdzie lodowiec? Nic nie widać!". Aby przetrwać nawałnicę, czekanami wyrąbywali w lodzie w miarę obszerną „kanapę", nakrywali się brezentem od namiotu i moszcząc się na tym prowizorycznym siedzisku, czekali... Mijały kolejne godziny, robiło się coraz ciemniej, konieczne było powzięcie decyzji. Wspinaczka w tak ciężkich warunkach była czystym szaleństwem, a jedynym racjonalnym wyjściem – zarządzenie odwrotu. Choć mieli nietęgie miny, przybici i rozgoryczeni kierowali się ku dołowi. Pięć dni szalonych zamieci śnieżnych i wichrów musieli przesiedzieć w bazie, nim znów pokusili się o nową próbę podboju Almy Negry. Tym razem wyruszyli tylko Dorawski i Ostrowski. Pogoda była wspaniała, słońce przygrzewało tak mocno, że nie sposób na lodowcu było otworzyć oczy. Nie pomagało nawet założenie drugiej, zapasowej pary przyciemnionych okularów, piekące łzy i tak płynęły strumieniami. Trzeba więc było opuścić promieniujący światłem lodowiec i ku szczytowi piąć się północnym zboczem góry. Wysiłek był ogromny, szli wolno, noga za nogą. Aż wreszcie ku ich największemu zaskoczeniu zza wielkiego bloku skalnego wychylił się upragniony szczyt: „Stajemy na nim – pierwsi ludzie, Polacy. Podajemy sobie ręce. Stoimy w środku nieskończonego morza gór – wspomina ten moment Dorawski – sterczą setki i setki wierchów. Dwa wyżej od innych, tak wysoko, że zasłaniają sobą horyzont. Ku północy: nasz Mercedario rozłożysty, wsparty filarami i przybudówkami, rzucający białe języki lodowców na wsze strony. Ku południowi – znacznie dalej – obelisk Aconcagui, samotnie wielki i biały pośród szarego, małego otoczenia. Tuż przed nami defilada kolosów Ramady. Na zachodzie La Mesa oblodzona, długa, wielowierzchołkowa. Na wschodzie potężny masyw Cerros de la Ramada o żółtych, smukłych turnicach. Między Mesą a Mercedario szczyt nienazwany (»szczyt N«), o wspaniałej alpejskiej sylwetce, trudny do zdobycia, może niedostępny".

Polscy alpiniści stali jeszcze długo oniemieli z zachwytu. Po chwili wzięli się namiętnie za rysowanie szkiców topograficznych i fotografowanie wszystkiego, co tylko się dało. Nieubłaganie nadchodził jednak wieczór oznaczający konieczność powrotu. Na wierzchołku pozostawili więc kopczyk, a w nim blaszaną puszkę po cukierkach Wedla, w której kryły się historyczne zapisy pierwszych zdobywców Almy Negry. Schodząc w dół, rozbili obóz na jednym ze skalnych rumowisk – rozłożyli swój niezastąpiony nieprzemakalny worek, załadowali do niego śpiwory, a potem bez butów wślizgnęli się do środka i leżąc tak, gotowali skromną strawę. Choć mróz niewielki (minus 5°C), adrenalina nie dawała zasnąć nawet na moment. „Patrzę w gwiazdy, patrzę w Krzyż Południa i myślą biegnę do kraju – do swoich..." – wyznał Dorawski, któremu marzył się już jutrzejszy marsz na La Mesę.

eprasa.pl dfaed9b77b

Góra niepokonana

W wielkim masywie Ramady, w „plejadzie pokonanych sześciotysięcznych kolosów", został jeden, o którym Narkiewicz-Jodko mówi, że to „strzelista, biała piramida lodów i skał, dymiąca mgłami, albo spowita w kłęby ciemnych chmur, albo błyszcząca jaskrawo w słońcu – symbol góry niepokonanej, niezdobyty szczyt »N«". Postawienie polskiej stopy na tym wierzchołku było wielkim marzeniem uczestników naszej wyprawy, a zarazem jednym z najtrudniejszych wyzwań, ponieważ podstępna andyjska zima w każdej chwili pokrzyżować mogła plany zdobywców i nawet w ciągu jednej nocy zawalić śniegami drogę odwrotu. W dolinie Kolorowej Rzeki, gdzie stanęli obozem, dawały się we znaki mroźne noce i hulające coraz zimniejsze wiatry, które „kłębami barwnego kurzu zasypywały namiot, roznosiły ogniska, dusiły i oślepiały". Typowy dla tych rejonów, zbijający z nóg, tak zwany biały wiatr rozpraszał swym „gigantycznym tchnieniem" tumany mgieł i chmur, powodował, że zaśnieżone zbocza i szczyty rozmywały się w wirach pyłów śnieżnych i drobnych igieł lodowych. Wszystko tonęło w „rozpuszczonej kurzawie białych, opalizujących zasłon z zawrotną szybkością". Pozostawało tylko cieszyć się z tego, że ów teatr natury ogląda się zza kamienia, z obozowiska, nie pozostając w jego bezpośrednim zasięgu.

Nieustraszonych alpinistów z Polski czekał teraz jeden z najniebezpieczniejszych, mrożących krew w żyłach, pochodów przez mgły i strome zbocza najeżone z każdej strony penitentami – „milczącym szeregiem dziwolągów śnieżnych, sterczących jeden za drugim nieruchomych wielkoludów". W oczach Narkiewicza-Jodki, fizyka o poetycznej duszy, była to „cała armia, ustawionych na zboczu potworów [...], rzeźbionych w twardym firnie przez wiatr i słońce". Walka z nimi oznaczała „przerąbywanie, walenie, stalowe ciosy czekana, burzenie i dźwiganie, coś jakby trzebienie toporem tropikalnej puszczy", tak iż po dwudniowych bojach zdobytą z ogromnym trudem przełęcz nazwali Przełęczą Penitentów. Po tym wszystkim przyszedł czas na mozolne przedzieranie się przez skalną grań „porąbaną ścianami czarnych uskoków", prowadzącą jednak ku upragnionemu szczytowi.

Przed wędrowcami rysowały się tkwiące ponad lodowymi zwałami mroczne urwiska, a swą zieloną paszczęką przerażało monstrualne pęknięcie przecinające długie zbocze. Aby je pokonać, należało przejść przerzuconym nad szczeliną słabym „mostem śnieżnym" bądź stromym oblodzeniem pod skałami. Wybrali tę drugą drogę, ale nim przystąpili do dzieła, „w górze trzasnęło coś nagle i grad gwiżdżących kamieni sypnął z wylotu, rozpryskując się na wszystkie strony" i tylko jakimś cudem udało im się ujść cało przed „plującą kamieniami rynną". Gdy po całodziennym marszu wynurzyli się wreszcie na „gwałtowny, mroźny wydmuch przełęczy", słońce chyliło się już ku zachodowi, chowając za brunatne ściany górskich grzbietów.

Nocą część ułożyła się w namiocie pod skałami, inni zaś urządzili sobie sypialnię w głębi szczeliny lodowej, do której spuszczali się powoli i ostrożnie za pomocą liny, pozostając pod wrażeniem pierwotnego piękna lodowej groty „wypełnionej zimną seledynową poświatą" i przyozdobionej stalaktytami jarzącymi się blaskiem kryształu. „Na powierzchni przewala się wiatr, szaleją śnieżyce lub praży słońce, tutaj panuje cisza i niezmącony spokój zastygłych wód, latami narastających w fantastyczne wzory z lodu i śniegu" – zachwycał się tym światem wiecznego mrozu Narkiewicz-Jodko. Trudno było zasnąć w takiej niezwykłej białej komnacie, zwłaszcza gdy wszystkie myśli biegły ku osnutemu tajemnicą szczytowi „N".

Trzeci dzień wspinaczki „wśród skalnych, kruchych, sypiących się w otchłanie stromizn szczytowej grani" miał okazać się dla polskiej ekspedycji przełomowy. Rano pogoda pogarszała się, „barometr szedł w dół", a przed wędrowcami, podzielonymi na dwie grupy, stromy uskok, którego obejście było długie i uciążliwe. Nasza szóstka miała świadomość, że to trasa wyłącznie dla wytrawnych alpinistów, najeżona co krok zdradliwymi pułapkami – „kruche skałki, strome żlebki, mokre lub przyprószone śniegiem, przepaściste trawersy, pełne niepewnych, zostających w rękach chwytów, wylatujących spod nóg stopni". Pokonanie takiej drogi wymagało asekuracji na linie i zachowania zimnej krwi. Co gorsza, od strony Chile napływały gęste mgły, które „zamazują skalny świat", zaczęło sypać mokrym śniegiem. W sytuacji ciągle pogarszającej się pogody odwrót stał się nieunikniony.

Gdy zatrzymali się na niewielkim występie pod uskokiem, z nagła rozległ się straszliwy huk za skałą – „rechot i dudnienie toczących się w przepaść głazów i kamieni". Potem wszystko ucichło. To wielki głaz, za który chwycił Osiecki, „urwał mu się spod rąk". Zdołał uskoczyć co prawda w bok, ale półtonowy głaz, lecąc w przepaść, „trzepnął go" w piętę i mocno ją zdruzgotał. Mimo bólu i wyczerpania szedł dzielnie aż do miejsca, skąd mogły go zabrać muły. Dopiero po dwóch dniach lekarz wyprawy mógł opatrzyć mu zranioną kończynę. Podczas noclegu, gdy wszyscy leżeli już w ciepłych śpiworach, Osiecki opowiadał o tym, co mu się przydarzyło, twierdząc, że cała wyprawa była pechowa, bo oprócz wypadku z głazem, przeżyli dwie lawiny kamienne i ostrą śnieżycę, a Zdarski przy przeciskaniu się przez „pokutujące śniegi" stracił worek z cenną zawartością.

Szczyt „N" tryumfował nadal wspaniały i wielki, ale dla Polaków nieosiągalny. Dopiero po ponad dwudziestu latach, w 1958 roku, jego argentyńscy zdobywcy na

eprasa.pl dfaed9b77b

cześć naszych wspinaczy nazwali go El Pico Polaco – Szczytem Polaków, pozostawiając na nim, oprócz własnej, także biało-czerwoną banderę.

Na najwyższym dachu obu Ameryk

Mały, duszny namiot rozbity na wysokości 6000 m, a w nim czterej Polacy szykujący się do zdobycia Aconcagui, w języku keczua – Kamiennego Strażnika, który stanowi najwyższy szczyt Andów i zarazem obu Ameryk (6960,8 m). Toteż sen nie przychodził, a wyczekujących narodzin dnia ogarniało w zimnych ciemnościach gorączkowe podniecenie. Z namiotu wywlekło ich wschodzące nad Andami słońce. Mieli wrażenie ciężkości i bezwładu swych ciał, ruszali się leniwie, powolnie, jakby brnęli w jakiejś lepkiej, gęstej cieczy. Od wierzchołka dzieliło ich około 600 m wspinaczki po stromym, poprzecinanym szczelinami i lodowymi zerwami wzniesieniu. Osiągnięcie celu gwarantowały siła fizyczna, hart ducha i pogoda. Wszystkie myśli skupiały się na „olbrzymiej piramidzie szczytowej Aconcagui", chłostanej straszliwymi wiatrami i śnieżycami, rzeźbionej siarczystymi mrozami. Pogoda była wspaniała, niebo bezchmurne, słońce wznosiło się coraz wyżej. Do pokonania mieli pierwsze duże szczeliny. Krew w żyłach mroził widok pełzających w górę po kruchej, pochylonej powierzchni wąskiego mostu śnieżnego. Gdy balansowało się na granicy życia i śmierci, każdy krok wydawał się heroicznym wyczynem. Z całych sił walili w gładkie pokłady lodu, by wyrąbać w nich kolejne stopnie. „Potem znów miarowy wysiłek ciężkiego wbijania nóg w twardy, stromy śnieg, trasowanie na zmianę, wymijanie pęknięć, uciekające szybko godziny i powoli, niezwykle powoli przysuwający się szczyt". Do pokonania pozostała już tylko ostatnia wiejąca grozą szczelina, która otwierała swą seledynową paszczę, grożąc każdemu, kto poważył się przejść ponad nią kruchym śnieżnym mostem. Wreszcie udało się. Narkiewicz-Jodko w ten sposób odtwarzał ostatnie metry wspinaczki: „Pełzniemy ku górze, w jakimś zaciętym uporze, w samozaparciu, w śmiertelnej powadze i milczeniu, w ciszy przerywanej skrzypnięciem stalowych kolców, grzęznących w śnieg i wydmuchami słabnących oddechów. Wiemy już teraz, że dojdziemy. Upłynie jeszcze godzina, dwie, trzy, dużo długich minut, których nie można skrócić, nie można przyspieszyć, zmienić, trzeba je tylko przetrwać, przetrzymać, przemęczyć, zanim nareszcie szczyt podsunie się pod stopy. Nie można porwać się i biec. Przemóc ten mały, śmiesznie mały kawałek drogi, dzielący od wierzchołka! Nie można! – Ciało jest jak w ciężkim, ołowiem podbitym skafandrze nurka, tłoczącym ciężarem do śniegu. Każdy żywszy ruch rozpędza serce, tłoczy je do gardła i grozi apopleksją. Trzeba się posuwać powoli, leniwie, jak w zwolnionym filmie. Wtedy można dojść. Dwadzieścia ciężkich kroków, dłużących się jak wieczność, rozpaczliwych, pełnych marzeń o odpoczynku... I stop! – Ciało zwisa na wbitym czekanie, piersi wydmuchują spiekotę, wychwytują resztki tlenu z rozrzedzonej atmosfery, serce uspokaja się powoli. I znów porcja następnych kroków. [...] Po pewnym czasie śniegi ustępują gołym, kamiennym usypiskom, wydmuchanym przez wiatr i ciągnącym się aż do wierzchołka. I wreszcie, po czterech dniach mozolnego wznoszenia się w górę, docieramy do kamiennego kopca. Stajemy we czterech, pierwsi Polacy po raz pierwszy na najwyższym wzniesieniu Nowego Świata".

Na niebosiężnym wierzchołku Aconcagui znaleźli wbity w kopiec szczytowy czekan ekspedycji włoskiej, siódmej z kolei, która dotarła tu od czasów pionierskiego wejścia Szwajcara Matthiasa Zurbriggena w roku 1897. W przeciwieństwie jednak do swoich poprzedników Polacy weszli na Aconcaguę od zupełnie innej strony, najtrudniejszej – od wschodu, przez lodowiec, nazwany później Lodowcem Polaków. W ten sposób doczekaliśmy się zwycięskiego momentu, gdy polski czekan „stary towarzysz wielu wypraw górskich w Tatry i Alpy, na lodowce Islandii, góry Korsyki i Atlasu z wyrytym napisem »Polska ekspedycja«" – został zatknięty po raz pierwszy na wysokości 7035 m, czekając na nowych zdobywców".

Dwudziestolecie międzywojenne okazało się szczytową epoką polskiego alpinizmu, czasem sprzyjającym najbardziej spektakularnym wyczynom wysokogórskim i najbardziej niebezpiecznym wyprawom w najodleglejsze zakątki świata. Alpinizm, jak słusznie zauważył ówczesny publicysta Zbigniew Kucharski, stanowił „wyraz ekspansji ludzkiego ducha, pędu zdobywczego, potrzeby demaskowania tajemnicy świata". Alpinizm to odkrywczość, pionierstwo, pokonywanie ograniczeń ludzkiej natury i mierzenie się z pierwotnym światem przyrody, to dotknięcie zagadki bytu i osiągnięcie nieosiągalnego. Te ideały patronowały Polakom podczas zwycięskich wypraw w Andy, w góry Atlasu, Ruwenzori, Kaukazu i Spitsbergenu, a wreszcie w najwyższe góry na Ziemi – Himalaje. Ta ostatnia wyprawa, rozpoczęta przed wybuchem II wojny światowej, przyniosła nam zdobycie Nanda Devi East, na którym stanęli 2 lipca 1939 roku Jakub Bujak i Janusz Klarner. Radość w obozie polskich alpinistów była niezmierna, chociaż nie trwała długo, po już dwa tygodnie później potężna lawina śnieżna pochłonęła kierownika wyprawy – Adama Karpińskiego oraz jednego z jej uczestników – Stefana Bernadzikiewicza. Ofiara ich nie była nadaremną, była, jak pisał „Kurier Poranny", świadectwem „naszych niezniszczalnych wartości moralnych, naszego idealizmu, który pozwala zawsze sięgać Polakom po pozornie niedostępne szczyty i nigdy nie cofać się w tym dążeniu, nawet przed widmem śmierci". ■

eprasa.pl dfaed9b77b

Piotr Lisiewicz

W Rosji trwają próby rehabilitowania paktu Ribbentrop–Mołotow. Rosyjska Duma oficjalnie potępiła ten pakt 30 lat temu. Tymczasem ostatnio, w 2019 roku, obszerny artykuł „Nie było innego wyjścia" w 80. rocznicę podpisania porozumienia pomiędzy Niemcami a Związkiem Sowieckim opublikowała rządowa „Rossijskaja Gazieta". Zbiegło się to z zupełnie inną wypowiedzią rosyjskiego dyplomaty, a mianowicie rosyjskiego ambasadora w Warszawie: „Dopóty, dopóki w Polsce oficjalnie zaprzecza się wyzwoleniu (a w istocie, uratowaniu) tego kraju przez Armię Czerwoną, wznowienie dialogu i współpracy w kwestiach historycznych jest niemożliwe".

Wychodzi więc na to, że zarówno podzielenie się Polską przez Berlin i Moskwę, jak i późniejsze przepędzenie Niemców przez Rosjan i opanowanie całej Polski przez tych drugich mamy uznać za wydarzenia niezwykle dla naszej ojczyzny korzystne.

Przedrukowywany przez nas absolutnie rewelacyjny tekst Jana Nowaka-Jeziorańskiego „Komunizm w sojuszu z Hitlerem: 1939–1941" z 1947 roku, opublikowany w londyńskich „Wiadomościach", pokazuje rosyjskie metody, które pozostały niezmienne do dziś. Nowak przeanalizował bowiem postawę zachodnich partii komunistycznych po pakcie Ribbentrop–Mołotow, po którym III Rzesza i Związek Sowiecki zostały przyjaciółmi.

Oto z dnia na dzień najwięksi zachodni antyfaszyści stawali się największymi wrogami... atakowania Hitlera. Co to nam przypomina? Oczywiście wydarzenia po 10 kwietnia 2010 roku, kiedy to rosyjska agentura w Polsce przystąpiła z dnia na dzień do tuszowania tego, co się stało. A zaraz potem do wyśmiewania wszystkich tych, którzy dążyli do prawdy. Nie ma też wątpliwości, że dziś zarówno lewacka, jak i prawicowa agentura rosyjska w licznych krajach Europy zachowałaby się podobnie.

Jan Nowak-Jeziorański

Komunizm w sojuszu z Hitlerem: 1939–1941

Francja upadła, a los bezbronnej Anglii wisiał na włosku. Zdawało się że Niemcy stoją na progu zwycięstwa... W sierpniu 1940, a więc bezpośrednio po klęsce francuskiej, komunista angielski John Lewis pisał: „Jeżeli rządzące klasy tego kraju (Wielkiej Brytanii) wygrają wojnę, nic nie będzie w stanie ocalić społeczeństwa brytyjskiego przed faszyzmem". [...] W tym samym czasie komuniści amerykańscy przy pomocy wszelkich dostępnych środków (w obu izbach, w prasie, w opinii publicznej) rozpętali wściekłą kampanię przeciwko pomocy gospodarczej i wojskowej Stanów Zjednoczonych dla Anglii.

W okresie narastania fali nazistowskiej w latach 1929–1933 komuniści stanowili po hitlerowcach i socjalistach trzecią najsilniejszą partię polityczną w Niemczech. Gdyby złączyli swe siły z socjaldemokracją niemiecką przeciwko Hitlerowi, gdyby zastosowali już wówczas taktykę „frontu ludowego", hitleryzm zapewne nie doszedłby do władzy i losy świata potoczyłyby się zupełnie innym torem. W owym czasie wszelka ugoda z socjalistami była jednak traktowana przez Komintern jako „zdrada", a propaganda komunistyczna określała niemiecką socjaldemokrację mianem „socjal-faszyzmu". Epitet miał oznaczać, że między hitlerowcami a socjalistami nie zachodzi żadna istotna różnica. Ci i tamci byli w pojęciu komunistów wrogami, których należało zwalczać, przyjmując kolejność: naprzód socjaliści, a dopiero później hitlerowcy. Elementy demokratyczne w Rzeszy musiały więc walczyć na oba fronty jednocze-

eprasa.pl dfaed9b77b

śnie: z hitlerowcami i z komunistami. Mając przed sobą przeciwników skłóconych i wzajemnie zwalczających się, hitleryzm odniósł łatwe zwycięstwo, a komuniści w najbardziej namacalny sposób, bo na własnej skórze, doświadczyli, na czym polega różnica między demokracją a faszyzmem.

Najwyższe czynniki Kominternu, odpowiedzialne za tę politykę, pomimo klęski nie przyznały się do błędu. Hitleryzm został określony jako „nie dająca się uniknąć faza rozwojowa", która poprzedzi całkowite zwycięstwo komunizmu. Wzmożony ucisk warstwy pracującej doprowadzić miał w pojęciu Kominternu do zaostrzenia się przeciwieństw, do koncentracji wszystkich sił społecznych dookoła partii komunistycznej przy zupełnym usunięciu socjaldemokracji.

▶ Od „faszystowskich bestii" do prohitlerowskiej samokrytyki

Historia tych czasów, które wydają się dziś odległe, nasuwa porównanie z okresem pomiędzy wybuchem wojny a zaatakowaniem Z.S.S.R. przez Hitlera, kiedy to Niemcy i Rosja związane były paktem Ribbentrop-Mołotow. Literatura i prasa anglosaska, wydobywając na światło dzienne coraz więcej nieznanych szczegółów z dziejów ubiegłej wojny, pozostawia w dyskretnym cieniu zachowanie się Rosji. [...]

Czołowi przywódcy komunistyczni na Zachodzie, nie będąc poinformowani o radykalnej zmianie sytuacji, działali dalej po dotychczasowej linii „frontu ludowego". Na drugi dzień po zaatakowaniu Polski przez Hitlera partia komunistyczna Wielkiej Brytanii wydała odezwę, w której głosiła: „Jesteśmy za uruchomieniem wszelkich niezbędnych środków dla zapewnienia zwycięstwa demokracji nad faszyzmem". Harry Pollitt, generalny sekretarz partii komunistycznej, w broszurze „Jak wygrać wojnę? (How to win the war?)" pisał: „Partia Komunistyczna popiera wojnę, wierząc, że jest to wojna sprawiedliwa, która powinna być poparta przez całą klasę pracującą i wszystkich przyjaciół demokracji w Wielkiej Brytanii. Stać z dala od tego konfliktu, kiedy faszystowskie bestie tratują Europę, byłoby zdradą tego wszystkiego, o co walczyliśmy w ciągu długich lat przeciwko kapitalizmowi".

Komuniści francuscy nie pozostawali w tyle za swymi brytyjskimi kolegami. 1 września 1939 komunistyczna grupa parlamentarna pod przewodnictwem Thoreza uchwaliła jednomyślnie rezolucję, dającą wyraz zdecydowaniu „wszystkich komunistów wysunięcia się na pierwszą linię oporu przeciwko agresji hitlerowskiego faszyzmu, w obronie wolności, niepodległości narodowej, podstaw demokracji i cywilizacji".

[...] 1 października ta sama parlamentarna grupa komunistów pod przewodnictwem tegoż Thoreza wystosowała na ręce przewodniczącego izby deputowanych Herriota pismo z postulatem natychmiastowego zawarcia pokoju z Niemcami. W kilka dni później Thorez zdezerterował z szeregów armii francuskiej.

W Anglii nie obeszło się bez zgrzytu na tym nieco zbyt ostrym zakręcie. W końcu września komitet centralny partii komunistycznej powziął uchwałę o „zmianie linii". Przeciwko uchwale padły dwa głosy: Pollitta i Campbella. Wkrótce potem obaj ogłosili listy w „Daily Worker", w którym poddawali ostrej „samokrytyce" własne stanowisko i przepraszali za „naruszenie dyscypliny". Ponieważ komitet centralny, do którego należeli, stanowi formalnie najwyższy organ partii, mogła być mowa tylko o nieposłuszeństwie popełnionym w stosunku do czynnika nadrzędnego, a więc wobec Kremla.

Jeszcze farba drukarska nie wyschła na broszurze Pollitta, a już ukazała się druga broszurka, tym razem pióra Palme Dutta, pt. „Walczymy o życie (We Fight for Life)". Cele wojenne Churchilla, za które brytyjscy robotnicy mają umierać, pisał Dutt, są celami wojennymi brytyjskiego imperializmu – celami obrony i utrzymania panowania Imperium Brytyjskiego nad jedną czwartą częścią świata.

▶ „Klasa robotnicza Niemiec za sojuszem" z Hitlerem

Gdy komuniści francuscy i angielscy przekonywali swoich współrodaków, że „nieprzyjaciel znajduje się we własnym domu", cóż mówili w tym samym czasie komuniści niemieccy?

Na tydzień przed zawarciem paktu niemiecko-sowieckiego Walter Ulbricht, członek komitetu centralnego niemieckiej partii komunistycznej, przemawiając przez radio z Moskwy, oświadczył: „Walka z Hitlerem wszelkimi środkami, będącymi w naszej mocy, jest absolutną koniecznością i dlatego francuski i polski lud muszą wspólnie przeciwstawić się odważnie niemieckiej agresji".

W pół roku później, z lutego 1940, na łamach pisma Kominternu „Die Welt", wydawanego w Stockholmie, ukazał się artykuł podpisany przez tegoż Ulbrichta. Oto niektóre jego ustępy:

„Ci, co intrygują przeciwko przyjaźni narodu niemieckiego i sowieckiego, są wrogami społeczeństwa niemieckiego i muszą być napiętnowani jako wspólnicy angielskiego imperializmu.

„Klasa robotnicza, chłopi i pracująca inteligencja Niemiec, Austrii, Czechosłowacji i Polski stanie się

eprasa.pl dfaed9b77b

najmocniejszą gwarancją niemiecko-sowieckiego paktu i przeszkodą w angielskich planach.

„... najbardziej reakcyjną siłą na świecie jest Wielka Brytania". [...]

▶ Przyjazne rozmowy robotników paryskich z żołnierzami niemieckimi

Norwegia została zaatakowana przez Niemców 10 kwietnia 1940. Na dzień przedtem „Daily Worker" w artykule „Skandynawia w niebezpieczeństwie" pisał: „Rząd koalicyjny zdecydował się pogwałcić neutralność Norwegii". O inwazji zaś doniósł następnego ranka w następującym zdaniu: „W ciągu jednego dnia i nocy rządy brytyjski i francuski, łamiąc neutralność Norwegii, rozciągnęły front na długość 1.000 mil". Ani słowa, dosłownie ani słowa o tym, że Norwegia zaatakowana została nie przez Wielką Brytanię, ale przez Hitlera.

Z chwilą wkroczenia Niemców do Oslo przestały wychodzić wszystkie dzienniki stołeczne nie będące na usługach Quislinga, z jednym wszakże jedynym wyjątkiem. Wyjątek ów stanowił komunistyczny organ „Arbeideren". Pod nagłówkiem „Communists Stand Fast in Norway" „Daily Worker" pisał 3 maja 1940: „Ruch robotniczy może legalnie kontynuować swoją działalność i pomimo ścisłej cenzury wojskowej wydawać swój dziennik. Partia komunistyczna ogłosiła odezwę do narodu norweskiego na temat sytuacji. Okupowanie kraju przez Niemców przedstawione zostało jako rezultat angielsko-francuskich usiłowań rozszerzenia wojny imperialistycznej".

Po sukcesie w Oslo komuniści postanowili spróbować szczęścia w okupowanym Paryżu. W końcu czerwca 1940 trzej członkowie Centralnego Komitetu Partii Komunistycznej, Maurice Treand, Jean Catelas i Robert Foissin, zwrócili się do władz okupacyjnych o pozwolenie na wydawanie „L'Humanite".

„Należy pamiętać – pisali petenci – że my, komuniści, byliśmy jedynymi, którzy przeciwstawiali się wojnie, żądali pokoju, w chwili kiedy ściągaliśmy przez to na siebie niebezpieczeństwo".

Wskutek interwencji prefektury policji rządu Vichy, „L'Humanite" nie otrzymała pozwolenia na jawne i legalne istnienie. Nie przestała jednak ukazywać się jako pisemko podziemne, i broszura Daladiera „Reponse aux chefs communistes" przytacza następujący ustęp z numeru z 13 lipca 1940:

„Przyjazne rozmowy pomiędzy robotnikami paryskimi a żołnierzami niemieckimi stają się coraz częstsze".

„Jesteśmy z tego bardzo radzi. Mówiąc żołnierzom niemieckim, że deputowani komuniści byli wtrącani do więzienia za obronę pokoju, mówiąc o tym jak w r. 1923 komuniści buntowali się przeciwko okupacji Ruhry, pracujemy dla braterstwa francusko-niemieckiego".

▶ Anglia: za antyhitleryzm wyrzuceni w partii komunistycznej

Francja upadła, a los bezbronnej Anglii wisiał na włosku. Zdawało się że Niemcy stoją na progu zwycięstwa. Nie zmieniło to jednak taktyki komunistycznej ani o jotę. W sierpniu 1940, a więc bezpośrednio po klęsce francuskiej, komunista angielski John Lewis pisał: „Jeżeli rządzące klasy tego kraju (Wielkiej Brytanii) wygrają wojnę, nic nie będzie w stanie ocalić społeczeństwa brytyjskiego przed faszyzmem".

Jak dalece komuniści troszczyli się, by „klasy rządzące" Wielkiej Brytanii nie wygrały wojny, świadczyć może następujący fakt. Organizowana zaraz po Dunkierce „Home Guard" cierpiała na brak instruktorów. Zgłosili się wówczas na ochotnika dwaj wyżsi oficerowie Brygady Międzynarodowej i uczestnicy wojny domowej w Hiszpanii, Tom Wintringham i Hugh Slater. Pierwszy zorganizował obóz dla ochotników, drugi napisał broszurę „Home Guard for Victory", w której nie było zresztą ani słowa o polityce. Obu bezzwłocznie wyrzucono z partii komunistycznej.

Bombardowanie Londynu rozpoczęło się 7 września 1940. Partia komunistyczna – jak zwykle czujna i energiczna – zareagowała na to utworzeniem t.zw. „People's Convention". Celem tych organizacji miało być szerzenie rewolucyjnego defetyzmu wśród ludności.

W tym samym czasie komuniści amerykańscy przy pomocy wszelkich dostępnych środków (w obu izbach, w prasie, w opinii publicznej) rozpętali wściekłą kampanię przeciwko pomocy gospodarczej i wojskowej Stanów Zjednoczonych dla Anglii.

Wszystkie te fakty prowadzą wyraźnie do jednego wniosku. Zachowanie się komunistów dalekie było od neutralności wobec dwóch wielkich państw „imperialistycznych", toczących między sobą wojnę. Postawa komunistów była postawą czynną, postawą wspomagania jednej strony przeciwko drugiej. Czy to we Francji, czy w Anglii, czy w Stanach Zjednoczonych organizacje komunistyczne czyniły wszystko, co było w ich mocy, by szkodzić sprzymierzonym, i to szkodzić skutecznie. ■

Przedruk za: „Wiadomości", 22 czerwca 1947, rok 2, nr 25, Londyn.
Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl dfaed9b77b

Ryszard Czarnecki

Sportowa „wojna polska-ruska" i bałkańskie klimaty...

Po letnich igrzyskach olimpijskich na własnym terenie, w Londynie, ówczesny premier Jej Królewskiej Mości David Cameron spotkał się z brytyjskimi lekkoatletami, którzy zrobili u siebie furorę. Pogratulował, podziękował – norma. Ale największe owacje od sportowców dostał, gdy powiedział, że najważniejsze, iż zdobyli więcej medali... od Francuzów. W tej wypowiedzi zawiera się kwintesencja rywalizacji sportowej na szczeblu międzynarodowym: chodzi o to, aby „nasi" byli lepsi od „obcych". Niezależnie od dyscypliny, szczebla rozgrywek i nawet poziomu sportowego. To jest „clou". Kto tego nie rozumie – nic nie rozumie.

Sportowców zawsze wspierają kibice. Zarówno w rywalizacji wewnątrzpolskiej, klubowej, jak i tej, która mnie dziś zajmuje: między państwami czy klubami reprezentującymi różne kraje. Kibice są odzwierciedleniem społeczeństwa, reprezentują jego przekrój. Biało-Czerwonym kibicują policjanci i przestępcy, wierzący i niewierzący, zwolennicy PiS i wręcz przeciwnie...

Rywalizacja sportowa w wymiarze międzynarodowym uruchamia patriotyzm, ale też nacjonalizm czy szowinizm. Wystarczy popatrzeć, co dzieje się podczas meczów piłkarskich Serbia–Albania. Kibice tej drugiej drużyny podczas wyjazdowego meczu w Belgradzie puścili nad stadionem drona z albańską flagą, co wywołało zrozumiałą wściekłość gospodarzy pamiętających wszak, że kolebka serbskiej państwowości – Kosowo (obok Metohiji) – znajduje się teraz poza Serbią na terenie zamieszkanym przez tamtejszych Albańczyków właśnie, czyli Kosowarów. Bynajmniej jednak sprawa erupcji patriotycznych (niektórzy by powiedzieli z pogardą: nacjonalistycznych) emocji nie jest w Europie sprawą ograniczoną do Bałkanów, na które Europa Zachodnia tradycyjnie patrzy z arogancką wyższością.

Niemcy i Holandia bardzo blisko ze sobą politycznie współpracują, o czym świadczy choćby prawie skuteczna akcja osadzenia holenderskiego socjalisty Fransa Timmermansa na fotelu szefa Komisji Europejskiej przez chadecką kanclerz Angelę Merkel i liberała – premiera Niderlandów – Marka Rutte. Ale gdy dochodzi do międzypaństwowych spotkań piłkarskich, to kibice Pomarańczowych zrywają z obowiązującą „polityczną poprawnością" i skandują: „Oddajcie nam nasze rowery!". Skąd to hasło? Otóż gdy Niemcy rozpoczęły w 1940 roku okupację Królestwa Niderlandów, powszechnie rekwirowali rowery – główny wówczas środek komunikacji w tym kraju – po to, by ograniczyć możliwości zorganizowania ruchu oporu. Stąd właśnie ta stadionowa reakcja, żywa jeszcze po przeszło 70 latach!

Tomy można by napisać o sportowej rywalizacji Biało-Czerwonych ze Związkiem Sowieckim. Dla pokolenia moich rodziców do narodowej legendy przeszedł mecz piłkarski na Stadionie Śląskim w 1957 roku, gdy w ramach odwilży można było mocniej manifestować patriotyczne uczucia: w owym „Kotle Czarownic" Biało-Czerwoni w obecności ponoć 120 tysięcy widzów (jak oni się upchnęli?) spuścili łupnia „Ruskim" po dwóch golach Gerarda Cieślika. I co z tego, że przegraliśmy potem rewanż, a następnie decydujący mecz o awansie do piłkarskich mistrzostw świata A.D. 1958 na niby neutralnym terenie dawnej NRD?. Dla mojego już pokolenia kultowe były dwa wydarzenia w tej sportowej polsko-sowieckiej rywalizacji. Oba przypadły na rok 1976. „O roku ów" – chciałoby się powiedzieć za Adamem Mickiewiczem: najpierw nasi hokeiści też w aglomeracji górnośląskiej, bo w Katowicach (kiedyś to był Stalinogród!), sensacyjnie pokonali mistrzów świata – ZSRS – 6:4. I co z tego, że potem i tak spadli z hokejowej Grupy „A" po porażce w ostatnim meczu z RFN 1:2...

Parę miesięcy później w finale Igrzysk Olimpijskich w Montrealu Polscy siatkarze po istnym dreszczowcu pokonali Sowietów 3:2. Miałem wtedy 13 lat i nigdy nie myślałem, że z tamtymi herosami, jak Włodek Sadalski i Rysiek Bosek, będę kiedyś po imieniu... ■

eprasa.pl dfaed9b77b

Sylwia Kołodyńska

„LEGIONY” – film z ułańską fantazją

ebrasa.pl dfaed9b77b

Nie sądziłem, że produkcja filmu „Legiony" to kilka lat aż tak intensywnej pracy. Ale pięknej i często wzruszającej, gdy opowiadamy o praktycznie nieznanych dzisiejszym Polakom losach ludzi, dzięki którym mówimy dziś po polsku, a nie rosyjsku czy niemiecku – mówi Maciej Pawlicki, producent i współscenarzysta filmu „Legiony" w rozmowie z Sylwią Kołodyńską.

fot. Jan Naj/Gazeta Polska

▶ Na ekrany polskich kin 20 września wchodzi wyczekiwana superprodukcja „Legiony". Sceny bitwy pod Rokitną z pewnością przejdą do historii polskiego kina. Co czułeś wtedy na planie filmowym?

Też tak myślę. Czułem to, co szarżujący aktorzy i kaskaderzy, bo przebrałem się w ułański mundur i dwukrotnie przejechałem w tej szarży ze wzniesioną szablą, krzycząc: „Niech żyje Polska!". Naprawdę niesamowite przeżycie! A jako producent czułem po prostu radość, że udało się doprowadzić do realizacji tej sekwencji i widzowie wreszcie zobaczą, czym była kiedyś legendarna, a dziś już przecież zapomniana szarża pod Rokitną. Wcale nie wariactwo i straceńczy gest, lecz bardzo skuteczna militarna operacja. Szwadron Dunina-Wąsowicza i Topora-Kisielnickiego zdobył cztery linie silnie umocnionych okopów, zginęło 17 ułanów, w tym obaj dowódcy, ale Rosjanie wycofali się, strategiczne zyski były znaczne.

▶ To prawda, że konie potrafiące wykonywać kaskaderskie wyczyny, to bardzo drodzy... aktorzy?

Drodzy? Niespecjalnie. Koszty sprzętu, dekoracji, pirotechniki czy całej logistyki są większe. Ale rola koni była rzeczywiście kluczowa. Kiedyś realizowało się filmy, przewracając konie na tzw. podcinkę, tzn. do przednich nóg konia przywiązane były linki, które jeździec pociągał i koń się wywracał. Zwykle się udawało, ale czasem koń łamał nogę. Teraz wszystkie upadki jakkolwiek wyglądają upiornie, są rodzajem wyćwiczonego baletu konia i kaskadera. Żadne zwierzę na planie nie ucierpiało.

▶ Legioniści to „garstka dzieciaków kontra trzy imperia". Brzmi dumnie, ale chyba nie jest łatwo pokazać to w kinie. Co przy realizacji sprawiało Wam największą trudność?

Problemów było milion, ale praca nad tak dużym filmem oznacza pchanie się w bardzo trudne sytuacje. Wraz ze znakomitą ekipą zawodowców udało się wszystkie problemy rozwiązać, choć oczywiście czasem konieczny jest jakiś drobny kompromis z rzeczywistością. Ale powstawały też rzeczy znacznie piękniejsze, niż planowaliśmy. Myślę też, że mieliśmy szczególną opiekę Opatrzności – realizując sekwencje pod Rokitną, zabrakło środków na resztę filmu, ryzyko było ogromne. A na niemal 50 dni zdjęć plenerowych, deszcz tylko raz pokrzyżował nam plany. Największa trudność? Nie było takiej.

eprasa.pl 6faed9b77b

▶ A kiedy jako producent miałeś największą satysfakcję?

Ten czas dopiero, mam nadzieję, nadchodzi. Bo o satysfakcji producenta decyduje jakość filmu i to, jak jest odbierany przez widzów. Kiedy autor idei, by „Legiony" zrealizować, Adam Borowski, przyszedł do mnie z tym pomysłem, zapaliłem się od razu, choć nie sądziłem, że to kilka lat aż tak intensywnej pracy. Ale pięknej i często wzruszającej, gdy opowiadamy o praktycznie nieznanych dzisiejszym Polakom losach ludzi, dzięki którym mówimy dziś po polsku, a nie rosyjsku czy niemiecku. Wielką satysfakcją już jest dla mnie efekt pracy reżysera Darka Gajewskiego. Gdy wpadłem na pomysł, by właśnie jemu powierzyć reżyserię, wielu życzliwych próbowało mi to wybić z głowy: że to świetny reżyser, ale kameralnych filmów, a tu trzeba sterować armią ludzi i spraw, szybko podejmować tysiące decyzji. Ale się uparłem i myślę, że to ja miałem rację.

▶ Mój ulubiony tekst w filmie wypowiada Mirosław Baka grający polskiego oficera, który nakłaniany jest do wejścia w szeregi wojsk wroga. Gdy dostaje do założenia rosyjski mundur, odpowiada: „Nie będzie pasował". Jest jakiś Twój ulubiony tekst w tym filmie?

Sporo dialogów jest mojego autorstwa (jestem współscenarzystą), ale ten fragment akurat nie. Mój ulubiony dialog to: „Miejsce urodzenia? Polska. – Nie ma takiego miejsca". Bo rzeczywiście nie było. I tak mogło pozostać. Gdyby nie Piłsudski, Kasprzycki, Sosnkowski, Dunin, Topór, Król-Kaszubski i tysiące innych chłopaków i dziewczyn (tak, także dziewczyn), którzy marzyli o własnym, polskim państwie, choć wielu Polaków pogodziło się z losem prowincji imperium i pragnienie polskości i wolnej Polski trzeba było w nich obudzić.

▶ Wśród rekwizytów używanych na planie pojawiły się m.in. autentyczna lornetka rotmistrza Dunin-Wąsowicza, pistolet colt z czasów powstania styczniowego (dziś własność pisarza Waldemara Łysiaka), a także samochód Lorraine-Dietrich z 1913 roku – najstarsze jeżdżące auto w Polsce. Wykazaliście się iście ułańską fantazją.

Po prostu zatrudniliśmy najlepszych specjalistów, w tym także konsultantów historycznych. A amerykańskiego, westernowego colta z autentycznymi grawerowaniami z Matką Boską i nazwami bitew powstania styczniowego kupił gdzieś na internetowej aukcji Waldemar Łysiak, a jego syn, Tomasz, główny scenarzysta naszego filmu, wplótł ten niesamowity rekwizyt w fabułę opowieści. Obcowanie z takimi artefaktami daje poczucie pewnej misji. Oni walczyli, a my mamy obowiązek o tej ich walce opowiedzieć. Bo wartości, dla których ryzykowali życie i często je oddawali, są budulcem, najlepszym spoiwem naszej narodowej wspólnoty, siły naszego państwa i przyszłości naszych dzieci.

WARTOŚCI, DLA KTÓRYCH LEGIONIŚCI RYZYKOWALI ŻYCIE I CZĘSTO JE ODDAWALI, SĄ BUDULCEM, NAJLEPSZYM SPOIWEM NASZEJ NARODOWEJ WSPÓLNOTY, SIŁY NASZEGO PAŃSTWA I PRZYSZŁOŚCI NASZYCH DZIECI.

▶ Takich scen batalistycznych w polskim kinie jeszcze nie było. Słyszałam, że duży nacisk kładliście na to, by było jak najwięcej realnych scen, jak najmniej efektów specjalnych. Słyszałam też takie porównanie, że zużyto przy produkcji tyle materiałów wybuchowych, że można by nimi wysadzić Pałac Kultury. Tak powiedział jeden z aktorów. Ciekawe porównanie (śmiech).

Dziękuję za te słowa, to praca wielu ludzi. Wybuchów mamy sporo, kilka armat, wśród nich strzelające oryginały sprzed stu lat. A Pałacu Stalina nie należy wysadzać, bo pyłu będzie za dużo. Trzeba go spokojnie, metodycznie rozmontować. Gdy będzie wola – to szybka i prosta operacja, która otworzy przed Warszawą możliwość zbudowania najpiękniejszego centrum na świecie. Dopóki monstrualny pomnik komunistycznego mordercy i satrapy wciąż góruje nad Warszawą, Polska nie jest w pełni wolna, bo to znaczy, że nadal pozostaje w nas część mentalności niewolników, którzy łańcuchy i kajdany uznają za fajną biżuterię. Robienie takich filmów jak „Legiony" – o wyrwaniu się spod moskiewskiej dominacji – rozumiem także jako stopniowe rozmontowywanie tych właśnie niewolniczych kompleksów, również jako stopniowy demontaż warszawskiego pomnika Stalina. By otworzyły się nowe możliwości. ■

eprasa.pl dfaed9b77b

SEBASTIAN FABIJAŃSKI · BARTOSZ GELNER · WIKTORIA WOLAŃSKA · MIROSŁAW BAKA · JAN FRYCZ · ANTONI PAWLICKI

LEGIONY

WARTO KOCHAĆ. WARTO MARZYĆ. WARTO WALCZYĆ.

PICARESQUE MACIEJ PAWLICKI POLCAR, FUNDACJA OBCHODÓW 100. ROCZNICY ODZYSKANIA PRZEZ POLSKĘ NIEPODLEGŁOŚCI FILMOTEKA NARODOWA – INSTYTUT AUDIOWIZUALNY WYTWÓRNIA FILMÓW DOKUMENTALNYCH I FABULARNYCH TELEWIZJA POLSKA S.A. KINO ŚWIAT

FILM NOWOFINANSOWANY PRZEZ POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ PRZEDSTAWIA SIĘ „LEGIONY" SCENARIUSZ TOMASZ ŁYSIAK DARIUSZ GAJEWSKI MICHAŁ GODZIC MACIEJ PAWLICKI WYSTĘPUJĄ SEBASTIAN FABIJAŃSKI BARTOSZ GELNER WIKTORIA WOLAŃSKA MIROSŁAW BAKA JAN FRYCZ ANTONI PAWLICKI GRZEGORZ MAŁECKI BORYS SZYC PIOTR CYRWUS KAROL CZAJKOWSKI

ZDJĘCIA JAROSŁAW SZODA PSC ARKADIUSZ TOMIAK PSC SCENOGRAFIA PAWEŁ JARZĘBSKI KOSTIUMY MAGDALENA RUTKIEWICZ-LUTEREK CHARAKTERYZACJA ANNA DĄBROWSKA MUZYKA ŁUKASZ PIEPRZYK MONTAŻ MARCIN KOT BASKTOWSKI PSM DŹWIĘK MATEUSZ BUDNIK

KIEROWNICTWO PRODUKCJI MARCIN KSOBIECH PAWEŁ JADCZAK PRODUKCJA MACIEJ PAWLICKI ADAM BORDWSKI REŻYSERIA DARIUSZ GAJEWSKI

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego · PICARESQUE · Polcar · niepodległa · 70 LAT

MECENAS GŁÓWNY LOTOS · FINA · TVP · KINO ŚWIAT · PATRON EDUKACYJNY · MINISTERSTWO EDUKACJI NARODOWEJ · PARTNERZY EDUKACYJNI · INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

W KINACH OD 20 WRZEŚNIA

LOTOS · TOTALIZATOR SPORTOWY · PANI · Tygodnik Wiedza · ŚWIAT WIEDZY · WP · LOGO · naszemiasto · FREENOW · VIVA!.pl · BIERMALLS · McFIT · RMF

TVP · SIECI · HISTORII · wPolityce.pl · RZECZY · GAZETA POLSKA · Gazeta Polska Codziennie · niezależna · NOWE PAŃSTWO · Karnacja Krajowa · Edukacja Filmowa.pl · DEMOTYWATORY.PL · FILMWEB · RCC

eprasa.pl dlaCd9577b

W ostatnim czasie widzowie Netfliksa mogli obejrzeć trzeci sezon amerykańskiego serialu „Stranger Things" i drugi – niemieckiego „Dark". Częste traktowanie tej drugiej produkcji jako dzieła mocno inspirowanego kultową już serią amerykańską – choć aprobowane nawet przez samych twórców „Dark" – to droga zdecydowanie na skróty.

Krzysztof Karnkowski

Dwie różne historie

Choć zapewne pierwszy sezon „Stranger things" był inspiracją dla Niemców, ważniejsze wydają się wspólne korzenie obu serii, odniesienia do popkultury, do klimatu lat 80., a w drugiej serii „Dark" również lat 50. czy nawet 20. Jednak im dalej od popkulturowego fundamentu, tym więcej między oboma tytułami różnic. Każdy z nich to w pełni samodzielna opowieść, rozwijająca się w innym kierunku. Oba – choć z innych powodów – robią wrażenie, a popularnością cieszą się w pełni zasłużenie.

Co je łączy z „Twin Peaks"?

W „Stranger Things" czwórka dzieci zderza się z zupełnie obcym, równoległym do naszego światem, który zrozumieć, a nawet na swój sposób oswoić potrafi lepiej od dorosłych, ponieważ obok przydatnych w nowej dla nich sytuacji fascynacji naukowych, mają gromadzony na świeżo bagaż popkulturowy, gry, lekturę Tolkiena... W pierwszym sezonie jeden z paczki przyjaźniących się chłopców przenosi się do równoległego, mrocznego świata, pozostała trójka próbuje go odnaleźć, w czym pomaga im tajemnicza dziewczynka, nazywana Eleven, obdarzona potężnymi zdolnościami parapsychicznymi. Zagadkowa bohaterka ucieka przed tajemniczymi i potężnymi ludźmi, chcącymi ją wykorzystać jako broń. Dziewczyna równocześnie więc tropi i jest tropiona, obserwujemy, jak jej nieufność stopniowo przekształca się w przyjaźń z chłopcami, którzy próbują z całkiem dobrym skutkiem poddać ją socjalizacji. Zaginionego dziecka szukają też dorośli, matka i miejscowy szeryf, który na początku nie zapowiada się na postać pozytywną, zaangażowaną i zdeterminowaną, pozory jednak mylą. Te cechy uczynią z niego jedną z głównych dorosłych postaci serii, pierwsze skrzypce zagra jednak matka zaginionego chłopca, w którą udanie wciela się Winona Ryder.

eprasa.pl dfaed9b77b

FOT. MAT. PRAS.

Oba seriale dość mocno mogą kojarzyć się z „Twin Peaks" Davida Lyncha, przy czym produkcji zdecydowanie bliżej do „Stranger Things". Amerykańska prowincja i akcja umieszczona niewiele wcześniej niż wydarzenia pokazane w pierwszych dwóch sezonach serii Lyncha sprawiają, że bohaterów widzimy w podobnych strojach, scenerii, sytuacjach – tyle że mamy do czynienia z bardzo wierną rekonstrukcją historyczną. Poza tym, nie licząc najpierw tresujących, później zaś tropiących dziewczynkę agentów, zaludniający pierwszy sezon mieszkańcy są jednak sympatyczniejsi, nie mają tak mrocznych tajemnic i złych intencji jak ich sąsiedzi z Twin Peaks.

▶ Serial nie tylko o potworach

W drugim sezonie „Stranger Things" potwory zaczynają przedstawiać się do naszego świata i dawać się we znaki mieszkańcom. Równolegle wciąż oglądamy mieszankę filmu przygodowego o rezolutnych dzieciakach, które poza światem gier i nauki zauważają też nową koleżankę, gamerkę Max. Wprowadzenie tej postaci to zresztą ukłon w stronę współczesności – dziewczyny szalejące na punkcie gier i innych rozrywek dla nerdów [nerd – osoba fascynująca się naukami ścisłymi, zwłaszcza informatyką, oraz grami komputerowymi – przyp. red.] jako jeden z archetypów współczesnej popkultury masowo weszły na ekrany telewizorów raczej niedawno. Świat starszych kolegów i rodzeństwa cały czas przypomina „Beverly Hills 90210", choć nie wszyscy jednakowo dobrze się tu bawią, pamiętając, że w części pierwszej poza małym chłopcem, odnalezionym lecz gnębionym przez wpływające na rzeczywistość koszmary, zaginęła też ich mało popularna koleżanka. To jednak najmniejszy problem, gdy atak odbywa się już wprost, a trup zaczyna słać się gęsto. Do długiej listy inspiracji dodać trzeba „Obcego", jednak obok wątku hor-

eprasa.pl dfaed9b77b

rorowego cały czas będziemy towarzyszyć zmaganiom dzieci z dojrzewaniem, nastolatków z dorastaniem, w mniejszym stopniu dorosłych z dorosłością. Eleven tym razem spróbuje przywrócić światu szeryf, na swój sposób nawet mu się to uda. Tu ciekawa dygresja społeczno-polityczna: gdy w kluczowym momencie potrzebny jest ktoś, kto będzie umiał strzelać, poza policjantem na rzeczy zna się tylko jedna dziewczyna. Czy chodzi o girl power, czy jednak to zasługa rodziców – republikanów, z reklamą z kampanii prezydenckiej Reagana i Busha na honorowym miejscu przed tradycyjnym, amerykańskim domem?

Mamy wreszcie sezon trzeci, który wielu fanów dość mocno rozczarował, dla innych jednak, również dla mnie, był chyba największą atrakcją. Oto bowiem twórcy postanowili w pełni oddać się zabawie za pomocą własnego dzieła. To już nie tylko hołd dla kina młodości, lecz także jego bardzo przekonująca i bezlitosna parodia. Mamy tu potwory wyjęte jakby z japońskich komiksów, przeznaczonych niekoniecznie dla dzieci, mamy też złych Rosjan chcących przejąć kontrolę nad światem za pomocą tych samych ciemnych mocy, z którymi kolejny raz walczą nasi bohaterowie, mamy wreszcie mnóstwo fajerwerków, dosłownie i w przenośni. Dużo tu krwi, dużo estetyki campu, klimatów z kultowych produkcji Tromy czy nawet „Martwicy mózgu" znanego później z Tolkienowksich produkcji Petera Jacksona. Na koniec zaś, gdy wydaje się już, że złych komunistów udało się pogonić razem z resztą potworów, w odległym Związku Sowieckim uchylona zostaje furtka do kolejnego, czwartego już sezonu.

▶ Powstrzymać apokalipsę

W „Dark" jest zdecydowanie poważniej i zupełnie inaczej. Ludzie, a wraz z nimi przedmioty wędrują w czasie, wpływając i zakłócając bieg wydarzeń. Relacje rodzinne mieszkańców niewielkiego miasta zaczynają być splątane niczym w telenoweli, jednak chyba w żadnej tego typu produkcji syn nie mógł okazać się własnym biologicznym ojcem. W lekko kojarzącym się z legendarnym serialem Lyncha miasteczku, spowitym tajemnicą, istnieją różne poziomy wtajemniczenia. Jedni prawdę znają od początku (choć w tym świecie w zasadzie nie ma początków ani końców), inni odkrywają ją pomału, tak jak znajdują przejście do przeszłości lub przyszłości, ukryte gdzieś w lesie sąsiadującym z elektrownią atomową. Efektem odkrycia dla niektórych jest nieuchronne szaleństwo, chęć ingerencji w bieg zdarzeń, wreszcie utożsamienie czasu z Bogiem.

Sporo tu prób filozofowania, choć w dwóch trzecich opowieści (trzeci sezon ma być jej domknięciem i dopowiedzeniem) nie do końca poznajemy jeszcze intencje twórców. Choć mamy tu trochę odniesień do popkultury, na przykład powtarzający się i niejako determinujący historię jednego z bohaterów cytat z utworu „Pleasure to kill" legendy niemieckiego metalu, zespołu Kreator, całość jest jednak poważna, zaś tytułowy mrok nie potrzebuje komiksowych, przerysowanych potworów. Wystarczą zupełnie zwyczajne, a przez to bardzo wiarygodne ludzkie motywacje – fascynacje, uprzedzenia, zazdrość... Jak zwykle u Niemców sporo tu dość dosłownych scen erotycznych, które im głębiej w serial, tym częściej przeradzają się w koszmary senne. Ogólnie jednak „Dark" to zaskakująca, dość poetycka narracja, w której sceny na pozór mało wnoszące do akcji, jak quasi-teledyskowe sekwencje scen bez dialogów, ukazujące poszczególnych bohaterów w sytuacjach domykających bądź przedłużających wcześniejsze wątki, okazują się jednym z mocniejszych atutów serialu. Często widzimy też bohaterów w kilku planach czasowych naraz. Paradoksy wynikające z ingerencji w zdarzenia przyszłe i przeszłe skupiają się w postaci zegarmistrza. Autor książki o podróżach w czasie i konstruktor umożliwiającej je maszyny początkowo wydaje się kluczem do wszystkich zagadek. Tak naprawdę jednak okazuje się postacią przypadkową, wykonawcą zleceń podróżników z przyszłości, którzy przekazują mu plany jego własnej maszyny i egzemplarze jego własnej, nienapisanej jeszcze książki. To paradoks samoprzyspieszenia zdarzeń, w którym rzeczy tracą swój początek. Główna akcja dzieje się teraz, jednak historia rzuca bohaterów do lat 80., 50., a nawet 20., a także w nieodległą, postapokaliptyczną przyszłość. I właśnie powstrzymanie apokalipsy, która też nie dzieje się w jednym tylko czasie, wydaje się stawką w tej dramatycznej grze.

Po dwóch sezonach nie wszystko jest wyjaśnione, ale wiemy już, że za przypadkowe odkrycie „boskiej cząstki" umożliwiającej przemieszczanie się w czasie odpowiadają nielegalnie składowane odpady z elektrowni atomowej. Pośrednio więc to atom staje się katalizatorem apokalipsy, choć przyczyną bezpośrednią wydaje się otworzenie zbyt wielu przejść w czasie naraz. Cóż, w „Dark" pojawiają się odniesienia do katastrofy w Czarnobylu – wydarzenia z roku 1986 rozgrywają się przecież raptem kilka miesięcy później, strach przed skażeniem jest żywy i racjonalny, trzeba też pamiętać, że katastrofa japońskiej elektrowni Fukushima również w Niemczech ożywiła dawne obawy i wywołała falę dyskusji o rezygnacji z atomu. „Dark" nie jest jednak produkcją propagandową, choć czym tak naprawdę jest, dowiemy się pewnie dopiero wraz z końcem serii. Pozostaje więc czekać na trzeci sezon. A że wiele pytań zostało otwartych, czekanie to może być nawet trudniejsze niż liczenie dni do odległej premiery czwartej odsłony „Stranger Things". ■

eprasa.pl dfaed9b77b

Marek Kalinowski

Sekta Janerki

Nosowska, Waglewski, Pablopavo i Świetlicki – grono muzycznych przyjaciół Lecha Janerki oddało mu hołd, wykonując jego utwory jedynie przy akompaniamencie dwóch gitar basowych. Albumem „Janerka na basy i głosy" wywołali chyba wilka z lasu – po czternastu latach oczekiwania nadchodzi nowy, solowy album mistrza.

Nie bryluje w telewizji, nie udziela wywiadów, nawet koncertuje dość sporadycznie. Mimo że od czternastu lat nie wydał żadnej płyty, dla wielu wciąż pozostaje punktem odniesienia w polskiej muzyce alternatywnej. Być może to właśnie tęsknota za nowymi albumami Lecha Janerki sprawiła, że najwierniejsze grono fanów i muzycznych przyjaciół wzięło sprawy w swoje ręce i nagrało jego piosenki jeszcze raz. Płyta „Janerka na basy i głosy" to jednak nie zwykła składanka z największymi przebojami artysty. Słowo „przebój" zresztą zupełnie do niego nie pasuje, a gdyby nawet je mierzyć częstością odtwarzania przez radiostacje, to chyba tych najbardziej „grywalnych" utworów na albumie zupełnie zabrakło. Nie ma tu „Roweru" z płyty „Plagiaty" ani „Konstytucji", „Wyobraź sobie", ani nawet „Jezu, jak się cieszę" z repertuaru Klausa Mitffocha.

JANERKA NA BASY I GŁOSY, Antena Krzyku

Jaki był zatem pomysł na płytę? Na genialny plan wpadło dwoje gitarzystów – Małgorzata Tekiel (m.in. Pudelsi, Będzie Dobrze i Pochwalone) i Piotr Pawłowski (m.in. Made in Poland oraz The Shipyard). Utwory Janerki postanowili zagrać jedynie za pomocą instrumentów, którymi dysponuje sam autor – a zatem ograniczyli się do gitary basowej i ludzkiego głosu. Jeśli ktoś myśli, że to za mało, proszę włączyć dowolny utwór. Dwie gitary w rękach tak znakomitych instrumentalistów zabrzmiały z niezwykłym, wręcz zaskakującym bogactwem dźwięków, nadając utworom zupełnie nowe życie. Siła muzyki to jednak tylko jedna strona medalu. U Janerki najważniejsze jest przecież słowo – nieprzypadkowy wydaje się zatem dobór zaproszonych wokalistów. „Sekta Janerki" – jak o sobie napisali – to grono ludzi szczególnie wrażliwych na tekst. Katarzyna Nosowska, Marcin Świetlicki, Paweł Sołtys czy Wojciech Waglewski doskonale wiedzieli, co z poezją Janerki uczynić, przy wyborze utworów dostali więc całkowicie wolną rękę.

Fenomenalnie zabrzmiało „Klus Mitroh" w wykonaniu poety Świetlickiego. Pozbawiony perkusji i wykrzyczanych treści utwór nabrał intymności, w której doskonale przecież znane słowa „i nigdy nie mów mi bzdur, że to dla mnie" nigdy nie zabrzmiały jeszcze tak ostro. Jakże poruszająco wypadło także „Wieje" w wykonaniu Katarzyny Nosowskiej. Po jej ostrej solowej płycie fantastycznie jest móc usłyszeć ją znowu w tekstach, z których może w nieskończoność wydobywać kolejne warstwy. Udział Wojciecha Waglewskiego wydaje się oczywisty, to przyjaciel i pokrewna dusza Lecha Janerki, a ich muzyczne losy wielokrotnie się przecinały. Bardziej zaskakuje obecność Jarosława Szubrycha w szczególnie przygnębiającej interpretacji „UR". Na płycie dwukrotnie pojawia się także Pablopavo (Pawel Sołtys), najpierw w duecie z Niką, a następnie w świetnym „Ta zabawa nie jest dla dziewczynek".

Na koniec niespodzianka dla wszystkich fanów Janerki. Ten nie tylko z radością przyjął wiadomość o płycie, lecz sam także podzielił się fragmentem najnowszej twórczości. Utwór „Pili", który otrzymujemy jako ostatni, jest jednocześnie zapowiedzią długo oczekiwanej, nowej płyty artysty. ■

eprasa.pl dfaed9b77b

eprasa.pl dfaed9b7

Olga Doleśniak-Harczuk

Na pokaz i do schowka. Socrealizm vs III Rzesza

Rumiana kobieta w ogrodniczkach pozuje na tle silosów. To przodowniczka pracy namalowana kilka miesięcy przed rozpadem NRD przez Jürgena Parche. Płótno zatytułowano „Mistrzyni hodowli cieląt". W 1990 roku zarówno hodowla, jak i obraz przeszły pod zarząd powiernictwa prywatyzującego enerdowskie mienie. Łatwiej było jednak spieniężyć fabryki i budynki niż socrealistyczne sceny z życia ludu pracującego. Dziś to się zmienia. Socrealizm cieszy się wzięciem młodych Niemców. Hitler na koniu w futurystycznej zbroi, rysunek Huberta Lanzigera z 1933 roku nie podzieli losu dojarki i jej podobnych. Od 72 lat jest przetrzymywany w USA, w magazynie pod Waszyngtonem. I nie zapowiada się na zmiany. Pewne dzieła lubią ciszę.

OBRAZ „AM STRAND" WALTERA WOMACKI

Dyktatorski kicz czy element ogólnoniemieckiego dziedzictwa kulturowego? Sztuka powstała w NRD, 30 lat po upadku Muru Berlińskiego, do dziś nie doczekała się jednoznacznej oceny. Przy okazji tegorocznych uroczystości upamiętniających zjednoczenie Niemiec, w galeriach Berlina, Düsseldorfu, Lipska postanowiono jednak przypomnieć malarstwo i rzeźbę z enerdowskim rodowodem. Zwłaszcza że doczekały się one również swoich fanów. I w czasie, gdy porozrzucane po niemieckiej prowincji magazyny wietrzą swoje zbiory i udostępniają obiekty muzeom, w innych magazynach piętrzą się dzieła narodowosocjalistyczne, obrazy, rysunki i rzeźby, z którymi zjednoczone Niemcy do dziś nie potrafią dojść do ładu. Sztuka jak wyrzut sumienia. Taka, którą najlepiej na zawsze byłoby zakopać pod ziemią i o niej zapomnieć. Olbrzymi pomnik Lenina straszący u wejścia Muzeum Historii Niemiec w Berlinie mało kogo bulwersuje, Hitler w podobnej aranżacji byłby nie do pomyślenia. To sporo mówi o podejściu niemieckich elit do historii. Ale po kolei.

Kąpiel z „Przodownikiem Pracy"

Po co dzisiejszym Niemcom portrety dojarek i socrealistycznych olbrzymów? To już nie jest nawet kwestia ostalgii, uczucia zarezerwowanego dla Niemców, którzy pamiętają mydło „Nautik" (z obowiązkową siateczką przyczepianą sznurkiem do kranu), ogórki ze Spreewaldu, płyn do kąpieli „Przodownik Pracy" czy bardzo niepoprawne dziś politycznie kakaowe herbatniki „Otello". Fascynacja enerdowskim malarstwem czy rzeźbą to pogoń za egzotyką socrealistycznego wschodu, świata na tyle wirtualnego dla pokolenia „Z", że wypranego z terroru, świata, gdzie słowo komunizm już nic nikomu nie mówi. Jest to fascynacja napędzana i podsycana modą na konsumy otwierane w centrach zachodnioniemieckich miast, gdzie za enerdowskie sznapsy i oryginalne zabawki sprzed trzydziestu lat płaci się złotymi monetami imitującymi markę wschodnioniemiecką. Klimat trochę jak z filmu „Good Bye, Lenin". Z przejrzystymi regałami, ponieważ towar jest reglamentowany, ale i z obietnicą, że niedługo nastąpi świeża dostawa Piaskowych Dziadków z pluszu i perfum Casino de Luxe (coś à la Cwiety Tajgi, hitu perfumeryjnego ze Stadionu Dziesięciolecia w latach 90.) A klienci stoją w kolejce. Choć wcale nie muszą. Chcą.

Ze stołówki na wystawę

Poza światem konsumów jest jeszcze ten wyższy, twórczy i natchniony. Archiwa Sztuki w brandenburskim Beeskow to mekka dla wielbicieli enerdowskich sztuk plastycznych. W dawnym budynku szkolnym położonym tuż za średniowiecznym zamkiem Beeskow znajduje się ponad 23 tys. obiektów pamiętających czasy Honeckera. To zbiór obrazów, fotografii, grafik, rzeźb, które powstawały na zamówienie organów państwowych NRD, spółdzielni, domów kultury, zdobiły ściany zakładowych stołówek i ministerialne hole, a teraz są udostępnione zwiedzającym. Po upadku NRD te wszystkie dzieła bardziej lub mniej stopione z socrealistycznymi ideałami przekazano powiernictwu jako majątek specjalny, a od 1994 roku zgodnie z miejscem zarejestrowania eksponaty zwracano poszczególnym krajom związkowym.

Największe zbiory zgromadzono właśnie w Beeskow. Zanim wszystkie obiekty trafiły do dawnego budynku szkolnego, zajmowały stare magazyny miejskie, skąd od czasu do czasu wypożyczano część z nich na okolicznościowe wystawy. Przeprowadzka i dostosowanie pomieszczeń na potrzeby przyszłej wystawy kosztowały 300 tys. euro. Pieniędzy nie żałowano, uznając eksponaty za dziedzictwo kulturowe landów wschodnich. Dziś władze archiwum liczą na duże zainteresowanie zbiorami, zwłaszcza na młodą generację, która NRD zna tylko z opowiadań. Pytanie, czy na miejscu w Beeskow ta grupa docelowa dowie się o przeszłości zbiorów nieco więcej niż z opisów na stronie archiwum, dziwnie oderwanych od realiów NRD, oddzielających niewidzialną kurtyną to, co miało być sztuką od ram ideologicznych, w które się wpisywała lub miała wpisywać.

Czego nie widać na plaży

Nie sposób podejrzewać młodych Niemców, urodzonych po 1989 roku, o ostalgię, ich zainteresowanie wschodnioniemieckimi obrazami, gdzie motywem przewodnim bywa dojarka, ale może być równie dobrze coś bardziej abstrakcyjnego, co ma charakter efektu „cool". Największym zainteresowaniem młodych Niemców cieszy się obraz Waltera Womacki „Am Strand" („Na plaży"). Namalowany w 1962 roku, sprzedany w ponad 3 mln reprodukcji, nie tylko w NRD, lecz także we Francji i w Holandii, wydrukowany na 18 mln znaczków pocztowych, wielbiony przez krytyków i komunistycznych notabli. Słowem: dzieło o statusie kultowym. Dość powiedzieć, że obraz został podarowany Walterowi Ulbrichtowi, I sekretarzowi Socjalistycznej Partii Jedności (SED) na 70. urodziny, a reprodukcja „Am Strand" należała obok meblościanki i strzelistej lampy z materiałowym abażurem do typowego wyposażenia mieszczańskiego lokum w NRD. A jego autor, Walter Womacka, zaliczał się do artystycznego świata otulonego troską SED. Autor takich obrazów jak „Młoda towarzyszka chłopska" czy „Kiedy komuniści śnią" sam zresztą był członkiem partii, wiceprzewodniczącym Związku Artystów Sztuk Plastycznych NRD i gorliwym towarzyszem,

eprasa.pl dfaed9b77b

czemu dobitnie dawał wyraz również poza pracownią. W 1968 roku na łamach enerdowskiej prasy poparł inwazję wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację i stłumienie „praskiej wiosny". W swojej autobiografii na krótko przed śmiercią bronił zaś Muru Berlińskiego słowami: „Ten mur był brzydki, ale konieczny. I na swój sposób zapewniał pokój". Wiadomo też, że w okresie, gdy Womacka zajmował stanowisko rektora Akademii Sztuk Pięknych Weissensee, co najmniej 40 studentów zostało wyrzuconych ze studiów ze względów politycznych. Na próżno jednak szukać tych informacji przy okazji wystawiania jego malarstwa czy wznawiania kalendarzy okolicznościowych z motywem słynnej plaży.

Do końca życia, już jako obywatel zjednoczonych Niemiec, Womacka walczył na płótnie o socjalizm, równość i komunistyczne sny. W jednym z ostatnich dzieł odmalował śmiertelnie ugodzonego w korridzie byka z czerwoną chustą, symbol upadku socjalizmu w Europie. Mało subtelna demonstracja osierocenia ideologicznego, ale fetowana jako bezkompromisowe dzieło sztuki. Womacka był jednym z wielu, którzy tworzyli pod czerwony gust, a niechcący trafili w ten masowy. Podobnie jak Willi Sitte, zagorzały komunista w służbie socrealistycznej sztuki, którego obrazy do dziś cieszą się niegasnącym powodzeniem na aukcjach.

Metoda na Doriana Graya

Podczas gdy sztuka socrealistyczna coraz częściej jest wyprowadzana na spacery po landach, tę z czasów III Rzeszy trzyma się na krótkiej smyczy. „Dziesiątki tysięcy dzieł z czasu narodowego socjalizmu zalega w [niemieckich] magazynach. Również Stany Zjednoczone ukrywają przed publiką obrazy, rysunki, rzeźby z III Rzeszy, lęk przed mocą niemieckich obrazów jest ogromny" – pisze w tygodniku „Der Spiegel" (nr 33/ 10.08.2019) Ulrike Knöfel. Jej artykuł nosi tytuł „Pod kluczem" i tyczy się przetrzymywanych od czasu zakończenia II wojny światowej dzieł sztuki powstałych z inspiracji narodowych socjalistów lub takich, które należały do zbiorów III Rzeszy. W Niemczech tego typu eksponaty przetrzymuje się nie tylko w piwnicach muzealnych, lecz także w magazynach i różnych halach. Dwie z nich znajdują się w berlińskiej dzielnicy Spandau, gdzie zgromadzono wyłącznie malarstwo. Część obrazów należała do Adolfa Hitlera. Olbrzymie płótna przedstawiające U-Booty, monumentalne ciała ludzkie, górskie landszafty, motywy przyrody zmiksowane z wizjami militarnej potęgi. Czy malarstwo ukryto z obawy przed tym, że trucizna mogła nie zwietrzeć, a widoki majestatycznych bawarskich landszaftów i swastyk mogą poderwać zielonych Niemców do boju? Tego nikt głośno nie wypowie, ale federalne ministerstwo kultury powściągliwie odpowiada na zapytania dziennikarzy dotyczące tego, jak długo jeszcze sztuka III Rzeszy będzie trzymana pod kluczem. Poza tym magazyny w Niemczech to jedno, ale pod Waszyngtonem wciąż pozostają obiekty zarekwirowane Niemcom przez USA w 1947 roku. W tamtym czasie do bazy wojskowej Fort Belvoir trafiło około 9 tys. obiektów, dziś nikt nie jest w stanie odpowiedzieć na pytanie, ile z nich wciąż tam zalega. Od lat 50. do 80. XX wieku Amerykanie zwracali co pewien czas obiekty, które przechodziły następnie pod kuratelę Niemieckiego Muzeum Historycznego. Wiadomo, że sporo eksponatów znajduje się też w prywatnych kolekcjach, ukrywane wstydliwie za zasłonami niczym portret zepsutego dandysa. To niejedyny problem Niemców ze sztuką III Rzeszy. Nawet tam, gdzie z pozoru wszystko jest w należytym porządku, zdarzają się przykre niespodzianki.

Czy Trump o tym wie?

Tak jak w przypadku ekspresjonisty Emila Noldego, którego mit ofiary III Rzeszy rozpadł się w pył i proch po tym, jak na podstawie udostępnionych po 2013 roku źródeł ustalono, że Nolde, który po wojnie stylizował się na ofiarę totalitarnego systemu, był w rzeczywistości antysemitą i zagorzałym fanem Adolfa Hitlera. W Hamburgu rozprawiono się z tym mitem w ramach wystawy „Emil Nolde. Niemiecka Legenda. Artysta w Narodowym Socjalizmie". Ekspozycję można było zwiedzać od kwietnia do połowy września 2019 roku. I już w kwietniu w Niemczech wybuchła istna Noldomania à rebours.

Zniesmaczona zmanipulowaną biografią Noldego Angela Merkel poleciła usunąć z Kanzleramtu wiszące tam obrazy malarza. Historyk Michael Wolfssohn skrytykował wtedy Merkel za hiperpoprawność, a niektórzy w CDU demonstracyjnie nawet zaczęli wieszać obrazy Noldego na ścianach gabinetów na przekór „Nolde-histerii". Media mainstreamowe jednak przyznały Merkel rację, argumentując, że w dobie wzrostu antysemityzmu w Niemczech, kanclerz nie mogła zachować się inaczej. „To dla Merkel kwestia wiarygodności. Ona musi stawić czoła przepracowaniu niemieckiej historii" – komentowano w „Süddeutsche Zeitung". Za chwilę jednak komentarz przybiera dość kuriozalny ton: „W 2014 roku była już we Frakfurcie wystawa dotycząca antysemityzmu Noldego. Merkel nie zdjęła jednak wtedy ze ściany obrazu. Tyle że wtedy sztukę i politykę, obraz i światopogląd uznawano błędnie za odrębne sfery. Trwało to do czasu objęcia władzy w USA przez Donalda Trumpa i triumfów prawicowych populistów". Ciekawe, czy gospodarz Białego Domu zdaje sobie sprawę, jak dalece jest w stanie wpłynąć na gust i decyzje Angeli Merkel. ■

eprasa.pl dfaed9b77b

Antoni Rybczyński

Operacja Następca. Jak Familia wybrała Jelcynowi Putina

„Postanowiłem już teraz podać nazwisko osoby, która w mojej opinii będzie w stanie skonsolidować nasze społeczeństwo. Opierając się na najszerszym potencjale sił politycznych, osoba ta zapewni kontynuację reform. Będzie również w stanie skupić wokół siebie tych, którzy przyczynią się do odrodzenia wielkiego narodu Rosji w dwudziestym pierwszym stuleciu. Tą osobą jest sekretarz Rady Bezpieczeństwa Rosji, dyrektor Federalnej Służby Bezpieczeństwa, Władimir Władimirowicz Putin" – prezydent Borys Jelcyn, 9 sierpnia 1999 roku.

eprasa.pl dfaed9b77b

FOT. PAP/EPA

Dwadzieścia lat temu, w sierpniu 1999 roku, Władimir Putin został prezydenckim dekretem nominowany na p.o. premiera Rosji. W wystąpieniu telewizyjnym Borys Jelcyn nazwał też Putina swoim następcą. Później wszystko potoczyło się według starannie przygotowanego scenariusza. Po serii zamachów bombowych, za którymi – jak wszystko wskazuje – stała FSB, Moskwa sprowokowała wojnę z Czeczenią. „Małą zwycięską" – dla Putina przede wszystkim, bo z mało znanego polityka drugiego szeregu szybko stał się najpopularniejszy w Rosji. Potem blok z Putinem i Szojgu na czele rozbił rywali w wyborach do Dumy, Jelcyn ustąpił ze stanowiska, premier Putin stał się p.o. prezydenta. Wreszcie gdy przyszły wybory prezydenckie wiosną 2000 roku, Władimir Władimirowicz nie miał problemu ze zwycięstwem. I rządzi do dziś – w myśl słów: „Raz zdobytej władzy nie oddamy nigdy!". Dziś wiemy, że prawdziwa, zakulisowa walka o schedę po Jelcynie zaczęła się na długo przed jego sierpniowym wystąpieniem. Była twarda, pełna pułapek, prowokacji, a nawet „mokrej roboty". Najskuteczniejszy, czyli najbardziej bezwzględny i przebiegły, okazał się Władimir Putin właśnie.

Liczą się koledzy

Gra o kremlowski tron ruszyła tak naprawdę już w momencie reelekcji Jelcyna w 1996 roku. Oligarchowie, którzy dokonali niemożliwego i dzięki milionom dolarów pompowanych w kampanię zapewnili wygraną niepopularnemu prezydentowi, wiedzieli doskonale, że nie jest to rozwiązanie na cztery lata. Właściwie już od samego początku alkoholizm i schorowane serce niemal wyeliminowały prezydenta z realnych rządów. O Jelcynie mówiono „dwururka z Uralu", bo wychylał dwie szklanki wódki jedna po drugiej – musiało się to odbić na zdrowiu. Po Moskwie krążyły żarty w stylu: „Dzisiaj na Kremlu o godzinie jedenastej, po długiej i ciężkiej chorobie, nie odzyskawszy przytomności, został zaniesiony do pracy Borys Jelcyn, czcigodna głowa naszego państwa". Zaraz po wyborach, po poważnej operacji serca, przez półtora roku (!) Jelcyn nawet nie pojawił się na Kremlu. Rządziła klika bliskich prezydenta, z córką Tatianą Diaczenko na czele i jej kochankiem Walentinem Jumaszewem. Kontrolowali dostęp do schorowanej głowy państwa, a Jelcyn robił i podpisywał wszystko, co mu podsunęli. Najważniejsze decyzje uzgadniano jednak w szerszym gronie, w tzw. klubie prezydenckim, miejscu, gdzie można było pograć w tenisa, popić wódkę i pojeść kawior. Zaproszenie do klubu

daed9b77b

oznaczało automatycznie zyskanie wpływu na bieg spraw w państwie. Tutaj pojawiali się oligarchowie i najwyżsi urzędnicy. Z racji nieformalnego charakteru spotkań mówiono o tym towarzystwie: Familia.

Droga na Kreml Putina zaczęła się właśnie od spotkania w „klubie prezydenckim", gdzie poznał ówczesnych reżyserów polityki państwa. Wprowadził go tam Anatolij Czubajs, który kilka lat wcześniej poznał Putina podczas ich pracy w merostwie petersburskim. Teraz był szefem administracji prezydenckiej. Nie zapomniał o koledze znad Newy – po porażce mera Anatolija Sobczaka „szarą eminencję" Petersburga, czyli Putina, trzeba było zabrać do Moskwy, poza zasięg politycznych wrogów w Petersburgu. Putin posiadł bowiem ogromną wiedzę na temat różnych oszustw i przestępstw, w które zamieszani byli różni wpływowi ludzie z Moskwy. Poza tym nowy mer Petersburga Jakowlew zaliczał się do wrogów Jelcyna. Latem 1996 roku Czubajs sprowadził Putina do stolicy i dał stanowisko zastępcy szefa Zarządu Gospodarczego Administracji Prezydenta Pawła Borodina. To był de facto kremlowski skarbnik. Kontrolował nie tylko cały budżet administracji prezydenckiej. Nowy zastępca Borodina zaczął nadzorować wszystkie należące do państwa rosyjskiego nieruchomości poza granicami kraju: 718 obiektów w 78 krajach, o łącznej powierzchni 550 tys. metrów kwadratowych.

Podczas jednego ze spotkań u Borysa Bieriezowskiego Putina przedstawiono Jumaszewowi. Gdy Jumaszew w marcu 1997 roku awansował na szefa administracji prezydenta, uczynił Putina swym zastępcą. A ten wziął jeszcze jedno stanowisko. Znów pomogły stare znajomości. Aleksiej Kudrin został wiceministrem finansów, pozostawiając wakat na stanowisku szefa Głównego Zarządu Kontroli (GKU) Administracji Prezydenta. Kudrin to kolejny dawny znajomy Putina z merostwa Sankt Petersburga – polecił więc go na swego następcę. Przy dość luźnym podejściu Jumaszewa do biurokratycznych obowiązków, Putin zaczął tak naprawdę zarządzać Kremlem. A jako szef GKU miał prawo kontrolować całą administrację państwową. Zaczął od podpisania decyzji o wszczęciu masowych kontroli gdzie tylko się da, od instytucji rządowych po jednostki wojskowe. Wykorzystał do tego kolegów ze służb. Na każdego były jakieś haki, każdy miał teczkę. Wszystko to miało się w przyszłości bardzo Putinowi przydać. Tak samo jak wiedza i kontakty zbudowane po objęciu w maju 1998 roku 1. zastępcy szefa administracji prezydenckiej odpowiedzialnego za politykę regionalną. Gromadził informacje dotyczące wszystkich 89 podmiotów Federacji Rosyjskiej oraz ich gubernatorów. Inspekcje regionalne stały się częstsze i bardziej wnikliwe. Szybko zebrano masę kompromatu – korupcja była bowiem wszechobecna. Putin skutecznie zdyscyplinował gubernatorów, głównie szantażem. Jednocześnie ściągał na Kreml zaufanych ludzi, byłych kagiebistów. Stanowisko szefa GKU zostawił sprowadzonemu z Sankt Petersburga Nikołajowi Patruszewowi. To nie była ostatnia funkcja, jaką Putin – awansując wyżej – miał potem przekazać temu czekiście.

Korupcja i polityczne porno

Pracowity Putin zyskiwał coraz większe zaufanie Jumaszewa, Diaczenko i Bieriezowskiego. Dobre wrażenie robił też na Jelcynie, gdy składał raporty w zastępstwie Jumaszewa. Jak wspominała później Diaczenko, jej ojcu „spodobał się uśmiech Wołodii". Jednak wciąż jeszcze nie był na „krótkiej liście" potencjalnych kandydatów na następcę Jelcyna. Musiał najpierw przejść ostateczny test lojalności i skuteczności. Oto bowiem wybuchła afera, która mogła zatopić i Jelcyna, i całą Familię. Wszystko zaczęło się dwa lata wcześniej, w sierpniu 1996 roku – akurat gdy Putin dopiero przeprowadzał się do Moskwy. Jego ówczesny szef Borodin zadbał, żeby Zarząd Gospodarczy kremlowskiej administracji podpisał umowę z firmą Mercata na renowacje dwóch wielkich budynków Kremla z pominięciem procedury przetargowej. Całkowity kosztorys prac objętych obiema umowami opiewał na blisko pół miliarda dolarów. Szwajcarska prokuratura ustaliła później, że w zamian Mercata wypłaciła prowizje na sumę 62 mln dolarów, z czego ponad 25 mln dolarów przelano na konta szwajcarskiego banku kontrolowanego przez Borodina i jego rodzinę. Wiosną 1998 roku szwajcarska prokuratura oskarżyła firmę Mabetex Engineering i podległą jej Mercata Trading & Engineering SA o wypłacanie najwyższym urzędnikom kremlowskim milionów dolarów łapówek za zlecone im prace na Kremlu, w siedzibie Dumy oraz siedzibie rządu. Na liście podejrzanych było paru wysokich urzędników kremlowskich oraz rodzina Jelcyna. Jako świadków wezwano do Szwajcarii Pawła Borodina, jego żonę oraz dwie córki Jelcyna. W marcu 1998 roku prowadząca śledztwo Carla del Ponte przyleciała do Moskwy spotkać się z rosyjskim prokuratorem generalnym. Tak się składa, że Jurij Skuratow był zagorzałym wrogiem Jelcyna... W murach Kremla zrobiło się bardzo nerwowo. Zwłaszcza że na dodatek amerykańska prasa rozpisywała się o skandalu wokół Bank of New York, na którego rosyjskich kontach, w tym należącym do Diaczenko, dopatrzono się podejrzanych 10 mld dolarów. Wtedy Familia uznała, że tę bombę ktoś powinien rozbroić. Ale musiał mieć odpowiedni zestaw narzędzi.

eprasa.pl dfaed9b77b

W lipcu 1998 roku Jelcyn mianował nowym dyrektorem FSB Władimira Putina. I bardzo szybko znalazł się w samym centrum wojny na górze. Niedługo po jego przeprowadzce na Łubiankę upadł rząd lojalnego wobec Kremla Siergieja Kirijenki. Nowym premierem został Jewgienij Primakow, wcześniej zastępca przewodniczącego KGB, potem dyrektor SWR (Służby Wywiadu Zagranicznego). Jawny wróg Jelcyna i jego świty. To znacznie osłabiało pozycję Putina na Łubiance. Tymczasem oczekiwania Familii były jasne: Putin miał zrobić w FSB czystkę i zapewnić jej lojalność wobec Kremla. Zbyt duże wpływy bowiem mieli w służbie polityczni wrogowie Jelcyna. Putin wykazał się dużą sprawnością. Zrobił restrukturyzację. Najpierw w miesiąc zlikwidował blisko 2 tysiące etatów. Funkcjonariuszy ze zlikwidowanych dwóch wydziałów rozmieścił w nowo powstałych sześciu. Stare etaty zastąpiły nowe. Nowe kierownicze stanowiska objęli nowi ludzie. Do ścisłego kierownictwa FSB Putin ściągnął kolegów z Sankt Petersburga: generała Wiktora Czerkiesowa, generała Siergieja Iwanowa, generała Aleksandra Grigorjewa. Także z miasta nad Newą byli nowy szef wydziału antyterrorystycznego generał Władimir Proniczew (później kluczowa postać w dramatach na Dubrowce i w Biesłanie) oraz nowy szef zarządu bezpieczeństwa wewnętrznego pułkownik Wiktor Iwanow (później główny kadrowiec Putina). Igor Sieczin został asystentem Putina – awansując zresztą w pół roku na pułkownika (sam Putin był skromniejszy, też podniósł sobie stopień jedynie z podpułkownika na pułkownika). No i wreszcie Nikołaj Patruszew. Z administracji kremlowskiej trafił w październiku 1998 roku na zastępcę dyrektora FSB. Wszyscy wymienieni mieli później piąć się w górę wraz z Putinem. Część z nich dziś, po 20 latach, zalicza się do najbardziej wpływowych ludzi w Rosji.

Głównym zadaniem, jakie Familia postawiła przed nowym szefem FSB (Bieriezowski miał wtedy mówić, że wielki kapitał rosyjski wziął sobie Putina na nowego dyrektora generalnego), było jednak zapewnienie bezkarności otoczeniu Jelcyna. A w tym momencie największym zagrożeniem był Skuratow i sprawa Mabetexu. Gdy prokurator generalny nie uległ naciskom, Putin został wezwany 9 października 1998 roku na Kreml. Zlecenie było jasne: Skuratow ma zniknąć z prokuratury i przestać „mącić wodę". 16 marca 1999 roku po wieczornych wiadomościach w głównym kanale telewizyjnym RTR Rosja pokazano marnej jakości nagranie, na którym otyły mężczyzna uprawia seks z dwiema kobietami. Oczywiście od razu wyjaśniono widzom, że puszczanie soft porno w porze najlepszej oglądalności zostało podyktowane najwyższymi interesami państwa. Lektor dopowiedział więc, że mężczyzna na nagraniu to „osoba podobna do prokuratora generalnego". Tak to opisywały następnego dnia na pierwszych stronach gazety – jednoznacznie nie można było powiedzieć, że to Skuratow. Zresztą Putinowi wcale na tym nie zależało. Chodziło o to, by wybuchła burza. Skuratow jednak nie składał broni. Szwajcarscy prokuratorzy w szybkim tempie posuwali się naprzód w dochodzeniu dotyczącym kremlowskich remontów. Putin, Diaczenko i świeżo upieczony szef administracji prezydenckiej Aleksandr Wołoszyn wymyślili nowy plan. 1 kwietnia 1999 roku późnym wieczorem wezwano na Kreml w trybie pilnym trzech zastępców prokuratora generalnego oraz zastępcę szefa prokuratury moskiewskiej. Wołoszyn zażądał wszczęcia śledztwa przeciwko prokuratorowi generalnemu w sprawie nadużycia stanowiska służbowego. Zastępcy Skuratowa odpowiedzieli, że nie widzą ku temu wystarczających podstaw prawnych. Ale śledztwo zgodził się wszcząć czwarty z gości Wołoszyna. Ten sam, któremu dzień wcześniej ludzie Putina pokazali amatorski film, w którym w roli głównej występuje sam pan prokurator zabawiający się z małymi chłopcami. 2 kwietnia na wniosek tegoż prokuratora funkcjonariusze FSB w asyście śledczych wkroczyli do siedziby Prokuratury Generalnej i opieczętowali gabinet Skuratowa wraz z całą dokumentacją, m.in. tą otrzymaną od Carli del Ponte oraz z USA. Kilka dni później w telewizji wystąpił Putin. Poinformował, że eksperci FSB i MSW dokonali wstępnej ekspertyzy nagrania z „osobą podobną do prokuratora generalnego" i doszli do wniosku, że można uznać autentyczność kasety. Putin powtórzył, że Skuratow powinien sam złożyć rezygnację. Wojna na górze Jelcyna i Familii z sojuszem Primakowa i Łużkowa wchodziła tymczasem w decydującą fazę. Putin odgrywał już w niej kluczową rolę.

„Zasuszony rekin" ograł wszystkich

Szef FSB okazał się w tych gorących tygodniach niezwykle sprawnym politycznym graczem. Neutralna postawa w konflikcie Bieriezowskiego z Primakowem ułatwiła Putinowi wybór na sekretarza Rady Bezpieczeństwa 26 marca 1999 roku – uznano go za kandydata kompromisowego. Jelcyn widział w nim z kolei równowagę dla nowego szefa administracji prezydenckiej Aleksandra Wołoszyna, uważanego za człowieka Bieriezowskiego. Jelcyn notował wtedy w pamiętniku: „Wyboru już dokonałem. To Władimir Putin, dyrektor FSB. Ale postawić go teraz na stanowisku premiera nie mogłem. Jeszcze za wcześnie, za wcześnie, za wcześnie... Putin powinien pojawić się nieoczekiwanie w kulminacyjnym momencie przedwyborczej walki, kiedy jego zdecydowany charakter i surowość przydadzą się w pełni". Takie podejście było widać 19 maja 1999 roku

eprasa.pl dfaed9b77b

w Dumie, gdy doszło do decydującego starcia opozycji z Kremlem. Miano głosować nad odwołaniem Skuratowa, ale też w sprawie impeachmentu Jelcyna. Prezydent zaskoczył przeciwników. Tuż przed głosowaniami podpisał dekret odwołujący Primakowa ze stanowiska premiera. Zaskoczona opozycja przestała mówić o odwołaniu Jelcyna, zatwierdzono też dymisję Skuratowa. Nowym premierem został Siergiej Stiepaszyn, podobnie jak Putin wywodzący się z KGB. Wielu, w tym sam Stiepaszyn, uznało, że ta nominacja jest jak namaszczenie na następcę Jelcyna. Było inaczej.

Putin pozostał na Łubiance, choć to on wniósł największy wkład w eliminację Skuratowa. Familia uznała, że jeszcze za wcześnie na odsłonięcie wszystkich kart. W związku z dymisją Primakowa istniało duże ryzyko jakiegoś kontrataku opozycji. Gdyby Stiepaszyn sprawdził się na czele rządu, być może to on by został wskazany jako przyszły gospodarz Kremla. Jednak wkrótce po objęciu urzędu „życzliwi" (niewykluczone że od Putina) zaczęli rozsiewać plotki, że premier nie jest całkowicie lojalny wobec Familii i zaczyna prowadzić własną grę. W rzeczywistości Stiepaszyn był po prostu kiepskim politykiem i brakowało mu przebiegłości i cierpliwości Putina. Już w lipcu 1999 roku w jednym z kurortów nad Zatoką Biskajską Bieriezowski i Abramowicz spotkali się z Putinem. Bieriezowski przedstawił propozycję Jelcyna: niech to Putin zostanie premierem. Ten początkowo odmawiał, ale szybko „uległ prośbie prezydenta". 9 sierpnia 1999 roku Kreml opublikował dekret prezydenta o utworzeniu stanowiska dodatkowego zastępcy premiera, które obejmuje Putin. Kilka godzin później – gdy Jelcyn zaczął wygłaszać w telewizji orędzie – wyjaśniło się skąd ten ruch. Zgodnie z konstytucją jedynie osoba pełniąca obowiązki zastępcy premiera może być wyznaczona na stanowisko tymczasowego premiera. A Jelcyn ogłosił, że odwołuje Stiepaszyna i powołuje Putina na p.o. premiera. Podkreślił, że chciałby wygranej Putina w przyszłorocznych wyborach prezydenckich.

Elita polityczna przyjęła decyzję Jelcyna bez zachwytu. Jak pisała gazeta „Trud", „przyczyna zrozumiała: sześciu premierów w 17 miesięcy – to aż nadto nawet dla naszego nieprzewidywalnego cara Borysa i dla kraju »idącego swoją szczególną drogą«". Krytykowali komuniści, demokraci, centryści, praktycznie wszyscy oprócz LDPR Żyrinowskiego. „Dlaczego oni to panu zrobili? Przecież w ten sposób przypieczętowali pański koniec" – dziwił się ówczesny przewodniczący Dumy, komunista Giennadij Sielezniow. Putin brał bowiem na siebie cały balast związany z korupcją Familii. W parlamencie mało kto traktował poważnie kolejnego premiera. Zbliżały się wybory – faworytami byli wrogowie Kremla. Podczas debaty przed głosowaniem Giennadij Ziuganow udawał, że nie może sobie przypomnieć nazwiska Putina, a Grigorij Jawlinski świadomie przejęzyczył się, nazywając szefa rządu Siergiejem Władlenowiczem Putinem. Duma zaakceptowała go już przy pierwszym podejściu, 16 sierpnia 1999 roku. Za było 223 deputowanych, przeciwko 84, wstrzymało się 17. Wśród głosujących za zatwierdzeniem Putina na stanowisku premiera była część komunistów (w tym Sielezniow) oraz liberałowie z partii Jabłoko Jawlinskiego.

Nie wszyscy lekceważyli szarego biurokratę w nijakim garniturze, o którym jedna ze stołecznych gazet złośliwie napisała, że ma „urok suszonego rekina". „Bez wątpienia, jeśli być cynicznym, to wyłącznie kwestia zasobów finansowych. Ale nie na zakup głosów. Głosy będą. Któż z bohaterów literatury nazwany był najlepszym kandydatem na prezydenta? Stirlitz. Za umysł i szlachetność. Dodajcie do tego to, że u Putina widzą »twardą rękę«. Moim zdaniem, najcięższa ze wszystkich, jakie teraz są. A co do sondaży, to Jelcyn startował z 3 proc." – mówił wtedy dyrektor kreatywny agencji PR Tajny Doradca, Władimir Pilja. W gronie Familii zapadła bowiem decyzja, że o ile w 1996 roku Jelcynowi zapewniono wygraną, strasząc przed komunistami, o tyle w 2000 roku Putinowi miała to zapewnić histeria antyczeczeńska. 7 sierpnia 1999 roku zgrupowanie kilkuset czeczeńskich rebeliantów wspieranych przez arabskich najemników pod dowództwem Szamila Basajewa i al-Chattaba wtargnęło do jednego z górskich rejonów Dagestanu. Od 7 do 16 września ma miejsce seria zamachów bombowych na budynki mieszkalne w Rosji – giną setki ludzi. Winni? Czeczeni. Seria zamachów zmieniła drastycznie klimat polityczny w kraju. Korupcja na szczytach władzy przestała być istotna, ważniejsza była narodowa solidarność w obliczu zagrożenia terroryzmem. W telewizji pokazał się premier Putin, twardy i zdecydowany, jakże inny od Jelcyna, gdy obiecywał rodakom: „Zniszczymy terrorystów, choćby się schowali w kiblu, tam też ich dopadniemy!". 30 września 1999 roku wojska rosyjskie wkroczyły do Czeczenii, a dzięki poparciu kontrolowanej przez Bieriezowskiego największej telewizji ORT, niemal nieznany premier w parę miesięcy zaczął w sondażach osiągać 50 proc. popularności. Media Bieriezowskiego pomogły też wygrać wybory do Dumy blokowi popierającemu rząd. Zaraz potem, 31 grudnia 1999 roku, Jelcyn zrezygnował ze stanowiska prezydenta, na pół roku przed końcem kadencji. To też nie był przypadek. To był pośpiech. Normalnie wybory odbyłyby się dopiero w lipcu 2000 roku. Dzięki skróceniu kadencji Jelcyna Putin został pełnoprawną głową państwa 26 marca 2000 roku. ■

eprasa.pl dfaed9b77b

Rawa Blues

RAWA BLUES FESTIVAL 39 EDYCJA

THE WORLD'S BIGGEST INDOOR BLUES FESTIVAL

NOSPR 11.10.2019 GODZ. 19.30

RICK ESTRIN & THE NIGHTCATS
IREK DUDEK

SPODEK 12.10.2019

JAMES BLOOD ULMER
MEMPHIS BLOOD BLUES BAND FEAT.
VERNON REID

VICTOR WAINWRIGHT
& THE TRAIN

THE DANIEL CASTRO BAND

LINDSAY BEAVER

HANNAH WICKLUND
& THE STEPPIN' STONES

CHRISTINE & THE BLUE DRAGS ★ WILLIE MAE UNIT
BLACKBERRY BROTHERS ★ BLUES JUNKERS

SCENA GŁÓWNA OD GODZ. 15.00

Adam Zalewski Trio, Magda Hanausek, Lublin Street Band, Roxana Tutaj & Good Omen
Black Job, Blues Menu, Diapositive, Silesian Hammond Group, Tipsy Drivers, The Storks

SCENA BOCZNA OD GODZ. 11.00

Prowadzenie koncertów: Piotr Baron, Jan Chojnacki i Marek Jakubowski

info: www.rawablues.com bilety:www.ticketmaster.pl

KATOWICE
KATOWICE UNESCO
Jedynka Polskie Radio · Trójka Polskie Radio · TVP3 Katowice · NOSPR · Novotel · Business Consulting · Gazeta Polska · Gazeta Polska Wydanie Śląskie · Nowe Państwo · Republika · Blues Blues · jazz forum · Polskie Radio Katowice · eM · onet
eprasa.pl dfacd9b77b

Hanna Shen

Z waszą kulturą i tradycją komunizm nie miał szans

Moja wizyta w Polsce to była trochę podróż śladami Jana Pawła II, trochę „Solidarności". Byłam w Krakowie. Odwiedziłam też Auschwitz. Jednak to, co wywarło na mnie największe wrażenie, to wasze kościoły. Za każdym razem, gdy wstępowałam do jednej z tych wspaniałych świątyń, myślałam: „Boże, nic dziwnego, że komunizm nie miał tu szans. Z tą kulturą, tradycją komunizm nie mógł rywalizować" – z **Sashą Gong** rozmawia **Hanna Shen**.

eprasa.pl dfaed9b77b

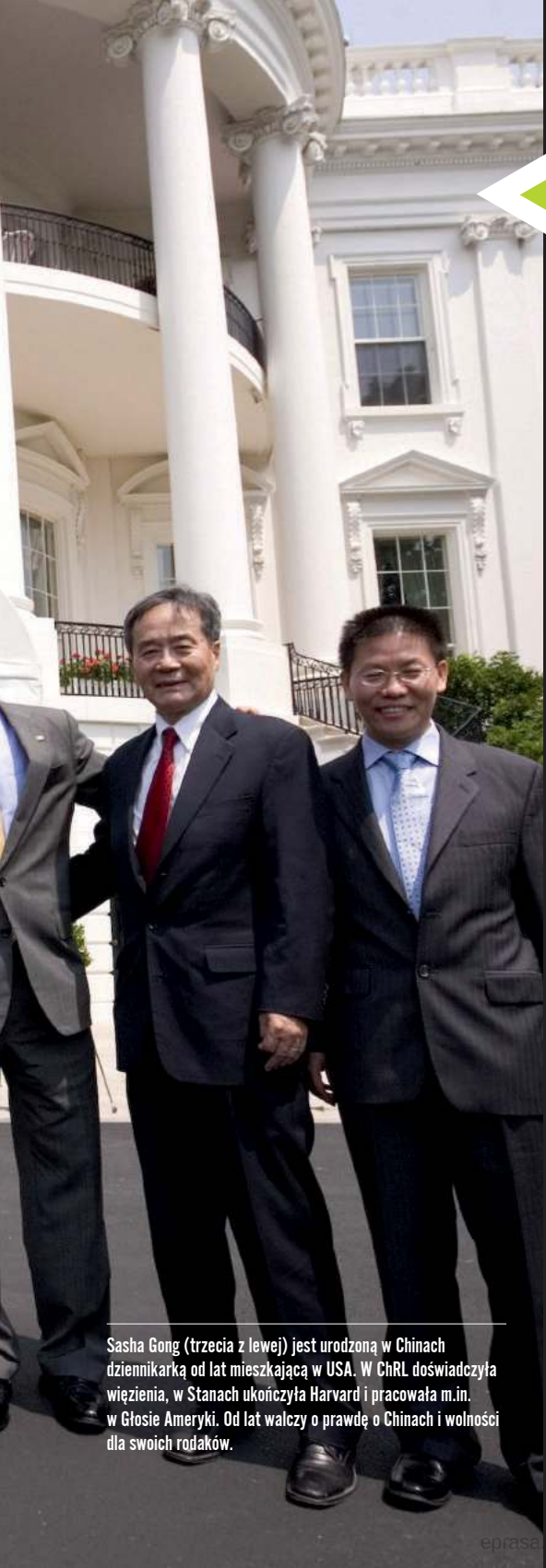

Sasha Gong (trzecia z lewej) jest urodzoną w Chinach dziennikarką od lat mieszkającą w USA. W ChRL doświadczyła więzienia, w Stanach ukończyła Harvard i pracowała m.in. w Głosie Ameryki. Od lat walczy o prawdę o Chinach i wolności dla swoich rodaków.

fot. ERIC DRAPER / HO/PAP/EPA

Chciałabym zacząć od tego, co niedawno wydarzyło się w Pani życiu, a co pokazało, jak mocne są chińskie wpływy na Zachodzie. Kierowała Pani chińskim odziałem Głosu Ameryki (VOA). Przeprowadziła Pani wywiad z Guo Wenguiem, chińskim miliarderem przebywającym na wygnaniu w USA. Rozmowa w trakcie nadawania została zatrzymana, a Panią zwolniono z VOA. Co się tak naprawdę stało?

Guo Wengui* wyjechał z Chin w 2014 i w 2017 roku zdecydował się zdemaskować działania władz ChRL. VOA skontaktowało się z nim, a Guo poprosił, abym to ja przeprowadziła wywiad, bo cieszę się trochę „złą sławą" w Chinach. I tak też się stało. Ustaliliśmy, że będzie to trzygodzinna rozmowa – godzinna w telewizji i dwugodzinna w mediach społecznościowych, w których teraz dużo się dzieje. 14 kwietnia 2017 roku opublikowaliśmy materiał promujący wywiad, a rozmawiać mieliśmy 19. Tak więc 14 kwietnia świat dowiedział się, że będzie taki wywiad. Tymczasem w poniedziałek rano (16 kwietnia) chińska bezpieka rozesłała nakaz aresztowania Guo. W południe chiński MSZ wezwał do siebie pekińskiego korespondenta VOA i zagroził konsekwencjami. Dokładny cytat z wypowiedzi chińskiego urzędnika brzmiał: „Jeżeli przeprowadzicie wywiad z Guo, to będzie to ingerencja w wewnętrzne sprawy Chin i zakłóci to także XIX Zjazd KPCh". To wydarzyło się na dwa dni przed wywiadem. Nigdy wcześniej coś takiego nie miało miejsca. W VOA przeprowadzaliśmy wiele wywiadów, na przykład z dysydentami, ale nigdy nie otrzymaliśmy tak wyraźnych gróźb z Chin. Chińczycy zagrozili VOA, że anulują wizy dla dwóch pracowników stacji w Pekinie. Byłam już wtedy w drodze na wywiad w Nowym Jorku. Skontaktowałam się z głównym biurem VOA. Ja i kilka innych osób uważaliśmy, że skoro Chińczycy zareagowali w taki sposób, to wywiad musi się odbyć. Następnego dnia ambasada ChRL w USA dzwoniła do VOA wielokrotnie od samego rana. W końcu kierownictwo VOA oddzwoniło do placówki, ale nie wiem, o czym rozmawiali. Po tym moi zwierzchnicy zadzwonili do mnie do Nowego Jorku i kazali mi odwołać wywiad. Odpowiedziałam, że w żadnym wypadku i że nie możemy tego zrobić tylko dlatego, iż Chińczycy nam grożą. Usłyszałam, że musimy prezentować wyważony punkt widzenia. Odrzekłam, że Chińczycy od dwóch lat atakują Guo Wenguia. Chińskie media, tuby chińskiej propagandy mówią o nim tak dużo, a dlaczego my nie możemy przeprowadzić z nim tylko jednego wywiadu? Mimo to nalegano na odwołanie rozmowy, ale ja powiedziałam „nie". Dla mnie było jasne, że w tym momencie, wobec gróźb ze strony rządu Chin, nie możemy się wycofać. Dzień przed wywiadem, wieczorem,

* O Guo Wenguiu pisałam w „Nowym Państwie" w artykule „Kogo boi się komunistyczna partia Chin".

eprasa.pl/dfaed9b77b

Chiny wydały poprzez Interpol** tzw. Red Notice*** dotyczący Guo Wenguia.

Następnego dnia udaliśmy się na wywiad. Po około godzinie i 15 minutach rozmowy, gdy Guo opisywał z detalami m.in. stopień korupcji w Chinach, kierownictwo VOA nakazało wstrzymać wywiad. Fizycznie kazali wyrwać kable ze sprzętu. Ale i tak musieliśmy skończyć rozmowę. Była to bardzo wyraźna chińska interwencja w działania amerykańskiej rozgłośni rządowej. Nawiasem mówiąc, mąż Amandy Bennett****, szefowej VOA, prowadzi interesy w Chinach o wartości setki milionów dolarów, więc rozumiem, dlaczego tak się bali. W każdym razie trzeba to odnotować.

Rozpoczęła się moja walka z kierownictwem VOA. I dotyczyło to nie tylko mnie. Razem ze mną czterech innych pracowników stacji zostało odesłanych na przymusowy urlop i próbowano nas zwolnić. Mimo że liczne śledztwa w tej sprawie wykazały, że nie było żadnego pisemnego polecenia wstrzymania wywiadu, a my mieliśmy dokumenty wskazujące, że była zgoda na trzygodzinny wywiad, to kierownictwo stacji obstawało, że wykazaliśmy się niesubordynacją. W końcu ja i dwóch moich współpracowników zostaliśmy zwolnieni.

▶ To bardzo niepokojące. W czasach komunizmu w Polsce Głos Ameryki był ważnym źródłem informacji dla Polaków. Takim powiewem wolności. Pamiętam mojego Tatę słuchającego tych wiadomości, co było nielegalne. A teraz wydaje się, że to, czego nie zniszczyli Sowieci, niszczą chińscy komuniści – zabijają wolność słowa na Zachodzie.

Tak. Zaczęłam słuchać Głosu Ameryki, gdy miałam 15 lat. Później m.in. z tego powodu wylądowałam na rok w więzieniu. Przesłuchujący spytał mnie, czy słuchałam jakiegoś radia, a ja odpowiedziałam, że VOA. Wtedy nie mogłam nawet przypuszczać, że kiedyś przyjdzie mi pracować dla tej rozgłośni. Tak więc VOA było ważne i bliskie memu sercu.

Chińczycy „kupują sobie" wiele zachodnich instytucji, na przykład na Wall Street, wiele mediów, ośrodków akademickich, więc dotyczy to nie tylko VOA. Komuniści kupują ich przychylność za pieniądze, które zabrali swoim obywatelom. Teraz na świecie jest głośno o Nowym Jedwabnym Szlaku, wszędzie widać chińskie inwestycje – to narzędzie do wywierania wpływu po to, by zniszczyć nasze wolności. Czy w przypadku Głosu Ameryki w latach 70., 80. ktoś, kto prowadził olbrzymi biznes w ZSRS, mógł kierować tą stacją? Oczywiście że nie. Ale teraz dyrektor VOA ma milionowy biznes w Chinach.

▶ Kontynuujmy temat mediów, ale tym razem tych chińskich. W Polsce informacje, jakie mamy na temat Chin, często pochodzą z tamtejszych tub państwowych. Są nawet porozumienia o współpracy między mediami publicznymi w Polsce a chińskimi. Jak bardzo są one kontrolowane przez KPCh i jak bardzo skorumpowane?

W 100 procentach. Gdybym mogła powiedzieć, że w 1000 procentach, to oddałoby sytuację. W Polsce od 30 lat cieszycie się wolnością, ale przypomnijcie sobie, jak było wcześniej. Wszystko, co pochodzi z rządowych tub, jest co najmniej „zanieczyszczone", jeśli nie nieprawdziwe. Od początków ery globalizacji Chińczycy nauczyli się wiele, na przykład serwowania światu tzw. półprawd. Wiedzą, jak w mediach tuszować swoje kłamstwa.

Cechą charakterystyczną dla USA, ale i innych zachodnich demokracji, jest to, że nie umiemy się promować, krytykujemy się, zmuszamy do ciągłych przemyśleń na nowo. Chiny za pomocą propagandy promują siebie i swoje „wartości". I to jest główna różnica pomiędzy mediami na Zachodzie i w Chinach. Chińskie media mówią za władzę. Zachodnie – podają w wątpliwość działania władz. I stąd też mamy taki brak zrównoważenia w sferze mediów.

▶ Jestem w trakcie lektury Pani książki „Born American – A Chinese Woman's Dream of Liberty". W materiale promującym tę pozycję znalazła się Pani wypowiedź o tym, że bycie obywatelką USA pozwoliło Pani stać się bardziej Chinką, że im bardziej jest Pani Amerykanką, tym dumniejsza jest Pani ze swojego chińskiego dziedzictwa. Jak to rozumieć?

Myślę, że to jest prawdziwe stwierdzenie dla wszystkich imigrantów w USA, bo Ameryka to wolny kraj. W wolnym państwie możesz rozwinąć najlepsze cechy swojego charakteru. Jestem Chinką i moja rodzina, moje dziedzictwo, jasne strony tej spuścizny zawsze uczyły mnie, jak być dobrym człowiekiem, jak szanować innych, jak służyć społeczeństwu. A w komunizmie to nie jest możliwe, ponieważ jesteś zmuszona, by służyć władzy. Nie możesz w pełni służyć swojej społeczności. W USA mam wielu chińskich i amerykańskich przyjaciół. Czuję się wolna – mogę być i chińska, i amerykańska. W USA jako kraju imigrantów pozwalamy przybyszom na bycie „bardziej sobą".

▶ W Polsce od tzw. ekspertów do spraw Chin możemy czasem usłyszeć, że skoro w ChRL ludzie nigdy nie

** Szefem Interpolu był wtedy Meng Hongwei, członek KPCh i były wiceminister bezpieczeństwa publicznego ChRL.

*** List gończy wydawany w celu aresztowania i ekstradycji.

**** Mężem Bennett jest Donald Graham, syn Katherine Graham, która kierowała należącą do rodziny gazetą „The Washington Post" przez ponad dwie dekady, włącznie z najsławniejszym okresem afery Watergate.

eprasa.pl dfaed9b77b

zasmakowali demokracji, prawdziwych wolności, to te wolności, demokracja, prawa człowieka – nie są dla nich. Gdyby je mieli, to pewnie skończyłoby się to jakimś chaosem. Jak Pani na to reaguje?

Ci eksperci są w błędzie. Takie stwierdzenia nie są nawet warte dyskusji. Bo to tak jak byśmy rozmawiali o jedzeniu. Wyobraźmy sobie – głoduję w pewnym okresie życia (doświadczyłam tego, wychowując się w Chinach), będę wtedy jadła cokolwiek, nawet okropne jedzenie, ale to przecież nie znaczy, że tylko na to zasługuję. Głęboko w naszych sercach każdy pragnie wolności. Uważam, że rodzimy się wolni i zdarza się, iż czasami musimy znosić dyktaturę. I każdy, kto zasmakuje wolności, nigdy już nie będzie chciał powrócić do poprzedniego stanu, do niewolnictwa. To trochę jakby stwierdzić, że ludzie w Afryce lubią niewolnictwo.

▶ Porozmawiajmy o Trumpie i jego polityce wobec Chin. Wydaje się, że prezydent USA spowodował, iż coraz więcej mówimy o niesprawiedliwym handlu – dotyczy to także Polski, bo mamy duży i cały czas rosnący deficyt w handlu z Chinami. Zauważamy zagrożenia na przykład ze strony instytutów Konfucjusza. Jaka jest Pani ocena polityki prezydenta Trumpa wobec Chin?

Dla mnie prezydent Trump jest bohaterem. Osobiście niespecjalnie lubię jego styl, ale to inna sprawa. To mój prezydent, mój bohater, ponieważ porusza kwestie, o których inni boją się wspomnieć. Tak jest także w temacie Chin. Każdy wie, że mamy do czynienia z niesprawiedliwym handlem, ale on funkcjonuje. W 2016 roku przeprowadzałam wywiady z wieloma przedstawicielami klasy robotniczej na temat ich poparcia dla Donalda Trumpa. Przeciętni Amerykanie doświadczyli na własnej skórze inwazji chińskiej państwowej gospodarki i jej siły. Natomiast ci, którzy na tym zarobili, którzy promują globalizację, ludzie z Wall Street, z Doliny Krzemowej – uwielbiali to. I to właśnie oni kontrolują dużą część mediów. Atakują Trumpa. Prezydent USA dzięki swojej odwadze podniósł te kwestie i teraz zmienia kurs.

Jestem pewna, że poprzez swoje agencje i media chińscy komuniści będą ingerować w wybory w 2020 roku, tak by Trump przegrał. Muszę przyznać, że jest jeszcze dużo ignorantów w USA, zwłaszcza w tzw. wyższych sferach, na przykład wśród naukowców. Wielu z nich przyjmuje zaproszenia od Chińczyków, którzy inwestują dużo w budowę instytutów Konfucjusza. Czasami myślę, że zachodni naukowcy zatracili swój instynkt.

▶ Inny projekt to wspomniany już Nowy Jedwabny Szlak. Polakom mówi się, że chodzi w nim tylko o współpracę gospodarczą. Strona chińska twierdzi, że oferuje korzyści na zasadzie „win-win".

Będę szczera – to chiński neokolonializm. Chińscy komuniści chcą w ten sposób skolonizować cały świat. Mała grupa w KPCh przejęła dużą część pieniędzy swoich obywateli i wykorzystuje je za granicą z zamiarem dokonywania w przyszłości eksploatacji krajów, które są w tej inicjatywie. Ludzie muszą zrozumieć, że nie możemy być zależni od dyktatury, bo zapłacimy za to wysoką cenę w przyszłości. Historia uczy nas, co się dzieje, gdy paktujemy z diabłem. Przegrywamy.

▶ Pomogła Pani w założeniu kantońskiej wersji Radia Wolna Azja, więc muszę wspomnieć o sytuacji Hongkongu. Niedawno szef polskiego MSZ w wywiadzie dla polskiej gazety „Rzeczpospolita"*** wyraził poparcie dla walczących o wolność w Hongkongu i dodał, że jego słowa mają nie tylko wymiar osobisty, lecz są też w interesie Polski.**

Mnie także cieszy ta wypowiedź. Po mojej podróży po Europie Środkowej – to była moja druga wizyta w tym regionie – bardzo mocno solidaryzuję się z jej mieszkańcami. Myślę, że się dobrze rozumiemy. Wiemy, czym jest komunistyczna dyktatura.

▶ W czasie niedawnej wizyty w Europie Środkowej była Pani w Polsce. Muszę zapytać o wrażenia.

To była trochę podróż śladami Jana Pawła II, trochę „Solidarności". Byłam w Krakowie. Odwiedziłam też Auschwitz. Potem były Warszawa, Poznań, Gdańsk. To, co wywarło na mnie największe wrażenie, to wasze kościoły. Za każdym razem, gdy wstępowałam do jednej z tych wspaniałych świątyń, myślałam: „Boże, nic dziwnego, że komunizm nie miał tu szans. Z tą kulturą, tradycją komunizm nie mógł rywalizować". Płakałam jak dziecko, gdy w Warszawie znalazłam się w miejscu, w którym Jan Pawel II wypowiedział te znamienne słowa: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!". W latach 70. byłam robotnicą w Chinach – pracowałam jako mechanik, a w latach 80. słyszałam o waszej „Solidarności". Polska „Solidarność" naprawdę przykuła naszą uwagę. Słyszałam także o poznańskim Czerwcu i podczas mojej wizyty bycie w tych miejscach, w których Polacy, polscy robotnicy walczyli o wolność, było dla mnie poruszającym przeżyciem. ■

***** „Czaputowicz solidaryzuje się z walką o wolność w Hongkongu i w Rosji", www.rp.pl

eprasa.pl dfaed9b77b

Świat poznany versus świat wciąż nieodkryty. Pejzaż oswojony versus to, co nowe, nieznane. A czasem wręcz dziwaczne. Na styku trzech latynoskich państw, otoczony nieprzejednaną zieloną selwą znajduje się skrawek świata, który wciąż czeka na odkrycie. Który zdaje się posiadać pradawną wiedzę sprzed lat. Setek milionów lat.

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Wehikuł czasu

Mamy pozwolenie! Szaman się zgodził! Jutro wyruszamy! – José wydaje się bardzo podekscytowany.

– To znaczy, że mamy zielone światło, tak?... – Mariusz jakby nadal nie dowierzał.

– Tak, otrzymaliśmy oficjalną zgodę, aby udać się na szczyt. W sumie mało kto teraz o nią pyta... – zawiesza na chwilę głos dwudziestokilkuletni Indianin. – Ale ja wolałem się upewnić. To zawsze wychodzi bardziej elegancko. A teraz idź i wyśpij się dobrze, Mario. Najbliższe trzy dni będą bolały...

Tej nocy Mariusz nie może długo zasnąć. W końcu przyjechał do Wenezueli specjalnie dla tego miejsca. Śnił o tych górach od dawna. Ich niebanalny charakter, baśniowe kształty sprawiły, że dał się złapać w pułapkę roztaczanego przez nie uroku. Jak zresztą każdy turysta, przed którym sprytny naganiacz biegający po ulicach 400-tysięcznego Ciudad Bolívar, otworzył mocno nadgryziony zębem czasu album ofert lokalnych biur podróży. Tam zaś wśród gamy ofert spływu nad deltę Orinoko do Indian Waraho czy podniebnego lotu nad największym wodospadem świata Salto Angel była także ta. Jedyna, na którą kilka dni temu ostatecznie skusił się sam Mariusz. Wiążąca się z kilkoma dniami zdrowego wysiłku. Z nieprzewidywalną aurą. Z ryzykiem braku zgody ze strony szamana na wejście. Wreszcie jednak: z nieprawdopodobnym wręcz dreszczykiem emocji.

Kto bowiem nie chciałby – choćby na kilka krótkich chwil – cofnąć się kilkaset tysięcy lat w przeszłość, by na kilkanaście godzin znaleźć się pośrodku prahistorycznej ciemnej dżungli? Tej, która pamięta skradające się w jej runie dinozaury. Tej, którą zdobią rośliny niespotykane gdziekolwiek na świecie. Kto?

To prawda. Wspinaczka przez botaniczny ogród prehistorii ma prawo kusić. I zwykle kusi skutecznie. Mariusz nie będzie wyjątkiem. Spróbuje wejść na płaskowyż, który stanowi dla archeologów i geologów bezcenne źródło wiedzy. Nadal nieodkrytej. Jutro ruszy na Roraimę.

▶ Trzej bracia, zwalone drzewo i szaman

O tym szczycie krąży wśród Indian nieprawdopodobna wręcz liczba legend. W zasadzie trudno się im dziwić. Skoro nasz rodzimy Giewont od lat kojarzył się wszystkim ze śpiącym rycerzem, który przebudzi się, gdy Ojczyzna znajdzie się w zagrożeniu, to trudno mieć pretensje do prostolinijnych Indian Pemón, że ci – widząc tak niepokojąco groźne obrysy pionowej Roraimy, często pokrytej gęstymi mgłami, u której podnóża kryje się tajemniczo stary las – stworzyli legendy o górze rozdzielającej dziś Wenezuelę od Gujany i Brazylii.

Większość ze słyszanych pod Roraimą opowieści dotyczy wielkiego drzewa, które przed wiekami miało stać dokładnie w tym miejscu. W jego koronie miały zaś ro-

aed9b77b

Obóz. Wciąż nisko. Wciąż blisko cywilizacji

snąć wszelakie owoce świata. Któregoś dnia drzewo miało zostać ścięte przez któregoś z bogów, a upadając, wywołało wielki potop. Inna wersja legendy opowiada o trzech braciach, którzy mieszkali na pograniczu dzisiejszej Wenezueli, Gujany i Brazylii. Jeden był mądry, drugi chciwy, trzeci zaś chciał zgody. Chciwcowi drzewo przeszkadzało w uprawie pola. Pragnął więc je ściąć, by zwiększyć swoje zyski ze żniw. Jego mądry brat nie chciał mu na to zezwolić. Trzeci z braci robił z kolei wszystko, aby pogodzić zwaśnioną dwójkę. Na próżno. Finalnie bowiem drzewo i tak zostało ścięte. Zwalony konar szybko zaczęła obrastać bujna selwa. Bardzo niebezpieczna, pełna jadowitych węży i insektów. Chciwy brat prędko rozpoczął prace, aby ujarzmić las i uprawiać tu ziemię. Zginął wkrótce po tym, jak zaczął.

Wersji powyższych legend usłyszymy na miejscu znacznie więcej. I tylko od miejscowego przewodnika zależy, którą z nich opowie grupie śmiałków decydujących się na wspinaczkę na Roraimę. Do czasu wenezuelskiego kryzysu liczba przewodników na świętą dla Indian Pemón górę rosła z roku na rok. Wiązało się to z coraz większą liczbą chętnych wybierających się w ten niezwykły zakątek ziemi. Ten sam, który zrobił tak piorunujące wrażenie na pisarzu Arthurze Conanie Doyle'u – zainspirowany nieznanym dotąd egzotycznym miejscem zdecydował się napisać „Zaginiony świat".

Ten świat rzeczywiście był zaginiony. Nie tylko ze względu na wspomnianą puszczę, której korzenie pamiętają prehistorię. Lecz także – a może przede wszystkim – ze względu na kształt samej Roraimy. To wielki granitowy klocek skalny. Jego kanciasty, sprawiający wrażenie niedostępnego kształt wprost rośnie w oczach wędrowców przemierzających w jego stronę płaską prerię.

Pewnie dlatego dla części Indian Pemón góra ta jest święta. Wierzą, że jest miejscem mistycznym: że to właśnie przez nią dusze zmarłych przedostają się do krainy wieczności. Dlatego tak ważne jest dla nich, aby przed wyruszeniem z turystami na jej szczyt zasięgnąć opinii szamana. Część bez tego w ogóle nie opuści domu.

▶ Początek

„Pobudka! Wstajemy!" – piskliwy nieco głos chodzącego po obozowisku José zwiastuje Mariuszowi, że według latynoskiego porządku wyprawy czas jego nocnego wypoczynku właśnie minął. Objuczeni w wysokie pakunki tragarze wydają się gotowi do wymarszu. Jeszcze tylko szybka poranna kawa i można wychodzić. Dziś przemarsz przez wenezuelską sawannę. „Nie będzie ciężko. W większości będziemy iść po płaskim" – José kładzie przyjaźnie rękę na ramieniu jednego z kompanów Mariusza. „To rozgrzewka. Będziemy iść spokojnie. Ważne, aby się nie spieszyć. Nie wyrywać do przodu".

I rzeczywiście. Tego dnia idzie się zupełnie przyjemnie. Jest czas na zrobienie zdjęcia. Na swobodną rozmowę. Tym bardziej że skotłowane mgły póki co nie odstępują znajdującej się na horyzoncie Roraimy. Dzięki czemu wędrujący przez 27-kilometrowy odcinek do indiańskiej wioseczki Paratepui de Roraima mogą do woli cieszyć się słońcem. Dopiero po dopełnieniu ostatnich formalności związanych z przekroczeniem granicy parku narodowego Canaima turyści mogą odczuć, że zaczyna się ich prawdziwa przygoda.

Nie inaczej czuje Mariusz. Widzi wyraźnie, że monotonny do tej pory pejzaż powoli coraz bardziej staje się pofałdowany. Zaczynają się pierwsze podejścia. Po

eprasa.pl dfaed9b77b

Przeprawa przez Rio Kukenan to dla niejednego punkt sprawdzający. Część zawróci, by oczekiwać znajomych w bazie na dole

chwili zejścia. Potem znów delikatne podejście. Delikatne, acz znacznie bardziej uporczywe od tego poprzedniego. I zaraz po nim znów zejście. Rozgrzewka wkracza w decydującą fazę. Mariusz przystaje, by przyłożyć oko do soczewki aparatu. To pierwszy raz, gdy wędrowcom tak pięknie pokazała się zasnuta chmurami Roraima. A wraz z nią jej siostra bliźniaczka – znajdująca się cztery kilometry na północ góra Kukenan. Odtąd obie będą bacznie obserwować, jacy to śmiałkowie wyprawili się ku nim. Przed Mariuszem decydujące dni.

Dinozaur i nieznana cywilizacja

– Jesteśmy na miejscu – prowadzący turystów José jako pierwszy zdejmuje ciężar z ramion. Pot ścieka mu z czoła. Widać, że deszczowy las jest już bardzo blisko. Wilgotność powietrza mocno wzrosła. – Oto Rio Tok. Tutaj przenocujemy.

Obóz, z którego korzystają praktycznie wszystkie wyprawy na Roraimę, ulokowany jest mniej więcej pośrodku całej trasy.

– Jak wysoko jesteśmy? – pyta nieco zmęczony marszem Mariusz.

– Tysiąc sto – odpowiada, nie patrząc na pytającego José. Jest już pochłonięty rozbijaniem kuchni. Przed nim oraz przed jego pomocnikami kolejna część pracowitego dnia. Trzeba przyrządzić kolację. Co przy coraz bardziej natarczywych komarach nie będzie wcale łatwym zadaniem.

– A ile jeszcze mamy stąd do szczytu Roraimy? – dopytuje Mariusz, zrzuciwszy na ziemię swój kilkunastokilogramowy plecak.

– Stąd? Jak dobrze pójdzie, dwa dni wspinaczki.

Mariuszowi taka odpowiedź w zupełności wystarcza. Grzejąc się przy wieczornym ognisku, w milczeniu wpatruje się w płomień. To obecnie jedyne źródło światła. Księżyc, jeśli nawet gdzieś tam jest, został skutecznie przykryty szczelnym kordonem chmur. Oto widoczny efekt świadczący o bliskości celu, do którego dążą wszyscy zgromadzeni dziś przy ogniu. Zachmurzona Roraima jest tuż-tuż...

– Niektórzy są zdania, że Roraima nie jest naturalną górą – zaczyna powoli swą opowieść José.

– Jak to? – podchwytuje absurdalną hipotezę jeden z siedzących w ogniskowym kręgu.

– To tylko teoria, spokojnie... – uśmiecha się José. – Ale uznałem, że i tę wersję wam opowiem.

– Skoro więc nie jest naturalną górą, to czym? – spogląda pytająco w stronę José milczący do tej pory Mariusz.

– Pozostałością po zamieszkałej w tym miejscu nieznanej nam cywilizacji.

Czytając o takich teoriach w przytulnym mieszkanku czy może gdzieś w ciepłym zakątku domu trudno dać im wiarę. I zupełnie słusznie. Jednak w sytuacji, gdy opowiadającemu przy ognisku młodemu indiańskiemu przewodnikowi „towarzyszy" w tle skalny kolos, niemal pionowo wznoszący się w niebo, sprawiający wrażenie, że oto jakiś nieprawdopodobny olbrzym postanowił dosiąść się do ciepłego ogniska... I gdy całej opowieści towarzyszy coraz bardziej intensywny szmer dżungli. Szmer pełen cykad, obfitujący w głuche pomruku, w piskliwy jazgot małp... Wówczas nawet tak absurdalne zdawać by się mogło hipotezy zaczynają brzmieć ociupinkę bardziej sensownie.

eprasa.pl dfaed9b77b

Szczyt Roraimy może niektórych zawieść. To krajobraz iście księżycowy. Jak to w zaginionyn świecie

Tutaj, w lesie pod Roraimą tajemniczy zaginiony świat znany z kart powieści Arthura Conana Doyle'a naprawdę zdaje się ożywać. I czasem można odnieść wrażenie, że gdyby José zaczął teraz mówić o ukrywającym się za nieodległym zagajnikiem mięsożernym welociraptorze, niejedna osoba z siedzących przy ognisku zaczęłaby się poważnie zastanawiać, czy to przypadkiem nie prawda. W takim lesie przecież wszystko jest możliwe.

Nie wszyscy przeszli

Kamieniste brzegi tajemniczej rzeki łączy ciemnożółta lina. W niektórych jej miejscach widać sporej wielkości węzły. To prowizoryczna przeprawa przez Rio Kukenan. Bystry nurt zdradzają wynurzające się raz po raz obłe głazy i kamienie. Huk wody atakuje zmysły. Zwłaszcza te najmniej zdecydowane na rzeczną przeprawę.

– Mamy teraz wpław pokonywać ten potok? – idący z tyłu pochodu chłopak nie bardzo jest przekonany co do szykującej się perspektywy.

– Jeśli chcesz dojść do Roraimy, to jedyna droga. Zawsze można się cofnąć. To najlepszy moment – tym razem na twarzy José próżno szukać tak często goszczącego tam uśmiechu. Dobrze wie, z jaką odpowiedzialnością wiąże się nadchodząca przeprawa.

– Naprawdę nie zbudowano tu nigdzie jakiegokolwiek mostu? – dopytuje mężczyzna.

– Jak sam widzisz, nie zbudowano – José już nie spogląda nawet na pytającego. Zdjąwszy niesiony przez siebie pakunek, zaczyna go zabezpieczać przed ewentualną wodą. – Panowie, to naprawdę nic trudnego. Trzymamy się mocno liny i krok po kroku pokonujemy rzekę. Zajmie nam to niecałą minutę.

– A ten krzyż tam? – Mariusz trzyma się już obiema rękami liny, gdy dostrzega na jednym ze zboczy rzeki niewielki drewniany krzyż.

– To pamiątka.

– Po kim?

– Po jednym z nas. Nasz kolega, przewodnik, zginął tu w 2009 roku. Grupa, którą prowadził, napotkała pod Roraimą bardzo silne ulewy. Rzeka była wezbrana. Biedak chciał sprawdzić, czy da radę sforsować Rio Kukenan. Woda okazała się zbyt silna...

Zaginiony las

W obozie Base panuje cisza. Ludzie są naprawdę zmęczeni. I nie chodzi tu tylko o sforsowanie rzeki, które to zadanie rzeczywiście nie okazało się takie trudne. Cel wykonany. Zdali wszyscy. Teraz jednak milczą. Dlaczego? Znajdujący się na wysokości 1800 m n.p.m. Campamento Base to zarazem bardzo dobry punkt widokowy na tzw. Rampę. Czyli na pionową ścieżynkę, która prowadzi na skaliste tepui. To jedyna droga na szczyt Roraimy. To pierwszy raz, gdy uczestnicy wyprawy widzą, na co tak naprawdę się porwali. Z obozowej perspektywy Rampa jawi się jako droga nie do sforsowania. Wąska nitka rośnie w oczach i w pewnej chwili przybiera postać niemal pionowo wspinającej się po skałach kreski.

Campamento Base to też przywitanie z prehistorycznym lasem. Z egzotycznymi roślinami, których nie zna żaden inny zakątek Ziemi. Gigantyczne zielone kule, długie liany, porastający wszystko mech. To jest ów wehikuł czasu, do którego na własne ryzyko weszli uczestnicy wyprawy na Roraimę.

eprasa.pl dfaed9b77b

Na płaskim szczycie Roraimy stykają się granice trzech państw: Wenezueli, Brazylii i Gujany

Tego lasu nie da się opowiedzieć. Mistyczne mgły, dziwaczne rośliny, tajemniczy pomruk. Gęstwina puszczy, kolorowe kwiaty, liście-olbrzymy. Głębokie doliny raz po raz przecinane kolejnym potokiem. I sporadycznie ukazująca się wspinającym się górna krawędź płaskowyżu Roraima. Tajemniczy las jakby wskazywał drogę. Jakby szeptał, że tam wyżej też będzie tajemniczo. Jakby chciał nastroić wrażliwe zmysły piechurów na nadchodzące piękno. Które już coraz bliżej.

Świeże odkrycia

Płaski szczyt Roraimy ma prawo rozczarować. Zwłaszcza tych, którzy nastawiali się na typowo górski pejzaż. Ten bowiem górski nie jest. Raczej księżycowy. Poprzewalane wszędzie skały i głazy. Popękane szczeliny. Skalne ostańce. Oto kolejna twarz zaginionego świata. Niczym gotowa scena z wszystkimi potrzebnymi rekwizytami do kręcenia kolejnej części filmu o świecie sprzed milinów lat. Dodatkowe rozczarowanie to mgła i chmury. Tak często towarzyszące górnej partii Roraimy.

„Chodźcie, pokażę wam punkt graniczny" – widząc chwilowy entuzjazm u grupy, José próbuje go raz jeszcze wykorzystać. „To niedaleko". Rzeczywiście. Jest. Biały pomnik w kształcie wąskiego trzyściennego graniastosłupa. Z napisami na każdej ze ścian: Venezuela, Brasil, Guyana. Jedna z najtrudniej dostępnych granicznych krzyżówek świata. Na dalekim latynoskim lądzie. Pomiędzy zaginionym światem a tym odkrytym.

Odkryte od niedawna są także jaskinie. Cueva de los Pemones oraz Cueva Ojos de Cristal znalazły się na speleologicznych mapach Wenezueli dopiero w 2003 roku. Zadając jednocześnie kłam dotychczasowej teorii głoszącej, że tepui Roraima pozbawiona jest jaskiniowych korytarzy. Pomyłka okazała się dość gruba. Bo jaskinie nie tylko są, lecz, co więcej, jedna z nich (chodzi o Cueva Ojos de Cristal) ze swoimi 11 kilometrami długości korytarzy należy do grona najgłębszych jaskiń świata (najgłębszy punkt jaskini znajduje się 72 metry pod płaskim wierzchołkiem Roraimy).

Bo ten zakątek świata nadal zaskakuje. Jakby zapraszając do siebie kolejnych śmiałków. Eksploratorów. Ludzi, którym mało. Którzy pragną nowego. Dla nich wszystkich zagadkowy świat Roraimy może okazać się prawdziwą gratką. Kto bowiem da gwarancje, że odkryte 16 lat temu jaskinie to koniec odkryć?

Zielony dywan

Świat Roraimy naprawdę jest zjawiskowy. Jakiś nienaturalny. Jeszcze nieoswojony. Trudno się więc dziwić, że kusi. Oglądany w tej chwili przez Mariusza ze szczytu jawi się na wskroś egzotycznie. Zielona selwa, z którą jeszcze przed kilkoma godzinami tak skutecznie walczył, teraz zdaje się wyglądać niczym dobrze pocerowany dywan. Miękki, z licznymi fałdami. Tutaj, z góry, z perspektywy krawędzi wielkiego skalnego klocka, jest już jakby mniej groźna. Tutaj nie zaszkodzi nam żadna nieznana botanicznemu światkowi roślina. No i tutaj nie dostanie się żaden dinozaur. Wąska i stroma Rampa będzie dla nich wystarczającą barierą. Natomiast wyglądanie chowającego się gdzieś pod nami w zielonym dywanie dinozaurowego łba to już zadanie zupełnie inspirujące i dość przyjemne. Zwłaszcza przy smacznej herbatce z termosu. Mariusz niósł go tutaj specjalnie dla tej chwili. Teraz nadeszła. Jest w innym świecie. Zaginionym. Pora odetchnąć. ■

eprasa.pl dfaed9b77b

Olga Doleśniak-Harczuk

Republika Zielonych Niemiec

Tak się ostatnio złożyło, że sporo rozmów w moim najbliższym otoczeniu dotyczyło tego, na ile zielone jest niemieckie społeczeństwo. Koleżanka z Hamburga dumnie pokazywała nowo nabyte wegańskie klapki typu flip-flop i kolekcję koszulek ze znaczkiem „fair trade", a kilkuletnie dziecko znajomej zaczęło odmawiać jedzenia na wieść o tym, że ziemia płacze, klimat cierpi i wszystko zmierza ku rychłej katastrofie ekologicznej.

eprasa.pl dfaed9b77b

Jak bardzo zieloni są Niemcy? Ostatni sukces niemieckiej Partii Zielonych w wyborach do Parlamentu Europejskiego zaskoczył nawet samych jej członków. Patrząc zupełnie uczciwie na niemiecką scenę polityczną, zielone postulaty i pomysły na ulepszenie świata i tak od lat należą do repertuaru CDU. Zieloni nie wnoszą nic świeżego, ich sukces wyborczy był fenomenem samym w sobie i nie sposób odczytać go inaczej niż efekt znużenia duopolem CDU-SPD, ale już nie programami tych partii ani ich przełożeniem na język czynów. Transformacja energetyczna, sortowanie śmieci, kaucja na plastikowe butelki, popularyzacja zrównoważonego rozwoju (słowo wytrych, wszystko może być zrównoważone), szerzenie świadomego stylu życia przyjaznego planecie – każdy z tych punktów wszedł do niemieckiego krwiobiegu dzięki chadekom. Owszem, inspiracja była zielona, ale wykonanie czarne jak literki CDU.

Wymieńmy się dla dobra ziemi

Tak się ostatnio złożyło, że sporo rozmów w moich najbliższym otoczeniu dotyczyło tego, na ile zielone jest niemieckie społeczeństwo. Kilkuletnie dziecko znajomej zaczęło odmawiać jedzenia na wieść o tym, że ziemia płacze, klimat cierpi i wszystko zmierza ku rychłej katastrofie ekologicznej. Malec nie mógł dojść do siebie. Przetłumaczenie mu, że głodząc się wcale nie uratuje ziemi, zajęło dorosłym trochę czasu. Inni znajomi opowiadali o modzie na wymienianie się ubraniami za pośrednictwem specjalnych portali internetowych. Tego typu wymiana przenika też z wirtualnej do realnej rzeczywistości. Pikniki, podczas których spożywa się wegańskie brunche, rozprawia o postulatach klimatycznych młodzieży spod szyldu „Fridays for Future" i wymienia znoszonymi koszulkami, weszły w krew większym miastom. Nie bez przyczyny start-upy apelujące do zielonego sumienia Niemców mają się w państwie Angeli Merkel coraz lepiej. Platformy wymiany używanej odzieży mogą bowiem liczyć nie tylko na rzesze fanów, czyli klientów, lecz także na ogromne dotacje. Wystarczy, że w nazwie firmy pojawi się magiczne hasło „zrównoważony rozwój", które działa jak magnes i immunitet w jednym, i jest tym samym gwarancją sukcesu. A już ideałem jest jakiś raport udowadniający słuszność danej inicjatywy, na przykład tego, że dzięki transakcjom dokonanym na tym czy innym portalu świat zaoszczędził miliardy litrów wody, które wykorzystano by inaczej do produkcji koszulek, dżinsów i innych gadżetów. Z takim raportem nikt nie dyskutuje. Wszystko, co pomaga zaoszczędzić wodę, jest słuszne. A czy faktycznie pomaga? O ile spadła produkcja T-shirtów w Indiach czy Bangladeszu tylko dlatego, że berlińczycy wymieniają się swoimi koszulkami w parku, grillując sojowe kiełbaski? A kto to sprawdzi?

Podatek od mięsa

Pod koniec lipca tego roku Towarzystwo Ochrony Zwierząt zaproponowało wprowadzenie w Niemczech podatku od mięsa, co miałoby w praktyce oznaczać podwyższenie VAT-u na mięso z aktualnie obowiązujących 7 do 19 proc. Mięso w Niemczech jest za tanie – brzmiał argument. Tak, jest tanie. W dyskontach i supermarketach. Ponieważ pochodzi z masowej produkcji. Podobnie jak tani jest chleb podpieczony na miejscu z burej masy, w której zgodnie z prawem można zmieścić nawet 20 różnych substancji, i jak bułki wypiekane z ciasta made in China. Chrupiące i gorące, uwielbiane przez klientów, puste w środku i konsystencją przypominające rozmiękczony pumeks. Kilka lat temu w Niemczech media wzięły pod lupę pieczywo z domieszką ludzkich włosów. W Chinach to norma. Włosy są skupywane od salonów fryzjerskich i przerabiane na substancję spulchniająco-wygładzającą dodawaną następnie do masy piekarniczej. Od 2013 roku w Europie panuje zakaz produkcji i sprzedaży pieczywa z takim keratynowym bonusem, ale przez pewien czas w Niemczech krążyły opowieści o świńskiej szczecinie dodawanej do chleba. Muzułmanie zrobili nawet własne śledztwo. Zresztą nie przypadkiem wyznawcy islamu prowadzą w Niemczech liczne sklepy spożywcze, dzięki temu wiedzą, co jedzą. Mięso jest droższe niż w niemieckich supermarketach, ale pochodzi z pewnych źródeł (i jest halal, ale to już innym razem), pieczywo wypiekane na miejscu w certyfikowanych islamskich piekarniach zawiera tylko podstawowe składniki, a produkty mleczne są po prostu smaczniejsze od tych niemieckich. Jakkolwiek by oceniać politykę imigracyjną Niemiec... pod względem kulinarnym doznali faktycznego ubogacenia.

Powrót do normalności

Wracając do podatku od mięsa, wpływy uzyskane tym sposobem miały zostać zainwestowane w polepszenie losu zwierząt hodowlanych i podniesienie standardów w oborach. Nic z tego. W Niemczech nie istnieje pojęcie wpływów z podatku przypisanych do konkretnych przedsięwzięć. Nawet podatek solidarnościowy nie służył wyłącznie wyrównaniu szans we wschodnich i zachodnich landach. Poza tym może zejdźmy z tego szczytu hipokryzji, skoro latami niszczy się tradycyjne rolnictwo, zastępując je przemysłowym, kiedy małe sklepy znikają pod nawałem dyskontów, a głównym kryterium staje się cena, trzeba za to wszystko zapłacić. A powrót do normalności będzie słono kosztować. I tych zwariowanych na punkcie wegańskich klapek, i tych mocno stąpających po ziemi, którym do szczęścia wystarczy pajda chleba z masłem. Bez ulepszaczy, spulchniaczy i barwników. ■

eprasa.pl dfaed9b77b

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Tajwan

Opublikowany 1 sierpnia sondaż przeprowadzony przez tajwańską Radę ds. Chin Kontynentalnych (Mainland Affairs Council, MAC)[1] wskazuje, że przeważająca większość obywateli Tajwanu jest przeciwna rządom Chin kontynentalnych na wyspie.

Według wyników badania 88 proc. respondentów sprzeciwia się chińskiej propozycji „jednego kraju, dwóch systemów"[2] dla Tajwanu, a także krytycznie ocenia fakt, iż Pekin nie chce zrezygnować z presji militarnej wobec wyspy. Badanie wykazało również, że 80 proc. ankietowanych popiera demokrację na Tajwanie. Respondenci sprzeciwili się także ingerencji Chin w tajwańskie wybory.

W oświadczeniu wydanym po publikacji sondażu kierujący MAC Chiu Chui-cheng stwierdził, że: „Republika Chińska [na Tajwanie – przyp. H.S.] jest suwerennym państwem. Koncepcja »jeden kraj, dwa systemy« jest pełna kłamstw i złudzeń". Wcześniej w majowym komunikacie prasowym MAC stwierdził, że: „Rząd Tajwanu będzie stanowczo bronił suwerenności i demokracji narodu. Po raz kolejny ostrzegliśmy drugą stronę, aby nie oceniała błędnie opinii publicznej na Tajwanie ani całej sytuacji. Jedynym sposobem wspierania łagodnego rozwoju stosunków między krajami w Cieśninie Tajwańskiej jest powstrzymanie wrogiej wobec Tajwanu chińskiej prowokacji".

Inne badanie przeprowadzone na Tajwanie na początku sierpnia wykazało, że po ponad miesiącu protestów w Hongkongu przeciwko coraz większej ingerencji Pekinu, większość Tajwańczyków popiera wolność Hongkongu. Także tajwańska prezydent Tsai Ing-wen udzieliła poparcia dążącym do demokracji w Hongkongu.

Chiny

Księża z diecezji Mindong w chińskiej prowincji Fujian, którzy do niedawna sprawowali posługę w „Kościele podziemnym", zostali zmuszeni przez władze w Pekinie do odbycia specjalnego „patriotycznego przeszkolenia". Do udziału w kursie kapłani zostali zobowiązani w wyniku tajnego porozumienia, jakie Watykan zawarł w zeszłym roku z komunistycznymi władzami w Pekinie.

Materiały ujawnione po szkoleniach pokazują, że były one bardzo upolitycznione. Tylko raz przywołano podczas nich Ewangelię, a o Jezusie nie wspomniano w ogóle. Stwierdzono też, że kierując się „podstawowymi wartościami socjalizmu", księża winni rozwijać i pogłębiać miłość do ojczyzny i religii, krocząc szlakiem, który jest zgodny ze społeczeństwem socjalistycznym. Podczas szkolenia często mówiono o konieczności sinizacji Kościoła katolickiego. Terminu sinizacja religii po raz pierwszy użył przywódca Chin Xi Jinping w przemówieniu wygłoszonym w maju 2015 roku na spotkaniu z przedstawicielami Departamentu Zjednoczonego Frontu Pracy, jednej z agencji Komitetu Centralnego KPCh. Ma on oznaczać, że kościoły m.in. za pomocą symboli muszą dostosować się do „kultury i społeczeństwa chińskiego, będącego pod władzą komunistyczną".

Od tego czasu w ramach kampanii sinizacji religii burzone są kościoły, usuwane krzyże, aresztowani są wierni, wielu kapłanów nadal przebywa w więzieniach i obozach pracy, a niektórzy umierają w niejasnych okolicznościach. Sytuacji Kościoła katolickiego nie poprawiło zawarte przez papieża Franciszka porozumienie z Pekinem. Potwierdził to w wywiadzie dla portalu Church Militant w lipcu tego roku emerytowany arcybiskup Hongkongu kard. Joseph

[1] Rada ds. Chin Kontynentalnych to tajwański organ rządowy odpowiedzialny za planowanie, rozwój i wdrażanie polityki dotyczącej relacji Republiki Chińskiej na Tajwanie i Chińskiej Republiki Ludowej.

[2] Doktryna „jeden kraj, dwa systemy" obowiązuje w Hongkongu i Makao. Komunistyczny rząd w Pekinie proponuje podobną koncepcję zjednoczenia Tajwanowi.

eprasa.pl dfaed9b77b

Zen. „Z powodu tego tajnego porozumienia wydarzyło się naprawdę wiele. Sytuacja się pogorszyła. Przed zawarciem porozumienia istniał swego rodzaju kompromis w wielu kwestiach; na przykład Kościół podziemny mógł posiadać budynki kościelne, a podziemni księża – także ci w miastach – mogli odprawiać msze święte dla wiernych, nawet jeśli prawo tego zakazywało. Przez długi czas władze nie egzekwowały tych przepisów, teraz już egzekwują. Po zawarciu porozumienia prześladowania stały się dużo większe" – stwierdził hierarcha.

Pastor Bob Fu, założyciel China Aid zajmującej się promowaniem wolności religijnej w Chinach, także uważa, że sytuacja chrześcijan w Państwie Środka w tej chwili jest najgorsza od czasów rewolucji kulturalnej. Tak jak wtedy nie tylko niszczone są kościoły i usuwane krzyże, lecz także giną wierni.

▶ Nowy Jedwabny Szlak (NJS)

Na Forum Pasa i Szlaku w maju 2017 roku w Pekinie, na którym Polskę reprezentowała ówczesna premier Beata Szydło, prezydent Chin Xi Jinping zapewniał, że w rozwój Nowego Jedwabnego Szlaku[3] „wpleciona jest wizja zielonego rozwoju oraz sposobu życia i pracy, który jest niskoemisyjny i trwały". Podobne deklaracje dotyczące ekologiczności NJS chińscy politycy powtarzali wielokrotnie. Realia są jednak zupełnie odmienne.

W artykule pt. „Chiński plan Pasa i Szlaku niszczy świat" w sierpniowym wydaniu amerykańskiego czasopisma „National Interest" Sagatom Saha z wpływowego ośrodka badawczego w USA Council of Foreign Affairs pokazuje, że NJS jest zgubny dla środowiska, ponieważ m.in. większość finansowanych przez Chiny elektrowni węglowych budowanych za granicą wykorzystuje niskowydajną technologię węglową, która jednocześnie „wytwarza jedne z najwyższych emisji [gazów cieplarnianych – przyp. H.S.] z dowolnej formy wytwarzania energii".

W ponad jednej trzeciej krajów, w których projekty dotyczące elektrowni węglowych finansowane są przez chińskie banki, zwiększa się poziom emisji. „Oznacza to, że chińska pomoc zagraniczna powoduje, iż sektory energetyczne tych krajów emitują więcej dwutlenku węgla niż wcześniej" – czytamy w artykule w „National Interest".

Problemem są także zapory hydroelektryczne, które przynoszą szkody dla środowiska. „Chińskie projekty hydroelektryczne to ruina dla milionów rolników i rybaków".

Coraz częściej kraje, które zaangażowały się w projekty Nowego Jedwabnego Szlaku, wycofują się z nich.

W Kenii budowa chińskiego projektu energetycznego została wstrzymana na mocy orzeczenia sądowego wydanego we wrześniu 2018 roku, ponieważ organizacje zajmujące się ochroną środowiska alarmowały o zgubnych skutkach spalania węgla dla środowiska i zdrowia publicznego. W grudniu 2018 roku Pakistan postanowił zawiesić 1300-megawatowy projekt elektrowni węglowej, który został zaplanowany w ramach Chińsko-Pakistańskiego Korytarza Gospodarczego, sztandarowego projektu NJS. Rząd Pakistanu uznał, że „nadwyżka mocy wytwórczych została już zakontraktowana i więcej umów doprowadziłoby kraj do pułapki produkcyjnej".

W artykule z maja 2018 roku na łamach „Nature Sustainability" prof. William Laurance z Uniwersytetu Jamesa Cooka w Australii alarmował: „W ostatnich dwóch dekadach widziałem niezliczone przykłady agresywnego, a nawet drapieżnego wyzysku stosowanego przez chińskie firmy, szczególnie w krajach rozwijających się, o słabej kontroli środowiska naturalnego".

▶ Japonia

Japonia szuka sposobu na pozbycie się wody skażonej w wyniku katastrofy w elektrowni jądrowej Fukushima. Firma TEPCO, operator w tej elektrowni, twierdzi, że w ciągu trzech lat zabraknie miejsca do przechowywania skażonej wody. Tokio rozważa więc zrzut 1,15 mln jej ton do Oceanu Spokojnego. Wywołuje to sprzeciw sąsiednich państw i organizacji ekologicznych – choć wodę filtrowano wielokrotnie w celu usunięcia części skażenia, wciąż pozostaje groźna.

Bardzo ostro przeciwko planom zrzutu wody do morza wypowiada się Seul. Południowokoreański MSZ zapowiedział, że będzie przeciwstawiał się japońskiemu pomysłowi i do współpracy zaprosił Greenpeace oraz Międzynarodową Agencję Energii Atomowej. Media zwracają jednak uwagę, że w Korei Południowej prowadzona jest negatywna kampania wobec Japonii[4], w której wykorzystywany jest też wątek awarii w Fukushimie i jej skutków.

Eksperci uważają, że zbiorniki stanowią zagrożenie powodziowe i radiacyjne oraz utrudniają wysiłki związane z likwidacją elektrowni, ale bardziej bezpieczną opcją niż zrzut do oceanu wydaje się zagospodarowanie kolejnych terenów pod budowę zbiorników. W ten sposób można by przechowywać radioaktywną wodę, która po wielu latach stanie się mniej szkodliwa. ■

[3] Projekt Pasa Szlaku nazywany też Nowym Jedwabnym Szlakiem to inicjatywa polityczna przewodniczącego Xi Jinpinga. Plan reaktywacji szlaku został ogłoszony w 2013 roku. Zakłada on rozbudowę infrastruktury logistycznej między Chinami a państwami Azji Środkowej, Bliskiego Wschodu, Afryki i Europy.

[4] U podstaw obecnego konfliktu Japonii i Korei Płd. leżą japońskie ograniczenia w handlu wysokimi technologiami. Na początku sierpnia Tokio wykreśliło też Seul z listy zaufanych partnerów handlowych.

eprasa.pl dfaed9b77b

TŁUMACZENIE I OPRACOWANIE
Antoni Rybczyński

Kreml grzebie iluzje. Ropa i gaz z USA burzą plany Putina

Dlaczego o połowę staniał gaz naturalny w Europie? Czy amerykańskie ropa i gaz wypychają rosyjskie węglowodory ze światowych rynków? Czy nieuniknione jest powiększanie straty Rosji do wiodących producentów naftowych? O to wszystko dziennikarz Radia Swoboda Jurij Żigałkin pytał amerykańską ekspertkę z Atlantic Council Agnię Grigas oraz partnera rosyjskiej spółki konsultingowej RusEnergy Michaiła Kriutichina. Wywiad opublikowano na portalu radiosvoboda.org 27 lipca 2019 roku. Publikujemy jego obszerne fragmenty.

[...]

▶ Doktor Grigas, czy można dziś powiedzieć, że amerykańska rewolucja łupkowa, początek eksportu amerykańskich ropy i gazu, wywróciła rynki energetyczne do góry nogami i doprowadziła do spadku cen zasobów energetycznych?

Bez wątpienia. Od 2010 roku jesteśmy świadkami unikalnej transformacji globalnego rynku zasobów energetycznych, w trakcie której Stany Zjednoczone stały się energetycznym supermocarstwem, jednym z wiodących producentów ropy, wiodącym światowym wytwórcą gazu, wyprzedzając Rosję. USA są także światowym liderem w produkcji paliw i różnych produktów przerobu ropy i gazu. Jednocześnie widzimy rosnące zapotrzebowania na gaz naturalny w porównaniu z popytem choćby na ropę i węgiel, co w części jest wynikiem niepokoju wywołanego zmianami klimatu. Wszystko to czyni USA wiodącym graczem na globalnym rynku zasobów energetycznych, który formuje się dziś w wyniku oddziaływania różnych czynników.

▶ Użyła Pani sformułowania „energetyczne supermocarstwo". Jakieś 15 lat temu Władimir Putin mówił o zamiarze uczynienia z Rosji energetycznego supermocarstwa. Tym stały się jednak USA. Główną przyczynę wielu widzi w rewolucji łupkowej, która doprowadziła do wprowadzenia technologii pozwalających pozyskiwać ropę i gaz ze złóż łupków. Jak udało się to osiągnąć?

Początek wysiłków mających zapewnić USA samowystarczalność w produkcji ropy i gazu to lata 70. XX wieku, w czasie tzw. kryzysu naftowego. Amerykański rząd zainwestował wówczas znaczne środki w badania, ale realnego przełomu w tym kierunku dokonali amerykańscy przedsiębiorcy, głównie mniejsze spółki, które sięgnęły po istniejące technologie i zdołały na tle bardzo wysokich cen ropy poprawić te technologie w niebywale krótkim czasie, wywołując tym samym łupkowy boom. Przy czym dotyczy to produkcji i gazu naturalnego, i ropy naftowej. Interesujące, że na razie nie jest jasne, czy inne kraje mogą powtórzyć ten sukces. Póki co tylko w czterech krajach świata podjęto udane próby wydobycia łupkowych ropy i gazu: w USA, Kanadzie, Chinach i Argentynie, przy czym w dwóch ostatnich wielkość wydobycia jest bardzo mała. Wprowadzenie takich technologii okazało się niełatwą sprawą.

▶ Dziesięć lat temu kierownictwo Gazpromu zapewniało, że gaz z łupków to blef i nie da się go wydobywać z zyskiem. Na czym polega ta trudność?

Gazprom wówczas swe życzenia brał za rzeczywistość. Odnosił się też do eksportu LNG. Jedna z trudności polega na tym, że technologie łupkowej produkcji powstawały, bazując na geologicznej specyfice amerykańskich złóż. Dlatego też na przykład próby komercyjnej produkcji gazu naturalnego z łupków

eprasa.pl dfaed9b77b

w Polsce okazały się nieudane. Plus niezwykle ważny jest dostęp do finansowania. Amerykańscy producenci mogli otrzymać znaczące kredytowanie, nie zważając na ryzyko związane z możliwym fiaskiem nowych technologii. Do tego należy dodać prawa własności do ziemi i surowca. W USA taką produkcją głęboko zainteresowani są właściciele ziemi otrzymujący zyski z wydzierżawienia działki. W innych krajach to, co znajduje się pod powierzchnią ziemi, nie należy do jej właściciela. I to również ważny czynnik.

▶ Co wiadomo o kosztach takiej ropy i gazu? Zakłada się, że niemała część producentów wciąż jeszcze pracuje na minusie?

Można powiedzieć, że amerykańska produkcja łupkowych ropy i gazu jest skrajnie efektywna i ekonomiczna. To nastąpiło z czasem. Technologie wydobycia z łupków mają już ponad sto lat. Przełom w ich udoskonalaniu nastąpił w ostatnich latach. Odpowiedź na pańskie pytanie daje praktyka. Amerykański gaz okazał się konkurencyjny na globalnym rynku. Po uruchomieniu eksportu amerykańskiego LNG w 2016 roku znalazł nabywców na całym świecie. [...]

▶ A czy Europa ma możliwości przyjmowania tego amerykańskiego gazu?

Terminale przyjęcia LNG działają w Europie. Choć głównie koncentrują się w południowych i północno-zachodnich częściach kontynentu. Dlatego dla środkowo- i wschodnioeuropejskich krajów, które chcą zmniejszać uzależnienie lub w ogóle się uniezależnić od rosyjskiego gazu, główną kwestią jest uzyskanie dostępu do amerykańskiego surowca. W ostatnim czasie dopuszczono do eksploatacji terminale LNG w Polsce, na Litwie, zaś w innych krajach bałtyckich i Finlandii są plany uruchomienia takich terminali. Oprócz tego w ciągu ostatnich 20 lat UE metodycznie buduje jeden system zaopatrzenia energetycznego kontynentu, który pozwoli na to, by dowolny kraj europejski podłączony do unijnych rurociągów miał dostęp na przykład do gazu z USA. [...] do 2019 roku USA stały się trzecim na świecie eksporterem LNG. Nie ma wątpliwości, że taki napływ gazu na światowe rynki wpłynął na ceny.

▶ Co można powiedzieć o Rosji: zostaje w tyle na każdym froncie?

Rosja nie wydobywa gazu z łupków. Rosyjscy producenci wyjaśniali, że nie mają takiej potrzeby, bo dysponują wystarczająco dużymi zapasami gazu naturalnego. Ale Rosja poważnie została w tyle w kwestii eksportu skroplonego gazu. Kreml to przyznał. W rosyjskiej narodowej strategii energetycznej wpisano zadanie przekształcenia Rosji w lidera produkcji i eksportu gazu skroplonego. Ale teraz Rosja jest dopiero na 7. miejscu, jeśli chodzi o produkcję LNG. Czy to się zmieni, pozostaje otwartym pytaniem.

▶ Innymi słowy – Rosja traci pozycję?

Jej pozycja na rynku gazu naturalnego osłabła, zwłaszcza jeśli chodzi o rynek europejski. Rosja nie tak dawno była największym producentem gazu, nadal zostaje jego największym eksporterem. Swego czasu nie uznała zasadniczej wagi wydobycia węglowodorów z łupków, późno uznała znaczenie gazu skroplonego jako produktu eksportowego. Tak, póki co Rosja eksportuje więcej gazu niż inni, ale u jej sąsiadów pojawiły się alternatywne warianty. Moskwa straciła monopol na dyktowanie warunków gazowych kontraktów, a wraz z tym możliwość wykorzystywania gazu w charakterze politycznego narzędzia. Teraz europejskie kraje mogą importować gaz z USA, Kataru, regionu kaspijskiego, tj. ich wybór znacząco się poszerzył. Coś podobnego zachodzi w Azji. Jakiś czas temu gaz był swego rodzaju kartą przetargową Rosji w stosunkach z Chinami, ale teraz i Chiny mają różne warianty. Zbudowały gazociąg łączący je z Azją Centralną, importują gaz z Myanmar, importują amerykański LNG, plus Chiny próbują stworzyć własny przemysł łupkowy. Póki co jest on w powijakach, ale celem ChRL jest zaspokojenie zapotrzebowania z własnego wydobycia gazu.

▶ Jak w tym kontekście wygląda Nord Stream 2? Czy rzeczywiście drastycznie zmieni sytuację na korzyść Moskwy, czy też w warunkach realnej konkurencji z różnymi dostawcami w Europie jeszcze jeden rosyjski gazociąg do Europy nie tak wiele znaczy?

Moim zdaniem Nord Stream 2 to próba Gazpromu na utrzymanie eksportowego udziału w europejskim rynku w perspektywie średnioterminowej. Poza tym gwarantuje on szczególne relacje Rosji z Niemcami w ciągu dziesięcioleci, a to już polityczny projekt, próba utrzymania Niemiec w rosyjskiej orbicie. Ale jeśli mowa o długoterminowej ekonomicznej perspektywie, to ten gazociąg nie będzie miał dużego znaczenia, dlatego że Europa już poszerzyła krąg dostawców gazu i ten proces będzie kontynuowany. Europa jeszcze bardziej polega na odnawialnych źródłach energii. [...]

▶ Pytanie do Michaiła Kriutichina. Sytuacja jest swego rodzaju paradoksalna: w Zatoce Perskiej ostrzeliwują i zajmują tankowce, Iran i USA zestrzeliwują drony, całkiem niedawno ceny ropy biły rekordy. Dziś wciąż

eprasa.pl dfaed9b77b

spadają, po szczycie kwietniowym. Jak Pan to wyjaśni?

Główna przyczyna: na rynku ropy surowca jest tak dużo, że nie ma żadnych problemów z jej zakupem. I to mimo że z rynku de facto znikają całe kraje typu Libia, Wenezuela i Iran, pomimo że w ramach OPEC następuje redukcja wydobycia, popyt jest w pełni zaspokajany, ropy nie brakuje.

▶ Czy można powiedzieć, że główną przyczyną tego fenomenu, jak mówi moja amerykańska rozmówczyni, stała się amerykańska rewolucja łupkowa? Wysokie ceny ropy obudziły śpiącego giganta i mamy do czynienia z technologicznym przełomem, inwestycjami w technologie i eksport, więc staliśmy się świadkami nie tylko bumu w produkcji, lecz także w eksporcie?

Tak, to jedna z przyczyn, ale wcale nie główna. Dlatego że rewolucja łupkowa, która zaczęła się gdzieś w 2011 roku, zmieniła wszystkie wyobrażenia o rynku, o roli OPEC, uczyniła Stany Zjednoczone decydującą siłą w światowym handlu ropą. [...]

▶ Co ta nowa sytuacja oznacza dla Rosji? Przejrzałem tytuły: rosyjscy przedstawiciele mówią, że wejście na europejski rynek gazowy nowych dostawców nie jest dla nich problemem, dlatego że nie konkurują z ich gazem. To prawda czy poza?

Co do gazu, to mamy konkurencję Rosji z USA, choćby jeśli chodzi o ceny na rynku targów samym gazem. Gaz skroplony mogą otrzymywać w USA, Katarze, Australii, Europie, dowolnie. Z tym surowcem konkuruje rosyjski gaz dostarczany gazociągami. Tak więc mapa tutaj nie jest tak prosta i upolityczniona, jak się wydaje.

▶ A czy gaz skroplony jest realną konkurencją dla rosyjskiego gazu dostarczanego rurami? LNG powinien być droższy i na to, jak rozumiem, liczono w Gazpromie, gdy machnięto ręką na pomysł skraplania gazu 10–15 lat temu.

Zasadniczo jest on oczywiście droższy. W tej samej Europie, gdzie jest obfitość gazu dostarczanego rurociągami, buduje się nowe terminale przyjęcia LNG i rola gazu skroplonego bardzo się zwiększyła przez ostatnie półtora roku. To gwarancja bezpieczeństwa energetycznego Europy. Dlatego że wszyscy pamiętają, iż poczynając od 2005 roku, Rosja 15 czy 16 razy zmniejszała lub zupełnie wstrzymywała dostawy gazu z przyczyn politycznych. Aby zapewnić sobie bezpieczeństwo energetyczne, Europejczycy przestawiają się też na LNG, którego rola wciąż rośnie. Gaz dostarczany rurą jest oczywiście tańszy. Mogę przytoczyć liczby: jest tańszy o 20 proc. od LNG. Ale to żaden wskaźnik, bo dostawcy gazu skroplonego bardzo często dostarczają go poniżej pełnej rentowności, aby podbić rynki i potem już, po odpisaniu kosztów budowy zakładów, już tu rywalizować na rynku z gazem z rury.

▶ Spójrzmy na szerszy obraz sytuacji. W USA mamy energetyczną rewolucję, naftowy i gazowy boom, rewolucyjny wzrost eksportu, z rosyjskiej strony – próby manipulowania cenami ropy we współpracy z OPEC oraz stracone możliwości: ani ropy z łupków, ani skroplonego gazu. Czy Rosja jest jeszcze konkurencyjna?

Jeśli chodzi o ropę, to od razu powiem, że z obiektywnych przyczyn Rosja jest skazana na stopniową utratę pozycji na światowym rynku, ponieważ pozostała w złożach ropa jest w większości trudna do wydobycia. To nawet 70 proc. zasobów. Sam minister energetyki Aleksandr Nowak na posiedzeniu rządu powiedział, że do 2035 roku Rosja straci do 40 proc. swego wydobycia ropy. Co zaś do gazu, to tutaj sytuacja dla budżetu też nie jest zbyt korzystna. Nie ma już bowiem rynku dla rozszerzenia dostaw gazu rurociągami. Można te dostawy zwiększyć już tylko nieznacznie. I dlatego rząd jest zmuszony subsydiować projekty eksportu LNG i faktycznie nic z tego nie ma, a na pewno nie uczyni to Rosji w przyszłości głównym graczem na tym rynku.

[...]

▶ 15 lat temu Władimir Putin ogłosił, że Rosja zamierza stać się energetycznym supermocarstwem. Mniej więcej w tym czasie szef Gazpromu odrzucił gaz z łupków jako nonsens. Dziś o supermocarstwie nie wspominają i można powiedzieć, że ostrożnie próbują złapać się za gaz skroplony, którego Gazprom też poważnie nie traktował. Porażka na każdym froncie? Czy nie do końca, wszak Rosja, wbrew niektórym prognozom, mimo wszystko mogła zwiększyć wydobycie ropy naftowej?

Rosja nie wydobywała i nie będzie wydobywać ropy i gazu z łupków, bo w Rosji skał łupkowych nie jest tak dużo [...]. Rzeczywiście, wydobywanie ropy naftowej było łatwe dzięki starym technologiom, teraz z łatwością wydobywamy ropę na starych polach. Rosja utrzymuje wydobycie i nawet je w niewielkim tempie zwiększa, ale ta lekka ropa naftowa szybko się skończy. Co do gazu, to tak – Rosja bardzo mocno została w tyle, nie doceniając roli skroplonego gazu

eprasa.pl dfaed9b77b

ziemnego. Mało tego, Gazprom pokazał, że absolutnie nie jest zdolny działać na tym rynku, ma bardzo proste podejście: wydobyć gaz, rurociągiem wysłać go do klienta. Żadnej chemii gazowej Gazprom nie rozwijał, nie rozwijał sektora LNG, administracyjną presją wlazł do projektu Sachalin-2, mocno naciskając na Shell i na japońskie spółki, aby stać się właścicielem pakietu kontrolnego, w tym projektu eksportu LNG. Teraz Rosja próbuje to nadrabiać. Projekty LNG faktycznie są bezpłatne dla inwestorów, bo Rosja w zamian niczego nie dostaje, żadnych podatków przez 12 lat. Takie podatkowe wakacje są bez precedensu. Bardzo dobrze zaczął działać Jamał LNG – to projekt prywatnej spółki Novatek, gdzie są zagraniczni inwestorzy. Novatek dostał w prezencie faktycznie ogromne zapasy gazu, państwo zbudowało jeszcze port dla eksportu tego gazu na swój koszt. Konsorcjum za ten gaz nie płaci nic Rosji – ani podatku od wydobytych minerałów, ani ceł eksportowych, ani cła za wwóz sprzętu. To prezent.

▶ Wiadomo, kto jest głównym beneficjentem tego prezentu?

Oczywiście. Dzięki temu, że pan Timczenko ma bardzo dobre osobiste relacje z Putinem, udało się pozyskać bezprecedensowe ulgi dla tego projektu i dla kolejnych projektów firmy Novatek, które także będą realizowane z pomocą międzynarodowych konsorcjów.

▶ Ostatnio głośną wiadomością na energetycznych rynkach był spadek cen gazu w Europie – o połowę w ciągu roku. Dochody Gazpromu gwałtownie spadły. Jak Rosja to odczuje?

Rosja póki co dużo nie straciła. Z tego względu, że ile ropy jest zdolna wydobyć, tyle jej sprzedaje. Rosyjska produkcja ropy będzie się zmniejszać nie dlatego, że spadnie na nią popyt, lecz dlatego, że rentowność produkcji będzie w przyszłości spadać. A co do gazu, to tak, jego cena bardzo spadła w Europie, choć również w Azji. Gazprom ponosi z tego tytułu straty. Ale dla rosyjskiego budżetu Gazprom nie jest tak ważny, jak na przykład eksport spółek naftowych. Z 42 proc. dochodów z ropy i gazu w państwowym budżecie, na udział gazu przypada tylko jakieś 7 proc., a pozostałe to dochody z ropy.

▶ Perspektywy produkcji naftowej w Rosji, Pańskim zdaniem, są kiepskie?

Perspektywy są bardzo złe. Bardzo realnym scenariuszem jest, że do 2035 roku Rosja straci 40 proc. wielkości swojego wydobycia ropy, faktycznie przekształcając się w kraj, który produkuje tylko na wewnętrzny użytek, a nie dla eksportu.

[...]

▶ Gazprom był dobrze znany na Zachodzie jako źródło bogacenia się ludzi z otoczenia Władimira Putina. Amerykańska politolog Karen Dawisha, autorka znakomitej książki o korupcji w Rosji, mówiła, że bez śladu zniknęła niemal jedna trzecia wypracowanego przez Gazprom kapitału. Można więc założyć, że w rzeczywistości rosyjski budżet dostaje mniej, niż można sobie wyobrazić, wychodząc z cen ropy i gazu?

Mamy firmy niepaństwowe. Surgutnieftiegaz, zagadkowa spółka, nie wiadomo, gdzie tam płyną pieniądze, albo czysto komercyjne spółki typu Łukoil, gdzie wszyscy inwestorzy są znani, która jest przejrzysta, nie ma tam udziałów państwa. Ale jest też na przykład spółka Rosnieft, ona wszystkie swoje dywidendy, które powinna płacić państwu, przelewa do państwowej spółki pod nazwą Rosnieftiegaz. Wszystkie budżety tej spółki Rosnieftiegaz, takiego łącznika między budżetem państwa a Rosnieftią, są utajnione decyzją rządu, osobiście nimi rozporządza prezydent Putin – to jego osobista sakiewka, wbrew konstytucji. W Rosji według konstytucji federalną własnością powinien rozporządzać rząd i on powinien wydzielać środki na utrzymanie prezydenta. A w tym wypadku widzimy pojawiający się nie wiadomo skąd osobisty portfel – wszystkie dywidendy Rosnieftu. Co z nimi robi Putin – nie wiadomo.

▶ Innymi słowy, to kieszonkowe firmy Kremla, wykorzystywane przezeń w określonych celach? Byłoby ciekawie porównać, ile przynosi budżetowi prywatny Łukoil, a ile przynoszą państwowe giganty.

Biorą podatki i z tej, i z innej spółki. Ale czym odróżnia się Łukoil od Rosnieftu? Łukoil nigdy nie weźmie się za projekty, gdzie wewnętrzna norma rentowności lub dochodowości, jak mówią w Rosji, jest poniżej 16 proc. Z takiego biznesu Łukoil rezygnuje. A Rosnieft bierze się za z góry skazane na porażkę polityczne projekty typu naftowe projekty w Wenezueli, i na tym mocno traci. Państwu byłoby oczywiście wygodnie mieć wpływy z podatków z dochodowej prywatnej spółki, w danym przypadku widzimy jednak, że państwowe firmy, takie jak Rosnieft, nie dają państwu tyle, ile powinny. ■

[...]

eprasa.pl dfaed9b77b

Krzysztof Budka, ekspert RG SWS

Przepaść, którą jak najszybciej trzeba zasypać

Podobno partia rządząca w nowej kadencji ma postawić na klasę średnią. Wspominał o tym ostatnio wiele razy wicepremier Jarosław Gowin, mówią tak posłowie PiS. Oczywiście jeśli to prawda, nie będzie w tym nic złego. Wręcz przeciwnie. Pod warunkiem, że pojęcie klasy średniej zostanie odpowiednio zdefiniowane, bo trudno nie odnieść wrażenia, że jest ono niezwykle pojemne. Szczególnie słuchając tego, co na ten temat mają do powiedzenia różni ludzie. Im ich więcej, tym więcej definicji. Niektórzy uważają wręcz, że trzon owej klasy średniej już zaczęli tworzyć ci, którzy zostali największymi beneficjentami programów społecznych. To akurat zdecydowanie fałszywe założenie.

Trzon zdrowej klasy średniej, która stanowi podstawę stabilności i bezpieczeństwa każdego rozwiniętego państwa, podstawę społeczeństwa obywatelskiego, tworzyć powinni przede wszystkim ludzie niezależni finansowo, przedsiębiorczy, zaradni i ambitni. Właśnie ci, którzy dziś tworzą – wciąż niedoceniany – sektor małych i średnich przedsiębiorstw (MŚP). To w ich stronę powinni się teraz zwrócić rządzący. I jeśli tak się stanie, będzie to niewątpliwie zwrot w dobrą stronę. By zbudować silną klasę średnią w oparciu o dobrze funkcjonujący sektor polskich małych i średnich przedsiębiorców, wciąż potrzeba kluczowych zmian, które – tutaj pełna zgoda – powinny być priorytetem dla partii rządzącej w kolejnej kadencji Sejmu. W co najmniej kilku obszarach te zmiany powinny być fundamentalne. Po pierwsze, system zamówień publicznych, czyli rynek wart ponad 200 mld zł, w którym wciąż znikomą rolę odgrywają małe i średnie polskie firmy. Czekamy na nową ustawę Prawo Zamówień Publicznych, która ma to radykalnie zmienić. Jest już gotowa, a jej wejście w życie przewidziano na styczeń 2021 roku. Drugim istotnym obszarem, jeśli chodzi o budowę klasy średniej, jest dostęp do kapitału. Z tym polscy przedsiębiorcy z sektora MŚP wciąż mają duży problem. Wystarczy powiedzieć, że zdecydowana większość polskich firm finansuje rozwój działalności ze środków własnych. Tylko jedna piąta korzysta z finansowania bankowego. Znikomą rolę w finansowanie MŚP odgrywa rynek kapitałowy. To trzeba zmienić.

Trzecia rzecz – podatki. I nie chodzi w nich tylko o wysokość stawek (choć to oczywiście niezwykle ważne), lecz także o uciążliwość i skomplikowanie przepisów. Wystarczy sobie uświadomić, że polski przedsiębiorca na papierkową „walkę" z fiskusem poświęca rocznie średnio 300 godzin! Pod tym względem w Europie bijemy niechlubne rekordy. Podobnie jak pod względem skandalicznie niskiej kwoty wolnej od podatku. I tu się na chwilę zatrzymajmy. Niektórzy mówią, że to przykład haniebnego traktowania ludzi przez państwo, czysty wyzysk i karanie Polaków za uczciwą pracę. Mała Estonia ma kwotę wolną od podatku ponad osiem razy wyższą niż Polska (w przeliczeniu na złotówki – 25 680 zł), a niewielka Słowenia ponad cztery razy wyższą (14 203 zł). U nas ta kwota dla większości podatników wynosi 3091 zł. Jak prezentujemy się na tle innych europejskich krajów? Wielka Brytania – 57 709 zł, Finlandia – 73 983 zł, Holandia – 10 622 zł, Dania – 26 507 zł, Chorwacja – 26 465 zł, Belgia – 31 952 zł, Grecja – 21 507 zł, Hiszpania – 23 868 zł, Portugalia – 30 495 zł. To przepaść, niestety na naszą niekorzyść. Czwarta rzecz – ZUS... Ale to temat na oddzielny felieton, bo w tym nie wystarczy miejsca nawet na jego napoczęcie...

Przed partią rządzącą kolejna kadencja i kolejne wyzwania. Sektor MŚP, czyli 99 proc. działających w naszym kraju mikro-, małych i średnich przedsiębiorców, czeka teraz na odważne decyzje, które nie tylko zmienią obraz postrzegania ludzi biznesu, lecz także zdecydowanie ułatwią im funkcjonowanie. Sektor MŚP to ponad 2,5 mln przedsiębiorców – prawdziwa armia ludzi, którzy przecież kreują rzeczywistość gospodarczą naszego kraju i tworzą jego ekonomiczny fundament. Wystarczy przypomnieć, że ich wkład w PKB wynosi ponad 60 proc., a blisko 70 proc. wszystkich zatrudnionych znajduje pracę właśnie w tym sektorze. Czas stworzyć odpowiednie warunki do budowy nowej, silnej, polskiej klasy średniej w oparciu właśnie o sektor MŚP. Co więcej, jej budowa powinna być priorytetem w kolejnej kadencji Sejmu. ■

www.radagospodarcza-sws.pl

Rada Gospodarcza
STREFY WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl dfaed9b77b

Tomasz Sakiewicz

Honor a ekonomia

Honor jest istotnym budulcem zarówno ekonomii, jak i społeczeństwa.

Od czasów komunizmu wobec Polaków prowadzona jest akcja zmiany naszej mentalności. Rycerski niegdyś naród uczony jest swoistego pragmatyzmu. Narodowemu interesowi przeciwstawiane są takie wartości jak godność i honor. Tymczasem to one są podstawą kapitału obronnego narodu. Kraje, w których ludzie cenią honor, mają zazwyczaj bardziej bitne wojsko, mieszka w nich mniej zdrajców, a opór przeciwko okupacji często sprawia, że jest ona nieopłacalna. To jednak wypadek drastyczny dotyczący zagrożenia wojną. Czy ma to więc znaczenie w czasie pokoju? Przede wszystkim wszelkich inwestorów zmrozi informacja o zagrożeniu wojną, szczególnie inwestorów zagranicznych. Kapitał z państwa zagrożonego po prostu ucieka. Nie należy więc czynić swojego kraju łatwym kąskiem dla agresora również ze względów ekonomicznych. Ale są też sytuacje zwykle. Pytanie o to, na ile można realizować interesy z drugą stroną bez dodatkowych zabezpieczeń i egzekwować swoje prawa bez wspierania się sądem, to pytanie o szybkość i pewność obrotu gospodarczego. Od tego przecież zależy rozwój państwa, firm i stan finansów publicznych.

Od postaw godnościowych zależy też dzietność społeczeństwa. Kobieta chętniej decyduje się na dziecko, jeżeli wie, że nie zostanie pozbawiona pomocy, choćby w tak minimalnej wersji jak alimenty. Ma więc na to wpływ zarówno przewidywana postawa mężczyzny, jak i nastawienie całego społeczeństwa. A jak wygląda kwestia zabezpieczeń społecznych? Społeczeństwa, w których na starość dzieci wspierają rodziców, są zwykle bardziej dzietne, bo posiadanie potomstwa wiąże się z pomocą w razie własnej niedołężności. Z kolei społeczeństwa, w których rodzice u schyłku życia muszą radzić sobie sami, maksymalizują koszty ubezpieczeń społecznych. W efekcie ludzie coraz więcej i dłużej pracują, by móc na starość przeżyć, a przez to mają coraz mniej dzieci. Nie mogą też poświęcić czasu wnukom. Zrywa się naturalna więź pokoleń, która tworzy wzory rozwoju i wychowania. Takie społeczeństwa do pewnego czasu wydają się coraz bogatsze, choć te cechy bogactwa to jedynie próba opłacenia świadczeń zastępujących naturalne środowisko rodzinne. Pracowników naukowych, robotników i żołnierzy zastępują pracownicy socjalni i pielęgniarki. Państwo by móc funkcjonować, sięga po imigrantów, często z zupełnie obcych kultur. To zwykle kończy się zanikaniem własnego narodu, ubożeniem i wreszcie rozpadem państwa albo jego podbiciem. Honor jest więc istotnym budulcem ekonomii i społeczeństwa. Oczywiście tak jak we wszystkich przypadkach obowiązuje posługiwanie się rozumem, również wtedy, a może szczególnie wtedy, kiedy bronimy naszego honoru. ■

Społeczeństwa, w których rodzice u schyłku życia muszą radzić sobie sami, maksymalizują koszty ubezpieczeń społecznych. W efekcie ludzie coraz więcej i dłużej pracują, by móc na starość przeżyć, a przez to mają coraz mniej dzieci.

eprasa.pl dfaed9b77b

niezależna

ŁĄCZYMY **HISTORIĘ**
Z **NOWOCZESNOŚCIĄ**

Najpopularniejszy konserwatywny portal w Polsce

niezalezna.pl

eprasa.pl dfaed9b77b